

NIEDOBRE LITERKI PREZENTUJA

BIZARRO BAZAR



BURK
SHIPP
KAIN
KYRCZ
SANDS
MELICK
CICHOWLAS
PIERCE
LEE
... I INNI

NIEDOBRE LITERKI PREZENTUJA

BIZARRRO BAZAR



WWW.NIEDOBRELITERKI.WORDPRESS.COM

BIZARRO BAZAR

wydanie I, 2013

ISBN 978-83-272-4043-9

Redakcja / Korekta

Dariusz Barczewski, Marek Grzywacz, Marcin Kiszela, Kazimierz Kyrcz

Tłumaczenia

Marek Grzywacz, Marcin Kiszela

Skład i łamanie

Wojciech Jan Pawlik, www.pawlik.es

Projekt okładki

Wojciech Jan Pawlik, www.pawlik.es

Ilustracja na okładce

Ed Mironiuk, www.edmironiuk.com

Copyright ©2013 by Jeff Burk
Copyright ©2013 by Michał Stonawski
Copyright ©2013 by Marcin Rojek
Copyright ©2013 by Krzysztof Maciejewski
Copyright ©2013 by Jeremy C. Shipp
Copyright ©2013 by Dawid Kain
Copyright ©2013 by Kazimierz Kyrcz Jr.
Copyright ©2013 by Paweł Waśkiewicz
Copyright ©2013 by Jan Maszczyżyn
Copyright ©2013 by Zeter Zelke
Copyright ©2013 by Bradley Sands
Copyright ©2013 by Dariusz Barczewski
Copyright ©2013 by Karol Mitka
Copyright ©2013 by Krzysztof T. Dąbrowski
Copyright ©2013 by Carlton Mellick III
Copyright ©2013 by Robert Cichowlas
Copyright ©2013 by Cameron Pierce
Copyright ©2013 by Bartosz Orlewski
Copyright ©2013 by Dariusz Kuchniak
Copyright ©2013 by Grzegorz Gajek
Copyright ©2013 by Marek Grzywacz
Copyright ©2013 by Edward Lee

J E F F B U R K
DOM (Z) KOTÓW

Dawno, dawno temu, w dziwnej krainie zwanej Portland w stanie Oregon, żył sobie człowiek, na którego wołano Jasper. Bez nazwiska, po prostu Jasper.

Jasper lubił mówić, że jego domem jest całe miasto, co było miłym sposobem na wyjaśnienie komuś, że jest bezdomnym.

Jasper spędzał dni pchając ulicami sklepowy wózek. Zbierał do niego puszki, by sprzedać je potem w centrum recyklingu. Czasami zaś po prostu żebrał.

Nocował pod mostem. Tam jadł to, co udało mu się wygrzebać ze śmietnika. Chlał tanie piwsko, kupione za kasę zdobytą na recyklingu lub wyżebraną, tak długo aż w końcu urywał mu się film.

W większości przypadków budził się przemoczony. Portland to deszczowe miasto i jeśli nie masz dachu nad głową – prawdziwego, chatki z kartonu raczej nie dają rady – zwykle budzisz się mokry.

Pewnego popołudnia Jasper rozmyślał nad tym straszliwie drażniącym aspektem swojego stylu życia i nagle znalazł rozwiązanie.

Polował na blaszane puszki w południowo-wschodniej części miasta. Pchał skradziony wózek, zawierający wszystkie znaleziska z dzisiejszej wyprawy. Miał już

z pewnością dość blachy, by kupić sześciopak Pabst Blue Ribbon.

Przemierzał luksusową dzielnicę mieszkalną, zasiedloną głównie przez japiszonów i hipsterów. Ludzie tam żyjący czują się na tyle bezpiecznie, by łązić samotnie po zmroku, upijać się z nieznajomymi i – co jest dla naszej opowieści najistotniejsze – pozwalać kotom szlajać się swobodnie cały dzień i całą noc.

Jeden z tych właśnie kotów, biały i długowłosy, wybiegł pod nogi Jaspera, zdawałoby się znikąd. Bezdomny potknął się, lecz zdołał odzyskać równowagę.

Puchata bestia znów zaatakowała jego kończyny dolne. Jasper schylił się i podniósł kota, a potem zaczął mu się przyglądać.

– RAAAUUURRR!!! – zaprotestowało zwierzę, wyrwijając się.

Jasper odwrócił je do góry nogami i uniósł nad głowę.

– Tak... – mruknął do siebie, wkładając kota pod ramię.

– ...raur – powiedział kot.

Jasper przetrząsnął wszystkie kieszenie swojego starego i brudnego skórzanego płaszcza, aż wreszcie znalazł kłębek sznurka, który zawsze nosił przy sobie. Wystarczyło kilka szybkich ruchów nadgarstkiem, by związać kota. Jego łapki przywarły ciasno do ciała, sznur obwiązał go jak pakunek.

– Raur?

Jasper wrzucił zdobycz do wózka i ruszył w dalszą wędrówkę, rozglądając się za innymi futrzakami do złapania. Kolejnych pięć nie sprawiło mu żadnych trudności. W okolicy było pełno kociaków, więc zgodnie z zasadami prawdopodobieństwa musiał trafić na kilka przyjaznych, powolnych lub grubych.

Lecz Jasper potrzebował jakiegoś sposobu na złapanie takiej ilości kotów, jakiej wymagał jego plan. Spojrzał na piątkę swoich więźniów, a oni na niego – w ich oczach płonęła nienawiść.

„Co lubią koty? Jak zwabić je do siebie w taki sposób, żeby jeszcze cieszyły się, że połknęły haczyk?”

Wreszcie wpadł na coś i poszedł do najbliższego sklepu zoologicznego. Sprzedawczyni była albo bardzo zjarana, albo niesamowicie apatyczna, bo nie mrugnęła nawet jednym mocno podmalowanym okiem, gdy wszedł do środka ze swoim wózkiem, razem z pięcioma kociakami-więźniami, i przeszedł przez sklep, mijając kasę. Gdy wymknął się już na zewnątrz, wziął plastikową reklamówkę i wyjął z niej trzy jednofuntowe worki najlepszej kocimiętki, jaką zdołał znaleźć. Dwa z nich włożył sobie do kieszeni, a trzeci rozerwał. Nagle rozniósł się mocny zapach, od którego wszystkie koty w wózku zaczęły głośno miauczeć. Jasper wysypał połowę zawartości worka na swój pojazd i ładunek, resztę zaś na siebie, wcierając kocimiętkę we włosy i ubranie. Koty mruczały donośnie, osiągając stan napędzanej narkotykiem błogości.

Jasper dopchał wózek z powrotem do obleganego przez koty sąsiedztwa i nie minęła nawet minuta, a wszystkie zwierzaki już do niego łgnęły. Musiał je tylko podnosić, wiązać i wrzucać do wózka. Kiedy wcierał nieco kocimiętki w ich pyszczki, nawet nie walczyły. „Musiałem sobie sprawić gówno prima sort”, pomyślał.

Wkrótce wózek wypełnił się aż po brzegi mruczącymi i miauczącymi, naćpanymi i związanymi kotami.

Dopchał pojazd do swojego zwyczajowego siedliska pod mostem. Był to opuszczony teren, pięć na pięć jardów trawiastej polanki, graniczący z autostradami i dawno opróż-

nionymi magazynami. Prywatny kącik, w którym Jasper mógł spać bezpiecznie, a kiedy wychodził na miasto bez obaw zostawiał tam swój marny dobytek.

Wyjął koty z wózka i ułożył na ziemi. Potem ustawił zwierzaki w rządkach, wszystkie głową w jednym kierunku, i zaczął je wiązać, tworząc płyty z kotów. Następnie postawił je jedną na drugiej, związał razem i tak powstała ściana z kotów.

Lecz wtedy Jasperowi skończyły się futrzaki. Było oczywiste, że jeśli chce dokończyć projekt, będzie potrzebował ich DUŻO.

Podniósł więc kotościanę, ta syknęła na niego i na swój własny, kolektywny los. Przeniósł ją w pobliże drzewa, oparł o pień i przywiązał prostopadle do niego.

– Patrzcie – powiedział, cofając się o krok i wyciągając ręce w zachwycie – mój dom z kotów.

Pierwszej nocy nie był to jeszcze kotodom, bardziej kotodaszek. Jasper spał pod kotami i choć ochroniły go przed porannym deszczem, ich nieprzerwane miauczenie sprawiało, że trudno mu było zasnąć. Miło mieć dach nad głową, ale przydałyby się też ściany.

Obudził się wraz z pierwszym promykiem słońca i ugotował sobie pożywne śniadanie z pieczonej fasoli. Myślał o rozpoczynającym się dniu. Zapowiadał się na pracowity – aby ukończyć dzieło, musiał przecież zgromadzić wiele nowych kotów.

– RRRRAAAUUUURRRR!!!

– Musicie być głodne – zauważył Jasper. Podeszedł do kotościany z garnkiem fasoli w jednej dłoni i łyżką w drugiej. Zanurzył łychę w naczyniu, wygrzebał kilka ziaren. Wyciągnął rękę do szarego, krótkowłosego kota w drugim rządku od góry. Zwierzak chętnie napchał swój mały pysz-

czek fasolą. Jasper podał łyżkę następnemu w rzędzie. Robił to dalej, od czasu do czasu nabierając więcej stawy, aż każdy z kociaków tworzących ścianę był najedzony.

Gdy wreszcie sam się pożywił, wziął swój pusty wózek i wyszedł na miasto, a potem łapał koty aż całkiem go wypełnił. Potem zrobił to znowu i znowu i znowu, aż po sześciu wyprawach słońce zaczęło zachodzić, a jego miejscówka pełna była związanych, naćpanych kotów.

Jasper usiadł na ziemi, wyczerpany, i wyjął z kieszeni zdeptanego papierosa. Był trochę zmięty, ale wciąż nadawał się do palenia.

Kiedy cieszył się zasłużoną przerwą, obok przeszli Porno i Willy. Porno był krępy, niskim i okrągłym człowieczkiem. Wziął swoją ksywkę od szajki handlującej dziecięcą pornografią, której kiedyś przewodził, a której porażka stała się przyczyną tego, że skończył na ulicy. Willy był wysokim, chudym jak szczapa facetem, który stracił większość zębów, a twarz miał usianą otwartymi wrzodami po metaamfetaminie.

– Co tu kombinujesz? – spytał Porno, oglądając zebrane koty. – Wchodzisz do branży rzeźniczej?

Willy klasnął w dłonie, a po jego brodzie spłynęła strużka śliny.

– O, kurde, o kurde! Tak dawno nie miałem w ustach dobrej Kici Barbecue. Weźmiemy trzy – powiedział, unosząc w górę lewą dłoń i pokazując cztery palce.

– Te koty nie są na sprzedaż – odpowiedział Jasper.

– Aha, to co w takim razie chcesz zrobić z tymi kociakami? – dociekał Porno.

– Będę w nich mieszkał – odparł Jasper, zaciągając się dymem.

Porno i Willy spojrzeli po sobie, kompletnie zdezorientowani.

Niski bezdomny przyciągnął wysokiego do siebie i szepnął mu do ucha:

– Zdaje mi się, że nasz drogi przyjaciel Jasper w końcu sfiksował. Nie wytrzymał stresu życia we współczesnym świecie. Idźmy w swoją stronę i zostawmy go jego przeznaczeniu.

Willy przytaknął i oddalili się.

Jasper nie przejmował się ich nagłą ucieczką. Wir kątów, figur i planów absorbował całą jego uwagę. Skończył palić i wstał. Rozejrzał się. Kotów musiało być ze trzy setki.

Strząsnął trochę brudu ze spodni i wziął się do roboty.

Pracował całą noc i cały następny dzień i nawet noc po nim. Kiedy pierwsze promienie Słońca rozświetliły niebo u zarania drugiego dnia, wreszcie skończył.

Mierzący piętnaście stóp szerokości na dwadzieścia długości i dwanaście wysokości budynek był właściwie jednym dużym pokojem. Całkiem w porządku jak na potrzeby jednego człowieka i kilkuset kotów.

Dom składał się z czterech ścian i dachu. Wszystkie kociaki zwrócił pyskiem do wnętrza, by łatwiej było je karmić i aby nieczystości pozostały na zewnątrz.

Jasper chodził po domu. Setki ogonów uderzało o ściany, przez co chata wyglądała jak jakiś dziwny, futrzasto-mackowaty potwór.

Wyszedł, obszedł budowlę, oparł ręce o ścianę i potrząsnął nią mocno. Oprócz kanonady wściekłych miauknięć ze środka, nic się nie wydarzyło. Budynek stał pewnie.

Przeszedł z powrotem na front i otworzył drzwi. Ta właśnie innowacja wyjątkowo przepęłniała go dumą. Nie jest łatwo zrobić zawiasy z kotów, ale znalazł sposób.

Wszedł do domu i zatrzasnął za sobą drzwi. Setki małych głów obróciły się jednocześnie, by na niego spoj-

rzeń. Mnóstwo jarzących się, bystrych oczu wpatrywało się w niego, próbując dociec, co teraz zrobi. Uśmiechnął się do nich.

– Nie bójcie się, kiciusie. Nie skrzywdzę was. Witajcie w waszym nowym domu.

* * *

Z początku zarówno Jasperowi, jak i kotom ciężko było przywyknąć do nowej sytuacji mieszkaniowej. On musiał pracować ciężiej, chcąc zdobyć dość jedzenia, by wykarmić wszystkie nowe pyszczki. Potrzeba było dużo więcej puszek, więcej polowań na śmietnikach w odległych dzielnicach. Czasem Jasper szedł do łóżka głodny, byleby tylko dom był syty.

Boże uchronij, jeśli nie przyniosłby dość jedzenia. Pierwszy kot, który nie dostałby stawy, zacząłby miauczeć, a reszta zaraz by mu zawtórowała. Po chwili w domu byłoby tak głośno, że Jasper nie słyszałby własnych myśli.

Ale z biegiem czasu zdobywał jedzenie coraz sprawniej i po kilku tygodniach stało się to dla niego normą. Odkąd on i jego dom lepiej się odżywiali, byli też szczęśliwsi. Raz na tydzień Jasper musiał wziąć łopatę i odgarnąć gówno zalegające wokół budynku.

Opieka nad koto-domem wymagała sporego wysiłku, ale nie dbał o to. W końcu miał coś swojego. Coś, co sam zrobił. Coś własnego.

Z upływem dni koty zebrane w domu stawały się sobie bliższe, nie tylko przez to, że powiązано je razem. Wcześniej, gdy jeden z kotów zamiauczał, reszta dołączała, a teraz miauczały jednogłośnie. Trzy setki dachowców z jednym mózgiem i jednym głosem.

Kiedy nadeszła zima, Jasper nie posiadał się z radości, że podjął wysiłek i zbudował koto-dom. Ciepło kocich ciał utrzymywało przyjemną temperaturę w środku. Jasper zauważył nawet, że koty lubią być związane. Przytulały się mocniej, tak, że wewnątrz domu stawało się ciśniejsze, ich powieki opadały, a potem wszystkie chrapały unisono.

Pod koniec zimy koty tak przywykły do nowej sytuacji, że zapomniały zupełnie o dawnych rodzinach i przyjaciółkach. Były tylko one i Jasper, który czuł się podobnie przywiązany do nich.

Gdy nadeszła wiosna, polanka zakwitła purpurowymi, polnymi kwiatami. Każdej nocy Jasper kładł się na swoim brudnym, śmietnikowym materacu i zasypiał spokojnie, wsłuchany w mruczenie swojej chatki.

* * *

Wtedy nadszedł pamiętny dzień, który przyniósł kres jego szczęściu.

Jasper wstał pewnego ranka i zanim zdążył pozbyć się śpiochów z kącików oczu, wiedział już, że coś jest nie tak. Koty cicho powarkiwały. Ich oczy zdawały się krążyć w poszukiwaniu jakiegoś niebezpieczeństwa, którego nie mogły zlokalizować. Ich małe ciała wibrowały od frustracji i wściekłości.

Jasper wyskoczył z łóżka i narzucił na siebie zabłocone łąchy. Starał się uspokoić dom, przemawiając słodko, zapewniając, że koty są jego „ładnymi kiciusiami”, ale nic to nie dało.

Otworzył drzwi, wyszedł na próg i nagle poczuł na ciele bolesne smagnięcia biczujących go wściekle ogonów. Runął do przodu i padł na kolana, oślepiony przez kłęby

futra. Dochodząc do siebie, rozejrzał się wkoło. Od razu dostrzegł to, co tak zdenerwowało jego dom.

Po drugiej stronie parceli, gdzie jeszcze zeszłej nocy rosła przyjemna kępka polnych kwiatów, zobaczył dom zbudowany z psów. Setek psów wszystkich możliwych kształtów i rozmiarów. Związanych, skierowanych pyskami do wnętrza. Budowla była prawie dwa razy większa od jego własnej.

Drzwi do pso-domu otworzyły się i wyszedł z niego facet tak gruby, że mógłby być cyrkową atrakcją. Jego nieomal pękający w szwach t-shirt zdobił napis „Pierdolę się na Pierwszej Randce”. Połcie mięsa, które służyły mu za nogi, były okryte brudnymi i podartymi spodniami od dresu.

Jak tylko opuścił dom, wszystkie psy zaczęły ujadać. Koto-dom Jaspera zaskrzeczał i zatrzęsł się tak mocno, że prawie się przesunął.

– Zamknij się! – Grubas wrzasnął na swój dom. – Zamknijcie się, jebane kundle.

Pso-dom natychmiast ucichł.

Tłuścioch, kołyszając biodrami, podszedł do Jaspera i złapał go za rękę. Był od niego wyższy co najmniej o trzy stopy, więc bez trudności podniósł biedaka na nogi, w tym samym czasie potrząsając z wigorem jego dłonią.

– No witaj pan – wydarł się grubas. – Musisz być moim nowym sąsiadem, nie? Miło cię poznać. Jestem Herbert.

– Zbudowałeś to zeszłej nocy? – Jasper wskazał palcem pso-dom. – Gnieźdź się tu od lat. Mój dom stoi tutaj od miesięcy. To miejsce to MÓJ dom. Nie możesz się tu tak po prostu wprowadzić.

Herbert podrapał pokryty trądzikiem podbródek.

– Naprawdę... – zaczął tamten.

Jasper czekał na odpowiedź, ale ta nie nadeszła.

– Naprawdę! – rzucił, poirytowany. – To moja miejscówka. Byłem tu pierwszy, a poza tym twój dom denerwuje mój dom.

– Tjaa, powiem ci coś – odparł Herbert, klepiąc Jaspера w plecy z taką siłą, że ten niemal się zakrztusił. – To duża miejscówka i ja se tu zwyczajnie zostanę.

Odszedł od Jaspера, a gdy już dotarł do progu swojej chaty, obrócił się.

– Pokażemy im, że koty i psy mogą żyć razem.

Zaśmiał się sam do siebie, wszedł do domu i zamknął drzwi.

Jasper odwrócił się do swojego budynku, zobaczył, że jego ogony wiją się wściekle, po czym wszedł do środka.

Wszystkie kocie głowy zwróciły się ku niemu, błyszczące ślepia zadawały to samo pytanie – „Uporałeś się z tym? Już będzie dobrze?”

– Przepraszam, kiciusie – powiedział. – Nie... nie jestem pewien, co robić.

Nie widział żadnego natychmiastowego rozwiązania problemu. Użycie siły do wypędzenia Herberta i usunięcia psiego domu nie wchodziło w grę. Tamten bez trudu pokonałby Jaspера w bójce.

Jasper zdecydował więc, że spróbuje żyć z tym nowym sąsiadem w zgodzie. Lecz dom nie był zadowolony z tego obrotu spraw. Kiedy tylko psy zaczynały szczekać, jego schronienie trzęsło się, wydając z siebie istną kakofonię wkurwionych miauknięć.

Przez resztę czasu koty były cicho, ale aż gotowały się z wściekłości. Wydawało się, że w ogóle przestały odczuwać głód. Jasper nie potrafił ich zmusić do jedzenia. Po paru dniach upewnił się, że dom się kurczy – koty robiły się coraz chudsze.

Jasper przestał sypiać. Jakby mało było ciągłej atmosfery gniewu, którą generował dom, Herbert chrapał tak głośno, że nie dało się zmrużyć oka. Co kilka godzin jego pso-dom zaczynał szczekać, wprawiając koto-dom w przerażenie. Sam Herbert smacznie przesypiał ten harmider.

Po tygodniu Jasper stwierdził, że starczy tego dobrego. Słońce wstało, on też podniósł się z łóżka po kolejnej nieprzespanej nocy, ubrał się i ruszył prosto do drzwi Herberta. Walił w nie, a każdemu stuknięciu odpowiadało skomlenie ze środka.

Herbert otworzył i popatrzył z góry na Jaspera.

– Czego tu? – spytał.

– Tak nie może dalej być – powiedział Jasper. – Byłem tutaj pierwszy. To moja ziemia. Muszę poprosić cię, byś odszedł. Twoja obecność i twój dom sprawiają, że moje życie stało się nie do wytrzymania. A więc idź, zanim zmusisz mnie do podjęcia drastycznych kroków.

Herbert spojrział na Jaspera spode łba. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji.

– Pierdol się! – krzyknął i zatrzaskał pso-drzwi, aż zaskowytały.

Jasper stał tak dłuższą chwilę, gapiąc się na ich pyski. Nie wiedział, co począć.

Odwrócił się na pięcie i wrócił do siebie.

* * *

Stuk. Raur! Stuk. Raur! Stuk. Raur!

Jasper otworzył drzwi i zobaczył, że stoi przed nimi mały, łysiejący człowieczek w garniturze. Miał w ręku podkładkę do pisania i, oglądając dom, robił notatki.

Powtarzał przy tym pod nosem ciche tss, tss, tss.

– Witam szanownego pana. Pan... – zawahał się, przenosząc wzrok z Jaspera na swe zapiski. – ... Jasper?

– To ja.

– Jestem z ratusza i chciałem pana poinformować, że nie uzyskał pan odpowiednich pozwoleń, by wzniesć strukturę tego typu w granicach miasta.

Jasper nie wiedział o czym mówił ten człowiek.

– „Strukturę tego typu”? Masz na myśli koty?

– Teraz, gdy widzę to własnymi oczyma, oczywistym jest, że nie ma możliwości dostosowania tego budynku do przepisów budowlanych. – Gość mówił dalej, ignorując Jaspera. Zapisał coś na papierze, a potem szybkim ruchem oderwał kartkę i wręczył ją mężczyźnie.

– Przykro mi o tym pana powiadamiać – wyjaśnił – ale ma pan dokładnie trzydzieści dni by opuścić ten budynek, zanim miasto zdecyduje, że został postawiony nielegalnie i przeznaczy go do rozbiórki.

– Trzydzieści dni? Przecież tego nie rozbiorę! Próbowałem kiedyś, tylko po to, żeby uciec od tego dupka. – Jasper pokazał palcem dom z psów i był zaskoczony widokiem jego właściciela obserwującego z progu rozmowę, choć wcale nie powinno go to dziwić.

Gość przyciągnął z powrotem uwagę Jaspera.

– Nie mój problem. Dostał pan powiadomienie o trzydziestodniowym terminie.

– A jeśli go nie opuszczę?

– Zgniotą pana buldożery, razem z domem.

Jasper wskazał Herberta.

– A co z nim? Jego chatę też rozwalicie?

– Nie.

– Czemu?

– Wypełnił odpowiednie formularze.

– Ale jego dom jest zbudowany z psów, mój z kotów.
Jaka jest różnica?

– Wypełnił odpowiednie formularze.

– Bez jaj...

– Proszę pana, muszę się pożegnać. Życzę miłego dnia
– mężczyzna skinął na Jaspera. – Dostał pan powiadomienie.

Po tych słowach odwrócił się i oddalił w pośpiechu.

Jasper spoglądał przed siebie pustym wzrokiem, zastanawiając się, co dalej. Miał stracić swój dom. Nie tylko stracić – oni chcieli go zniszczyć.

– Ciężki los, sąsiedzie – wrzasnął Herbert. Potem zaśmiał się i zatrzasnął za sobą drzwi.

* * *

Jasper wszedł do chatki Papy Skorpiona. Mała lepianka, sklecona ze skradzionych znaków drogowych, znajdowała się aż na wschodnim krańcu miasta, dużo dalej, niż zapuszczał się jakikolwiek ludzki rozbitek – chyba, że szukał usług jej lokatora.

Mały, słabowity staruszek pokazał gestem, by Jasper poszedł za nim. Papa Skorpion ubierał się w szaty, które nie były niczym więcej niż szmatami zakrytymi jasnoczerwoną kurtką Members Only. Ciężko było uwierzyć, że ktoś wyglądający tak marnie władał podobną mocą.

Jasper rozejrzał się po wnętrzu lepianki. Książki, słoiki, papiery zalegające na dwóch stołach i łóżko pełne szczurów. Ściany w pokryte były tylko i wyłącznie znakami UWAGA i tymi, które ostrzegały przed porażeniem prądem – takimi z małym ludzikiem rażonym błyskawicą.

Papa Skorpion zwrócił uwagę na to, co obserwuje Jasper.

– Rozsądnie jest brać pod uwagę ich ostrzeżenia. – Par-
sknął śmiechem i od razu zaczął kaszleć oraz ciężko dy-
szeć. Wyjął z kieszeni kurtki inhalator, psiknął sobie do
ust i po chwili znów mógł oddychać normalnie.

– A więc co może zrobić dla ciebie Papa Skorpion?

– Chcę się zemścić – powiedział Jasper – na człowieku,
którego nienawidzę.

Papa Skorpion kiwnął głową i spojrzał na swojego gościa.
Przyglądał mu się przez moment i nagle się uśmiechnął.

– Ty jesteś tym szaleńcem, co mieszka w domu z kotów?

– A ty kimś, kto każe się nazywać Papa Skorpion?

Papa Skorpion roześmiał się głośno.

– Tu mnie masz. – W mgnieniu oka spoważniał. – Mogę
zrobić to, czego chcesz.

Wrócił do kupki śmieci. Grzebał w niej kilka sekund,
odpychając na bok papiery, książki i różne bezużyteczne
rzeczy. Potem odwrócił się i pokazał Jasperowi szklaną
fiolkę.

Ten wziął ją i zajrzał do środka. Zobaczył trochę prze-
źroczystego płynu, który wyglądał i zachowywał się do-
kładnie jak woda.

– Bezzapachowy, bezbarwny, bezsmakowy – wyjaśnił
Papa Skorpion. – Nawet mała dawka zdoła powalić rosłe-
go chłopca.

Jasper wciąż przyglądał się uważnie fiołce, myśląc o po-
tężnych rozmiarach Herberta.

– Chyba będę potrzebował tego dużo więcej.

* * *

Stuk. Hau! Stuk. Hau! Stuk. Hau!

Herbert otworzył drzwi i spojrzał na Jaspiera.

– Czego tu? – spytał.

Jasper uniósł ręce, udając, że osłania się przed ciosem.

– Po co ta agresja? Przyszedłem się pogodzić. Jak wiesz, jutro mam się stąd wynieść. Myślałem, że w moją ostatnią noc tutaj moglibyśmy spędzić miło czas.

Herbert zmierzył Jaspiera wzrokiem.

– Mam żeberka barbecue i piwo.

Jasper cofnął się o krok i zwrócił uwagę osiłka na składany stół ze stali, ustawiony pomiędzy ich domami. Leżały na nim ociekające sosem żeberka.

Herbertowi nie trzeba było powtarzać dwa razy. Odepchnął sąsiada na bok i popędził do stolika szybciej niż kiedykolwiek. Od razu złapał kawał mięsa z kością i wsunął sobie w usta.

– Zaraz przyniosę piwo – obiecał Jasper, wchodząc do swojego domu. Wyszedł z dwoma wielkimi kuflami. Usiadł obok Herberta i podał mu jeden z nich.

Herbert nie był najmądrzejszym facetem na świecie, ale wystarczająco byстрыm, by nie brać napoju, jeśli nie widział jak go nalewano. Zwłaszcza od osoby, która może go nienawidzić.

Udał więc, że pociąga łyk piwa, ale nim szkło dotknęło jego warg, błyskawicznie odstawił naczynie na blat.

– Ach, podoba mi się to, co se żeś zrobił z domem. Tak jak dach – powiedział, pokazując palcem.

Jasper odwrócił się w stronę domu z kotów.

– Dziękuję ci, włożyłem w to mnóstwo pracy. Będzie mi przykro wyprowadzać się stąd.

Gdy Jasper nie patrzył, Herbert sprytnie zamienił ich kuflę. „Dam mu nauczkę”, pomyślał.

Jasper znów spojrzał na sąsiada.

– Ale dość gadania. Zjedzmy i napijmy się.

– Zdróweczko – powiedział Herbert, unosząc swój kufel. Jedli i pili całą noc, aż do wczesnych godzin rannych. Przy każdej dolewce piwa Jasper wchodził do domu, a potem Herbert, odwracając uwagę sąsiada, zamieniał ich kufle.

Już niemal świtało, gdy postanowili, że pora położyć się do spania.

– Wiesz co, nie jesteś taki zły – bełkotał Herbert, ściskając towarzysza na pożegnanie.

„To małe gównu nie ma pojęcia, że przez całą noc zamieniałem kufle” – myślał sobie – „Nie jestem taki durny. Nie zdoła mnie otruć”.

Herbert zaśmiał się do siebie wracając do domu, a gdy tylko rzucił się na łóżko, momentalnie urwał mu się film.

Jasper wszedł do koto-domu, gdzie niczego już nie było. Zwykle chował wszędzie różne błyskotki i inne drobiazgi, które znalazł lub ukradł, żeby potem je sprzedać. Ale ostatnio pozbył się wszystkiego, chcąc zbierać wystarczającą ilość kasy na jedzenie, piwo i – oczywiście – truciznę Papy Skorpiona.

Tę, która była w każdym kuflu wychylonym tej nocy przez obu mężczyzn.

„Pieprzone skurwiele. Nigdy nie opuszczę mojego domu” – myślał Jasper – „To wszystko, co kiedykolwiek miałem i nikt mi tego nie odbierze. Ani miasto, ani ten gruby pojeb”.

Jasper zachichotał, czując, że płuca zaczynają odmawiać mu posłuszeństwa.

W domu z psów Herbert miotał się na łóżku. Toczył pianę z ust, a z oczodołów płynęła mu krew.

Koty i psy zawyły jednocześnie, wspólnie oplakując swoich umierających panów.

Kiedy wzeszło słońce, obaj mężczyźni już nie żyli.

* * *

Ekipa od rozbiórek w ogóle nie przybyła na miejsce. Mieli się zjawić, ale nigdy się nie pokazali. Ani wtedy, ani później. Domy zostały same, z martwymi panami w środku.

Wkrótce żałobę zagłuszył głód. Domów nie karmiono już od wielu dni.

Dom z kotów przełamał się pierwszy. Futrzaki czuły zapach gnijącego mięsa Jaspera, a ich oczy nie miały wyboru, musiały patrzeć na jego ciało. Setki wygłodniałych kotów ruszyły ku trupowi jak jedna istota, ich niedożywione ciała wyslizgiwały się z więzów. Dom implodował i koty runęły na swojego właściciela.

Były związane od tak dawna, że zapomniały już jak się używa łap. Te, które miały szczęście, spadły prosto na zwłoki i od razu zaczęły ucztę. Ich małe pyszczki wgrzyzały się w miękkie, lekko nadgniłe mięso. Inne koty pełzały po ziemi, traktując swoich pobratymców, żeby dotrzeć do nieboszczyka.

Wygłodniałe koty szybko pożarły trupa, ale to ich nie nasyciło. Połączenie śmierci Jaspera i głodu zniszczyło kolektywny umysł dachowców. Została w nim tylko jedna myśl. Jedna dyrektywa.

„Jeść”.

Zwróciły się przeciwko sobie, pochłaniając każdy skrawek ciała, kości i futra, zjadając się wzajemnie i jednocześnie będąc jedzonymi.

Dźwięk tego konsumpcyjnego szału zdenerwował psy. Każdym z nich wstrząsnęło wspólne pragnienie.

„Jedzenie”.

Dom z psów zawalił się i kundle szybko pochłoneły rozdęte cielsko Herberta. Potem i one zwróciły się przeciwko sobie. Ich silne i okrutne szczęki z łatwością rozrywały skórę oraz mięśnie swoich towarzyszy.

Dwa masywy mięsa, krwi i głodu rozszarpały się nawzajem, uczując na sobie. Zderzały się, skręcały się w bólu i połykały, aż nie został ani jeden kot i ani jeden pies. Polana, niegdyś porośnięta trawą i polnymi kwiatami, zmieniła się w wielką kałużę krwi, wnętrzności i strzępów futra.

W końcu także ona wsiąknęła bezpowrotnie w glebę. I nic już nie zostało.

Przekład Marek Grzywacz

M I C H A Ł S T O N A W S K I

SKÓRA

*Adamowi, bo wtedy, w tramwaju,
zapytał co mam na twarzy.*

– Atopowe zapalenie skóry – powiedział cicho pan Andrzej. Klepnął mnie w nagie ramię. Tak po męsku, z całej siły. Skrzywiłem się, ale nie chciałem płakać. Nie przy mamie, stojącej z zatroskaną miną przy kozetce.

Pan Andrzej był lekarzem, dobrym znajomym z jej szkolnych czasów. Na początku badania powiedział, że przeżyli razem niejedną przygodę. Nie zdążył sprecyzować, o jakie przygody chodziło, bo mama wtrąciła się i kazała „nie mówić o tym przy dziecku”.

– Możesz się już ubrać.

Z chęcią zeskoczyłem na podłogę. Mama cały czas spoglądała na mnie z tym samym bladym, nieudolnie próbującym mi dodać otuchy uśmieżkiem. Patrzyła tak nawet wtedy, kiedy doktor w trakcie badania zaczął macać mnie po kroczu. Nie poczułem się przez to lepiej.

W milczeniu włożyłem ubranie. Doktor usiadł przy biurku, mama po przeciwnej stronie; czekali na mnie. Szybko zająłem miejsce na stołku.

– Atopowe zapalenie skóry – powtórzył, tym razem głośniej. – Nie sędzę, by w tym przypadku było to uczulenie,

ale dla pewności zaleciłbym testy. Dobrze, że przychodzi-
cie teraz, będzie można to jakoś złagodzić.

– A wyleczyć? – zapytała mama.

Pan Andrzej oparł się na fotelu, wydając z siebie prze-
ciągle westchnienie.

– Asiu, musisz zrozumieć, że nie jest to choroba do koń-
ca uleczalna. Systematyczne przyjmowanie leków może
ją złagodzić, na jakiś czas objawy mogą ustąpić, ale...
Wypiszę receptę – dodał, starając się nie patrzeć na jej
twarz. – Nie ma się o co martwić, to naprawdę nic takiego.
Naprawdę nic.

W wieku jedenastu lat nie zdawałem sobie sprawy jak
bardzo ta choroba wpłynie na moje życie. Pamiętam za to
świetnie, że nawet wtedy swędziało jak diabli.

* * *

Potem było gorzej. Kiedy poszedłem do gimnazjum,
nieubłagany czas wpędził mnie w wiek dojrzewania. Bar-
dzo przyjemny dla ludzi do bólu normalnych, ale nie dla
„atopików”, jak nazywali siebie na internetowych forach
wsparcia. Nawet maści nie pomagały. Czasami całą twarz
pokrywała skorupa piekącej, twardej i odpadającej skóry.
Nie mogłem się uśmiechnąć, bo usta natychmiast zaczy-
nały krwawić. Czułem, jakbym się rozpadał, gubiąc frag-
menty siebie na szkolnych korytarzach. Oczywiście ró-
wieśnicy nie chcieli mieć ze mną nic wspólnego, szybko
stałem się klasowym popychadłem. Najgorsze były spoj-
rzenia dziewczyn – a nawet nauczycielek – pełne obrzy-
dzenia i niesmaku. Dwa razy zmieniałem szkołę. Raz,
kiedy koledzy z klasy oddali na mnie, jeden po drugim,
mocz w kiblu, drugi, kiedy związanego, zakneblowane-

go i z workiem na głowie znaleziono mnie w szafce przy zamykaniu budynku. W obu przypadkach winnych nie odnaleziono, zaś dyrekcja szkoły sugerowała, by przenieść mnie do klasy dla ludzi „specjalnych”. Rodzice nie chcieli o tym słyszeć.

Kiedy poszedłem do liceum, sytuacja nieco się poprawiła. Już pod koniec drugiej klasy mogłem po raz pierwszy od wielu lat poruszać się luźno, bez obawy o to, że w którymś z miejsc moja skóra pęknie. Leczenie przyniosło skutki. Szkołę średnią, choć z nienajlepszymi ocenami i bez jakichkolwiek znajomych, ukończyłem wyglądając już jak człowiek – przynajmniej jeśli ktoś nie przyglądał się mi za długo.

Wtedy odkryłem zalety swojego stanu.

Pewnego dnia zdałem sobie sprawę, że coraz dłużej przesiaduję w łazience, za każdym razem lekko podnosząc temperaturę wody. W tych zdrowych rejonach ciała powodowało to natychmiastowy ból. Była o wiele za gorąca dla człowieka. Co innego dla reszty. Mój Boże, jakie to było przyjemne! Smagany wodnymi biczami o temperaturze prawie osiemdziesięciu stopni Celsjusza, jęczałem cicho z rozkoszy.

Szybko znalazłem w sieci informacje, że skóra ludzi z moim schorzeniem jest o wiele bardziej czuła, zupełnie inaczej reaguje na świat zewnętrzny. Podobno dawało to niesamowite korzyści w łóżku.

Skorzystałem z tej wiedzy w stu procentach. Kiedy nikogo nie było w domu, godzinami onanizowałem się, ocierając się o dywan i meble, a każda komórka mojego ciała wręcz wyła z rozkoszy.

Kiedy dostałem się na studia, zdałem sobie sprawę, że to mi już nie wystarcza. Potrzebowałem nowych doznań.

* * *

Miała na imię Ola. Chodziliśmy na jeden kierunek, tyle że do różnych grup. Dzięki maściom moja skóra była prawie identyczna jak wszystkich innych osób. Zapuściłem włosy, nauczyłem się rozmawiać z ludźmi. Nawet mi szło.

Ola miała długie, ciemne loki i niesamowite nogi. Ani grube, ani krzywe, ani też cienkie i patykowate jak u większości odchudzających się dziewczyn. Grała w koszykówkę, była wysportowana, nie dało się tego nie zauważyć. Chyba wszystkie pozostałe, wyglądające jak wiecznie niedożywione upiory panny z roku zazdrościły jej sylwetki, głodząc się coraz bardziej. W połowie semestru dwie z nich, Kasia i Natalia, popełniły samobójstwo, nie mogąc poradzić sobie z depresją. Ich koleżanka, Agnieszka, trafiła do szpitala z ostrym przypadkiem anoreksji.

A Ola była sobą. I słuchała metalu, jak ja. Szybko się dogadaliśmy, zaczęliśmy chodzić na koncerty. To na którymś z nich, w samym środku pogo, pocałowała mnie po raz pierwszy.

Po jednej z takich imprez zaprosiłem ją do siebie. Mieszkałem sam, w małej kawalerce na osiedlu. Zgodziła się. Zahaczyliśmy jeszcze o jakiś pub, jakich w Krakowie wiele, nim wreszcie znaleźliśmy się w moim skromnym mieszkanku. Była pijana, ja też. Ani trochę nam to nie przeszkadzało.

– Chcesz może... herbaty? – zapytałem niepewnie.

Nie chciała. Nim się zorientowałem, zdążyła się rozebrać prawie do naga, jednocześnie przyciskając mnie do ściany i całując.

Odkryłem wtedy następną zaletę mojego stanu. Mówią, że ciało kobiety jest w niektórych przypadkach jedną wiel-

ką strefą erogenną. Moje było takie samo. Jak nikt inny, rozumiałem co należy zrobić i kiedy. I sam też na tym korzystałem.

Rano jej już nie było. Kiedy się obudziłem, zobaczyłem jej nieruchomą postać na balkonie, trzymającą się kurczowo barierki. Jej skóra stała się taka jak moja, popękana i twarda. Oła rozpadła się pod moim dotykiem i rozwiała na wietrze. W powietrze wzniósł się pył i tysiące dziwnych kulek. Zarodników, jak się okazało później.

Nie martwiłem się za bardzo. Zrozumiałem, że taka jest kolej rzeczy. To naprawdę nic takiego, jak powiedział kiedyś pan Andrzej, naprawdę nic.

* * *

Następna była Magda. Poddawa się prawie natychmiast, wystarczyło umiejętnie ją dotknąć. Tej nocy złączyłem się w nią parę razy. Rano tylko lekko pacnąłem. Rozsypała się po pokoju. Parę ruchów odkurzaczem i po krzyku.

Potem znalazłem Kasię. Chodziła jeszcze do gimnazjum, ale bardzo mi się spodobała. Była chyba najbardziej doświadczoną kochanką ze wszystkich, jakie miałem przed nią i po niej. Nie próżnowała, od kiedy w podstawówce straciła dziewictwo. Nauczyła mnie paru nowych sztuczek. Łuszczyliśmy się całą noc, bez wytchnienia. Ona pierwsza, zamiast się rano rozlecieć, wybuchła, zamieniając się w piękny obłok kurzu. Przewornie zostawiłem otwarte okna, zarodniki bez przeszkód wyleciały w świat.

Wkrótce moja odmiana choroby skóry była wszędzie. Nasiona wykonały dobrą robotę, przenosząc ją na wszystkich w zasięgu wiatru. Z kolei oni przekazywali je dalej, złączając się w swoje żony, matki, córki. Wszyscy po ja-

kimś czasie eksplodowali, jak miniaturowe modele Wielkiego Wybuchu. Oglądając to w wiadomościach, płakałem ze wzruszenia.

Przestałem brać leki, uznając je za zbyteczne. Żadna kobieta nie mogła mi się oprzeć. Zamknięto szkoły, prezydent ogłosił stan klęski żywiołowej. Na całym świecie notowano przypadki zachorowań. Zakazano seksu, tym samym tylko przedłużając agonię świata. Ludzie długo nie wytrzymywali, biologiczny imperatyw okazał się silniejszy. Łuszczyli się nawzajem, znikając potem w chmurze szarego pyłu.

Ja jeden nie miałem zahamowań, byłem zawsze pod ręką, by pocieszyć i przytulić w tych koszmarnych dniach. Pod moim dotykiem kobiety miękły, drżały. A potem znikły w odkurzaczu.

* * *

Tak to się zaczęło. I tak skończyło. Jestem sam. Piszę te słowa w jaskini, czując, że nawet ona nie chroni mnie dostatecznie przed wiatrem. Rozsypuję się powoli. Świat jest pusty, pokryty warstwami szarego kurzu tworzącego wydmy i z wolna zasypującego martwe miasta.

Nie wiem, jak długo jeszcze będę zdolny trzymać w palcach ołówek. Wszystko mnie swędzi. Muszę z tym walczyć, drapanie pogorszy tylko sytuację.

Smutno mi tylko, że nikt mnie nie odkurzy.

M A R C I N R O J E K



Nad ogromną, zdobioną bramą powoli zapalał się neon. Zebrani niżej ludzie zaczęli się denerwować. Niektórzy stali tam już całą wieczność. Kiwali się z nogi na nogę, rozmawiając ze sobą, by odegnać dręczącą ich frustrację. Większość stała bez ruchu, niemo gapiąc się na ogromną kłódkę. Ktoś gdzieś upadł na ziemię i nie chciał wstać, ktoś inny krzyczał, że ma dość. Wszyscy czekali.

Wreszcie neon zapłonął w pełni. Widniała na nim liczba. Sto czterdzieści cztery tysiące.

Zagrały trąby.

Huk rozszedł się po wszystkich chmurach, prawie strącając kilka z nich. Ludzie zatykali sobie uszy i przewracali się przerażeni. Większość z nich nawet w chwili śmierci tak bardzo się nie bała. Kakofoniczne dźwięki prawdopodobnie układały się w jakąś melodię, ale gdyby w tej chwili zapytać kogoś czy podoba mu się to co słyszy, odpowiedziałby zdawkowym: „Aaaaaa, zabierzcie mnie stąd! Ratunku! Moja głowa!” albo czymś podobnym.

Potem przyleciały anioły.

Nieprzebrana horda uskrzydłonych istot o złotych włosach i starych twarzach, w których odbijało się światło początku świata. Najstraszniejsze były ich oczy, niczym bezdenne, czarne studnie, które obserwowały niepokala-

ne poczęcie, widziały jak lwy rozrywają dzieci na strzępy i beczynn timer gapity się przez okno, kiedy gospodarz, u którego zatrzymały się na noc, dał tłumowi do zgwałcenia swoją żonę i córkę. Niejeden cherubin po dziś dzień spada w nocy z gałęzi albo drutów telegraficznych, zbudzony przez krzyk powracający w koszmarach.

Uzbrojona w harfy, trąby, skrzypce, gitary i saksofony pierzasta tłuszczka przez dobrych kilka minut utrzymywała zwarty szyk. Dopiero na wysokości czwartego nieba jeden z serafinów oberwał smyczkiem w oko i zaczął spadać w dół. Ostatkiem sił rozłożył skrzydła, dzięki czemu przeszedł w lot ślizgowy. Ciął szeregi swoich ziomków, roztrącając ich na boki, wytrącając z malutkich dłoni instrumenty, tłukąc głowy i wrywając pióra. Parada rozleciała się jak domino i poszła w rozsypkę.

– Wystarczy – zabrzmiał głos z najwyższego nieba. Wszystkie inne odgłosy zamilkły. Anioły zatrzymały się w powietrzu wraz z całym swym dobytkiem. – Wypuście krakena!

Nastała niezręczna cisza.

– Nie mogłem się powstrzymać. Uwaga, schodzę!

Wszystkie nieba pękły na pół. Świat rozpadł się na milion kawałków i zrósł od nowa. Powietrze przed zebrany tłumem zgęstniało. Stojący najbliżej mieli problemy z oddychaniem. Część z nich rzuciła się do ucieczki, kilku najdzielniejszych padło na kolana i zaczęło się modlić. Myśleli, że ujrzą twarz Boga. Dwóch z klęczących zdażyło spojrzeć w górę, w samą porę, żeby zobaczyć jak boży tron miażdży im czaszki. Krew owieczek zamortyzowała ładowanie.

Tron boży był... zwykłym drewnianym, bujanym fotelem, osadzonym na ogromnym, kamiennym monumencie. Każde kolejne kiwnięcie mebla wywoływało monsu-

ny. Biedne anioły, które dopiero co zdołały zebrać się do kupy, porwało powstałe tornado.

– Tato, przestań – zapiszczał mały Jezusek. – Aniołki uciekają.

– Dobrze, synku – powiedział Bóg. Wciągnął ogromny haust powietrza, zasysając do środka cały wiatr z okolicy. I kilka rannych aniołów, które nie miały siły wydostać się z wiru. Najważniejszy żołądek we wszechświecie drgnął, poruszony setkami piór, i beknął. Jezusek zaśmiał się, Maryja oburzyła się szlachetnie, zakrywając usta dłonią.

Wierni padli na kolana, obserwując boski majestat. Bóg był potężny. Wymiary 6-9-6, w metrach oczywiście. Ogromna, otoczona siwymi włosami głowa z jednym okiem pośrodku czoła. Dwie ręce, dwie nogi. Długa, biała szata. Nad głową wisiała mu fosforyzująca aureola, której kolor zmieniał się, dostosowując się do nastroju. Teraz była lekko różowa, pewnie dlatego, że na jednym z bożych kolan siedziała Maryja, popiskując z cicha za każdym razem, kiedy boże ręce otaczające cały świat zahaczały o jej udo. Na drugim kolanie siedział mały Jezusek, miał może z dziesięć lat i mocował się z nieposłuszną aureolką, ciągle spadającą mu z głowy. Całe niebo wołało kiedy Syn był w takiej formie. Wesoły, słodki i głupiutki, biegł wszędzie, śmiał się i skakał po chmurach. Nie to co jego starsza wersja. Zmartwychwstały Jezus tylko włóczył się, zostawiając wszędzie ślady krwi, narzekał, że boli go głowa, a zawsze kiedy widział Ojca, pytał tylko „Czemuś mnie opuścił?”.

– Panie – zagadnął święty Piotr, stojący przy tronie z teczką pod pachą.

– Mów Piotrek, co mu tu mamy?

– Dusze czekające na wejście do Nieba.

– A tak, tak. – Bóg rozejrzał się po wypełnionej owieczkami przestrzeni. Jedyna brew ciężko opadła mu na oczodół. – Piotrek, coś ich dużo.

– Według moich zapisków jest ich dokładnie...

– Jeden, dwa, trzy – zaczął liczyć Jezusek.

– Starczy. Nie chcę wiedzieć. Piotrek?

– Tak, Panie?

– Do nieba możemy wpuścić tylko sto czterdzieści cztery tysiące.

– Zgadza się.

– Musimy jakoś wybrać.

– Masz rację, Panie.

– Co najpierw?

– Ja wiem co możemy zrobić! – Jezusek aż zaklaskał w dłonie, zadowolony ze swojego pomysłu. Wszystkie oczy zwróciły się ku niemu. – Niech się biją.

Bóg opuścił brew w gniewie, Maryja zemdląła, a Święty Piotr upuścił teczkę.

Jezus spojrział zdziwiony na rodzinę i przyjaciół. Nie pojmował czemu robili takie dziwne miny. Jego pomysł przecież zakrawał na geniusz. Skoro dusz w kolejce do zbawienia jest zbyt wiele, to niech walczą o miejsce w Niebie. Proste. Co innego można zrobić? Przecież nie będą losować, to by nie było sprawiedliwe.

Ojciec popatrzył na Syna raz jeszcze i na twarz jego wpelzł błogi wyraz zadowolenia. Święty Piotr, który dopiero co podniósł teczkę, znów ją upuścił, widząc spojrzenie, jakim jego Pan obdarzył stojące przed nim dusze.

– Zrobimy to – powiedział.

– Ależ Panie! – Piotrowi głos drżał jak nigdy wcześniej.

– Czyż jesteś pewien tego, wszak oto stoją przed Majeństwem Twym dusze żywot swój na ziemi wiodące bło-

gosławiony, które żyły według Twych prawa i nauk syna Twego, na przekór ludziom i światu w wierze wytrwali, by w nagrodę przy tronie twym na wieczność móc ogrzewać esencje swojego jestestwa.

– Czemu tak gadasz, Duch znowu dał ci wina? – Zdziwiony Ojciec jedynym okiem lustrował okolicę w poszukiwaniu gołębia, bo taką postać zazwyczaj przyjmowała trzecia jego osoba. – Czy ktoś wie gdzie on jest?

– Ja wiem – dobiegł cichy, nieśmiały głos, gdzieś z tyłu. Z cienia rzucanego przez tron wygramolił się mały, skrzywiony życiem i dobity śmiercią człowieczek.

– Tata! – krzyknął Jezusek i pobiegł do niego. Józef spokojnie przyklęknął i przytulił swego przybranego syna.

Bóg ukradkiem pochylił się do Piotra.

– Co on tu robi? – zapytał cicho.

– Ja nie wiem. – Piotr zbladł, później poczerwieniał.
– Przepraszam, Panie.

– Maryjo, może ty wiesz coś na ten temat?

Matka Boska posłusznie skłoniła ku Bogu swe białe lico. Delikatne usta powoli układały się w słowa.

– Oto ja, służebnica pańska – zaczęła, ale Ojciec przerwał jej w pół zdania.

– Za pierwszym razem, kiedy to powiedziałaś, to mi się podobało, za drugim też. Za trzecim szczególnie, ale co za dużo to niezdrowo, tak?

Maryja jedynie zaczerwieniła się i nie powiedziała nic.

Tymczasem, w cieniu tronu, trzech muskularnych aniołów już pozbywało się natrętnego Józefa. Bóg ostentacyjnie zamknął oko i nie słyszał błagań męża matki swojego syna.

– Maryjko, ja cię kocham! – wrzeszczał Józef, choć pióra zatykały mu usta. Maryja pobladała, a po chwili dla pewności zemdląca.

Jeden ze skrzydlatych podleciał do Ojca i pokazał mu trzymanego w dłoniach gołębia. Duch Święty wyglądał jak psu z gardła wyciągnięty. Kto go tam wie, pomyślał Bóg, może znowu bawił się z Cerberem w Hadesie? Pobrudzone białe pióra, szyjka wykręcona tak, że zarzygał sobie plecy.

– Znowu jesteś pijany! – Bóg wydarł się na trzecią swoją osobę. – Przestań wreszcie chlać, bo cię wchłonę i znowu będzie tak jak kiedyś.

Na te słowa Duch Święty obudził się w ciągu milisekundy i siadł na ramieniu Ojca. Z jego dzioba bił błogi wyraz alkoholowego upojenia, skrywany pod udawanym poczuciem winy.

– Chcesz mi coś powiedzieć? – zagadnął Bóg.

– Nie – odparł Duch Święty.

– Na pewno?

– Nudziło mi się, a Hermes miał trochę ambrozji.

– Milcz! Później się z tobą policzę. Musimy się zająć teraz duszami.

Bóg skupił spojrzenie swego jednego oka na Jezusie, który siedział cicho na jego kolanie. Nie musiał nic mówić. Jego Syn był przecież nim samym. Wiedział, że źle zrobił i nie wolno mówić „tato” do obcych ludzi, a w szczególności do znanych, ale nie lubianych. Opuścił głowę i w milczeniu myślał o swoim zachowaniu.

Umiłowane dusze patrzyły na to wszystko w przerażającej ciszy. Nie tak wyobrażali sobie Boga i chwilę, kiedy ujrzą go pierwszy raz. Pomimo tego ich wiara była silna, stanowili jednak śmietankę wierzących, który najmocniej ukochali Pana i najwięcej miejsca przeznaczyli dla niego w swych sercach. Ojciec i Święty Piotr przyjrzeni się tłumowi. Pośród setek tysięcy ludzi można było dojrzeć przed-

stawicieli wszystkich ras i klas społecznych. Jedna wielka masa, która zlewała się, jednostajnym ruchem mamiąc zmysły patrzących, wprowadzając ich w błąd i osłupienie. Postacie znikały i pojawiały się, powielały się i rozmywały, łączyły się i rozdzielały. Ciężko było stwierdzić, gdzie kończy się jeden człowiek a zaczyna drugi. Ciżba czekała już tak długo, a teraz, kiedy wreszcie ujrzeli twarz Najwyższego, zamiast paść na kolana i wznosić modły na jego cześć, gapili się osłupieni, nie bardzo rozumiejąc co się dzieje dookoła nich. Nad tłumem unosił się jednostajny szum nieprzerwanych głosów, upodabniający ich do ogromnego ula.

Uwagę Boga przykuła nagle jedna z dusz. Szara skóra, długie kończyny, duża głowa i ogromne czarne oczy. Nawet Jezus zorientowałby się, że coś było z nim nie tak.

– Piotrek – zagadnął Ojciec – a ten to kto?

Święty Piotr zniknął na chwilę pomiędzy kartkami.

– Pamiętasz Panie ten projekt, w którym do Nieba mogli trafić nawet ci, którzy nie znali wiary w Ciebie, ale wykazali się wspaniałą chrześcijańską postawą? – Bóg pokiwał twierdząco głową. – No właśnie, no to tym sposobem i on się załapał. To właśnie po tym, eeeee, incydencie zrezygnowaliśmy z tego pomysłu.

Bóg milczał. Ale nawet jego milczenie miało tyle znaczeń, że Aniołowie aż uginali się pod ciężarem Jego myśli a Jezus trzymał się za główkę. Tylko Duch Święty wciąż był podejrzanie zadowolony.

Tron Boży przestał się bujać. Wiatry ustały. Anioły mogły znów wznieść się w powietrze, ustawić szyk i zagrać boską melodię. Dusze zamilkły i jak jeden trup spojrzały na swojego Pana Jedyneho.

– Przemówiłem – powiedział Bóg. – Przez całe wasze życia wiara we Mnie była waszą bronią przeciwko tym,

którzy stali przeciw wam. Niech teraz i tak będzie. Nim piach w tej klepsydrze przesypane się do końca, przed moimi oczami ma trwać was tylko sto czterdzieści cztery tysiące, ani jednego więcej, ani jednego mniej.

Ojciec usiadł. Jezusek poprawiał aureolę, która znów spadła mu na oczy. Jedyne oko Boga spoczęło na Maryi, która zaczerwieniła się i zachichotała lekko.

– Oto ja, służebnica – wypaliła nagle bez sensu i powodu.

– Oj, zamilcz – powiedział Bóg, trochę jakby bez przekonania. – Zaczynajcie! – Zwrócił się do dusz.

Przed bramą Nieba zapadła cisza. Nikt nie poruszył się. Nawet Aniołowie milczeli. Tylko Jezus zacierał swoje małe rączki.

– Panie – zagadnął Święty Piotr. – Nie bardzo rozumiem jak niby te dobre dusze miałyby robić sobie krzywdę.

Bóg tylko pokiwał głową z zażenowaniem. W jednej chwili wszyscy jego wybrańcy odzyskali swoje ciała. Miliony litrów krwi znów popłynęły korytarzami żył, mózgi poczuły lekkie uderzenia elektrycznych impulsów. Ludzie zaczęli cieszyć się i wiwatować. Ściskali się i całowali. Szczęście takie trwało zaledwie kilka minut. Bóg uśmiechnął się, a Jezus zaklaskał w dłonie z zadowolenia, kiedy czyjaś święta głowa potoczyła się po chmurze. To szlachetny rycerz Ryszard Lwie Serce zrozumiał sens słów Pana i pierwszy raz od wielu lat użył swojego miecza. Prowadził dzielnych kompanów poprzez hordę owieczek, z każdą chwilą drastycznie zmniejszając ich liczbę. Nastąpiła panika. Ludzie biegali we wszystkie strony, krzyčeli, klękali do modlitwy i błagali Boga o litość. Wrzask, który podniosła stłoczona ciżba, zachwiał powietrzem do tego stopnia, że Anioły musiały skryć się za tronem Ojca w obawie o swoje pióra. Nie przeszkadzało im to o te same

pióra zakładać się i obstawiać, które dusze wytrwają. Najczęściej stawiali na szlachetnego Ryszarda i jego rycerzy, albowiem oni mieli na swoim koncie największą liczbę ofiar. Miecze ich, już obficie pokryte krwią, nie ustawały w pracy, same rwały się do wykonywania woli bożej. Przypominało im to czasy krucjat. Jednak tym razem przeciwnik rzadko miał siłę zebrać się do obrony.

Wielu innych, podobnych im bohaterów było pośród rzędu dusz. Na przykład taki Zawisza Czarny, który pośród ludzi idąc, siekł tylko tych, którzy mu na Turków wyglądali. Większość tłumu stanowił tymczasem lud prosty, zwyczajnie ubrany, nie okuty w blachy i bez żelaza w dłoniach. Święty Piotr ze strachem w oczach patrzył na tę scenę, ale nie kwestionował decyzji Pana. Bóg, widząc zmieszanie na twarzy swej opoki, uśmiechnął się jeszcze szerzej. Minęło kilka sekund, zanim plan Jego zupełnie wszedł w życie.

– Wolna wola przyjacielu – powiedział do Piotra, drapiąc Maryję za uchem. – Siła myśli. Jeśli człowiek ma wiarę, to nie ma dla niego niemożliwego.

Wtem, jak wizualizacja Jego słów, pomiędzy cizbą podniósł się krzyk, który można by nazwać wręcz piekielnym. Jedna z emerytek, a tych bez liku poległo już w walce o wieczność, biegła, dzierżąc pod pachą karabin maszynowy, który pluł nieprzerwanym ogniem, rozdając ołów na lewo i prawo, rozrywając ciała i wysyłając dziesiątki dusz do przedwiecznej pustki.

– Wystarczy uwierzyć. – Bóg westchnął w zadumie nad własnym geniuszem. Jezusek złożył ręce w karabin i udawał, że strzela.

Tak oto pod bramą Nieba rozpętało się prawdziwe piekło. Tysiące dusz uzbroiło się we wszelkie narzędzia mor-

du, jakie tylko byli sobie w stanie wyobrazić. Dookoła lały pourywane kończyny, głowy i członki. Krew lała się nieprzerwanym strumieniem, barwiąc chmury na głęboki szkarłat. Wykwitające miejscami eksplozje wskazywały jednoznacznie na to, że ktoś zaopatrzył się w bazukę. Ludzie mieli w dłoniach wszystko, od mieczy, kijów, noży, patelni, po przedmioty tak ekstremalne jak haki do mięsa czy piły łańcuchowe.

Dusze przestawały istnieć w tempie błyskawicznym. Święty Piotr już nie nadażał ze skreślaniami nazwisk z listy. Patrzył tylko jak licznik szaleńczo zmierza w dół. Jeszcze trochę tej okropności i wszystko się skończy. Sto czterdzieści cztery tysiące zbawionych zawitają do Nieba i będą żyć tam w majestacie swego Pana po kres czasów. Zastanawiał się jak idzie reszcie apostołów. Nie mógł wiedzieć, że strzęp mięcha, który właśnie uderzył go w policzek, sekundę temu należał do Pawła. Reszta radziła sobie całkiem nieźle. Odwrócenie plecami do siebie, uzbrojenie w narzędzia rolnicze, z imieniem Jezusa na ustach trwali niewzruszenie, nie ponosząc na razie więcej strat.

Pole walki podzieliło się na mniejsze, zmagające się ze sobą obozy. Otoczony wianuszkami swoich dzieci Hiob odpierał zmasowany atak starszych kobiet w beretach, dowodzonych przez grubego mężczyznę w stroju księdza z dwudziestego pierwszego wieku. Babcia z karabinem maszynowym poległa już dawno, przebita na wylot oszczepem czarnoskórego wojownika. Lwie Serce stracił prawie połowę swoich ludzi, ale dzielnie parł naprzód, tnąc każdego kto stanął mu na drodze.

Bóg gładził brew w zadowoleniu. Patrzył jak problem rozwiązuje się sam. Do upragnionej liczby brakowało bardzo niewiele. Jezus na jego kolanach zasłonił się aureolą,

Maryja leżała obok tronu, zdjęta kolejnym omdleniem. Ku jej ciału powoli zmierzała kałuża krwi.

– Właśnie! - Bóg uderzył się otwartą dłonią w czoło.
- Piotrek, zapomnieliśmy o nienarodzonych.

– Tak tak, Panie, przepraszam, to przez to całe zamieszanie z mordowaniem.

Święty Piotr podszedł do wbudowanej w tron dźwigni i pociągnął ją. Ze względu na ich stan, dusze dzieci nienarodzonych trzymano w specjalnych pojemnikach nad Niebem. Inaczej, przez swój mały rozmiar, część z nich unosiłaby się w powietrzu i zapychała instrumenty aniołom. Komory zostały otwarte. Nieprzebrana liczba płodów, którym nigdy nie dane było się urodzić, spadła na walczących. Były pośród nich istotki składające się jedynie z kilku komórek, ale też pociechy większe, dające się dostrzec, które zmarły w brzuchach swych matek, bądź też zostały poddane zabiegowi na A.

Dusze poniżej zatrzymały się zdziwione. Wielu pomyślało, że to jedynie czerwony deszcz. Tymczasem ciała małych dzieci spadały na chmury, część była zbyt lekka, żeby opaść do końca i chybotwała się na wietrze wywołanym ruchem walczących. Tysiące nienarodzonych znalazło swój koniec w płucach nic nieświadomych dusz, gdzie wciągnięte razem z wdechem ginęły od temperatury i wilgotności.

Chmura, i tak już śliska od krwi, zamieniła się w klejącą, czerwoną breję, kiedy małe ciała rozbijały się o jej powierzchnię i zostawały zgniecione pod butami lub korpusami dusz. Matka Teresa, próbując krzyczeć, połknęła trzymiesięczny płód. Święta zakrztusiła się i umarła, zanim wpadła w odmęty czerwonego jeziora pod jej nogami.

Deszcz płodów padał jeszcze przez kilka długich minut. Prerażone dusze zaprzestały walki, patrząc jak niewin-

ni nienarodzeni spadają im na głowy. Wnet jednak jakiś pomniejszy święty celnym ciosem rozplątał czaszkę franciszkaninowi i rzeź ruszyła na nowo.

– Jesteśmy już blisko – powiedział Święty Piotr do Boga, który patrzył znudzony na niekończącą się walkę. Od czasów zesłania Jezusa nie Ziemię nie bawiło go okrucieństwo i ofiary z ludzi.

– To dobrze – odparł Ojciec. – Bo zaczynam mieć tego dość.

Znudzony Jezus leżał, opierając się o nieprzytomną matkę. Piotr odłożył teczkę i patrzył na licznik, zbliżający się szybko do wyczekiwanej przez wszystkich liczby. Bóg skupił swoje oko na toczącej się wciąż walce. Tak wiele dusz musiało jeszcze zniknąć ostatecznie z tego świata, żeby mogło wypełnić się to, co zostało zapowiedziane na początkach dni. Patrzył więc jak wytworzone siłą ludzkiej myśli granaty wybuchają w tłumie papieży próbujących chronić się nawzajem, jak młody ksiądz odrywał głowę koledze z seminarium, matka odrzucała trzymane na rękach dziecko, żeby odeprzeć atak własnego męża. Młodzi i silni mężczyźni padali pod ciosami lasek starych dziadków. Przestraszone pociechy przewracały dorosłych i trzymały im głowy pod czerwoną krwią tak długo, aż przestawali się poruszać. Aniołowie co jakiś czas wyrwali sobie pióra ze skrzydeł i przekazywali je kolegom. Padło już tak wielu, na których ktoś postawił.

– Stop! – Krzyk Boga zatrzymał wszystkich. Trzymany przez Świętego Piotra licznik pokazywał właściwą liczbę. Sto czterdzieści cztery tysiące wiernych zostało na chmurach przed bramami Nieba. Dokładnie tyle, ile miało prawo wejść do środka. Na twarzy Ojca wykwitł uśmiech wspanialszy niż cokolwiek innego w tym świecie. Blask

jego zębów zalał wszystko żółtym światłem. Biło od niego ciepło i miłość.

Dusze ukłękły zmęczone. Wystarczyła jednak tylko jedna myśl ich Pana, żeby wszyscy znów byli wypoczęci, uzdrowieni i zadowoleni. Szczęście wlało się w ich serca wartkim strumieniem i wiedzieli, że od tej pory wszystko będzie dobrze. Chóry anielskie wzniosły się w powietrze. Choć wielu aniołom brakowało piór, lecieli wysoko i śpiewali piękną pieśń. Święty Piotr podszedł do Bramy Nieba. Pilotem wyłączył alarm. Z kieszeni szaty wyciągnął ogromny klucz i włożył do kłódki. Dwóch aniołów musiało pomóc mu go przekreślić.

Bóg płakał, patrząc jak królestwo znów staje otworem. Miał wszystko czego potrzebował, żeby tam wejść.

– Czy Karol może iść pierwszy? – spytał nagle Jezus.

– Słucham?

– No bo mama chciała się zapytać, ale się wstydzi.

Wspomniany papież, w wielkiej tiarze na głowie, grzecznie pomachał Świętej Rodzinie i błyskawicznie przepchnął się na początek kolejki.

– Maryjko, czemu akurat on?

Maryja spojrzała w oko Boga, spieszyła się i zamiast odpowiedzieć, znów wypaliła. – Oto ja, służebnica pańska.

– Dobra, niech idzie, tylko już nic nie mów. To nieważne, byleby wszyscy weszli.

Karol posłusznie skierował się ku otwartej bramie. Bijący od wewnątrz blask oślepiał go, ale dawał też poczucie bezpieczeństwa. Papież zamienił kilka słów z Piotrem i wszedł na schody. Potknął się i upadł. Wszyscy wstrzymali oddech, kiedy głową uderzał o posadzkę. Trzask łamanego kręgosłupa rozszedł się echem po wszystkich poziomach Nieba. Ciało stoczyło się ze schodów i obróciło

w pył. Zostało po nim jedynie kilka kropel krwi i trzy wybite zęby. Licznik trzymany przez Świętego Piotra zmienił wyświetlaną liczbę, zapłonął czerwonym światłem i zawył.

– Lucek! – krzyknął Bóg tak głośno, żeby było go słychać w Piekło. Wezwany władca podziemi pojawił się po chwili. Przystojny, elegancki, ubrany w markowy garnitur, wyraźnie odstawał od reszty. Spojrzał na Maryję, bawiąc się włosami, zakręcając je na jeden z siedmiu rosnących mu na czaszce rogów. Cień, który rzucał na czerwoną chmurę, miał kształt koziego łba.

– Nie pytaj o nic Lucek, później ci to wszystko wytłumaczę. Dobra?

Lucyfer posłusznie kiwnął głową.

– Potrzebuję jednej duszy. Czyjejkolwiek, po prostu weź jakiegoś mało złego i podrzuć go do nas na górę.

– A Ty ot tak wpuścisz go do Nieba?

– No tak, szkoda czasu.

– Jak sobie zyczysz. – Lucek obrócił się na racy i zniknął. Nie minęła sekunda, a na jego miejscu, tuż pod wejściem do Nieba, pojawiła się chmura szarego pyłu i rozniósł się głośny kaszel. Dym opadał powoli, kiedy przybysz rażnym krokiem wparował do Nieba. Gdzieś z głębi dał się słyszeć dźwięk tak donośny, że instrumenty aniołów opadły zawstydzone swoją nikłością.

– Ale tu jest cudownie – powiedział głos zza bramy.

Bóg, słysząc go, wyprężył się jak struna, Jezus zaczął płakać, skulony u matczynej piersi. Maryja ze złością popatrzyła na Ojca. Tknięty delirium Duch Święty spadł na ziemię, śmiejąc się histerycznie

Pierwszą zbawioną duszą, która na stałe weszła do Nieba, był Judasz.

KRZYSZTOF MACIEJEWSKI

CZARNE GALERY

Niebo syci oczy błękitem, ale gdzieś za horyzontem czają się ciemne chmury. Mężczyzna w czarnym płaszczu kroczy brzegiem morza, wpatrzony w wyrzucane przez fale odłamki szkła – fragmenty lustra leżącego na dnie oceanu, na zawsze wydarte głębinom. Wzrusza ramionami i idzie dalej. W oddali latarnia morska wskazuje drogę gwiazdom.

* * *

Często zastanawiałem się, dlaczego kupiłem dom na skraju plaży. Nie, żebym był uczulony na huk fal przyboju. Nie zapominajcie jednak, że z faktem posiadania nadmorskiej chatki wiąże się wiele niedogodności takich jak mewy czy zapach wodorostów gnijących pod oknem. Być może za często ulegam nostalgicznym nastrojom, jak wtedy, gdy w pobliskiej tawernie rozbrzmiewają śpiewy pijanych żeglarzy. A może te chwile zwątpienia w sens zamieszkiwania na plaży są powodowane przez jakiś psychiczny barometr, który kobiety – w swojej nieświadomości – nazywają intuicją.

Pracowałem nad zamówionym przez mojego wydawcę zbiorem opowiadań, a termin jego oddania zbliżał się

nieubłaganie. Gapiłem się w pusty ekran monitora i nagle usłyszałem sygnał telefonu. Dzwoniła Meg.

– Cześć kochanie. Jak tam twój zbiorek?

– Powoli się wykluwa – odparłem. Uznałem, że nie będę dodawać, iż jestem dopiero na tropie jego rodzinnego gniazda.

– Wiesz, Chris... Mam do ciebie mały romans...

– Cieszy mnie to.

– Sprawa w zasadzie nie jest na telefon. Przyjadę do twojej pustelni jutro.

– Jak chcesz... Ale muszę cię ostrzec, że od tygodnia nie widziałem kobiety...

– Zaryzykuję. Słuchaj, muszę kończyć. Będę u ciebie jutro koło dziesiątej. Kocham Cię, Chris!

Bardzo ucieszyłem się z zakończenia rozmowy. W końcu takie uczucia u byłych żon są raczej rzadkością. Zastanawiało mnie jednak coś innego. W czasie tej krótkiej konwersacji Meg dwukrotnie nazwała mnie Chrisem, chociaż nigdy przedtem tak się do mnie nie zwracała.

Właściwie nikt nigdy tak się do mnie nie zwracał – nazywam się Conrad.

* * *

Na wybrzeżu od wieków trwa wojna morza i wiatru. Morze wysyła na front zastępy spienionych fal, podczas gdy wiatr śle legiony mew wściekle bijących dziobami o wodę. Jak na razie wynik potyczki pozostaje nierozstrzygnięty. Tylko pobliskie skały – niemi świadkowie ponadczasowej rywalizacji – powoli zmieniają się w piasek. Tymczasem mężczyzna w ciemnym płaszczu wypatruje na horyzoncie

niosących zbawienie żagli. Kiedyś, gdy okręty przybiją do kei w zatoce, on będzie już na nie czekał.

* * *

Po naszym rozwodzie nie utrzymywaliśmy ze sobą kontaktu. Myślę, że nowy mąż Meg miał duży wpływ na taki stan rzeczy, ale ja też nie byłem bez winy. Przebywałem wtedy w bliźniaczym wszechświecie, w którym biegały białe myszy, a gwiazdy bez przerwy spadały z sufitu prosto na głowę. Po powrocie z tego dziwnego miejsca dowiedziałem się, że Meg została wdową. To nas ponownie zbliżyło, chociaż nie mogliśmy na razie liczyć na powrót do wcześniejszej zażyłości. Wiedziałem po prostu, że moja była żona potrzebuje pomocy. Nie mogłem chyba ciągle pogodzić się z jej odejściem. Czasami przebaczenie jest bardziej bolesne niż zdrada.

Następnego dnia czekałem zniecierpliwiony przed domem. Urządziłem tam sobie coś w rodzaju małej plaży z ławką i parasolem. Właściwie to była mała plaża, zważywszy na przestrzenne umiejscowienie mojej enklawy spokoju. Nieopodal widoczny był podjazd, który kilkaset metrów dalej łączył się z szosą do miasta. Zastanawiałem się właśnie nad możliwościami wykorzystania zgniłych wodorostów, gdy usłyszałem zbliżający się samochód. Już z daleka rozpoznałem czerwone clio, którym jeździła Meg. Za chwilę autko pojawiło się na podjeździe. Wtedy nastąpiło to, co wielu pisarzy określa dramatycznym zwrotem akcji. Za kierownicą nie było nikogo. Innymi słowy – samochód był pusty. Innymi słowy – przyjechał bez Meg.

* * *

Mężczyzna w ciemnym płaszczu czeka cierpliwie. Pory roku przemykają przed nim niczym Plejady ścigane przez Byka. A może to tylko chmury przepędzane wiatrem powodują zakłócenia na łączach poza granicami firmamentu? Cień Czekającego wyłobił już półkole na piasku, który przesypuje się w Klepsydrach Wieczności.

I w tym samym momencie, gdy Czekający ma właśnie zamienić się w skałę, sięga nagle do kieszeni. Zapala papierosa i zaciąga się z wyraźną przyjemnością. Czarne galery przecinają wodę gdzieś po drugiej stronie nieba.

* * *

Oczywiście, od razu pobiegłem do telefonu i wykręciłem numer do naszego starego apartamentu, w którym Meg nadal mieszkała. Kilka nieskończenie długich sekund wsłuchiwałem się w tajemnicze piski jakiegoś stworzenia, zanim dotarło do mnie, że są to zwykłe odgłosy, jakie wydają z siebie słuchawki, których nikt nie chce, bądź nie może, podnieść. Jednakże w tak dziwacznej sytuacji trudno wymagać od siebie racjonalnych reakcji.

Często mamy wrażenie, że świat ucieka nam spod nóg. Ja czułem wtedy dokładnie to samo, a nawet słyszałem odgłos jego kroków cichnący gdzieś w oddali. Chciałem odłożyć słuchawkę, ale w tym samym momencie zadzwonił telefon. Ostrożnie nacisnąłem przycisk połączenia.

– Tak, słucham?

– Pan Conrad O’Kieft? – zapytała słuchawka.

– Taką mam przynajmniej nadzieję... – Wprawilem membranę w krótki ciąg drgań.

– Powiem krótko... został pan wybrany. Jestem Król Liar i musi pan uratować moje królestwo przed zagładą.

– Jego Królewska Mość wybaczy, ale właśnie miałem zjeść śniadanie – mówiąc odrywałem powoli słuchawkę od ucha. Okazało się to jednak zajęciem ponad moje siły. Słuchawka tkwiła w miejscu, niczym przyklejona.

– Musi mnie pan wysłuchać do końca – zauważył niepotrzebnie mój rozmówca. – Bardzo pana proszę...

Myślałem przez chwilę o samochodach, które przemierzają autostrady bez kierowców. Narastała we mnie ochota na whisky. Na całą butelkę whisky.

– Rządzę pięknym zakątkiem położonym nad cudownym, lazurowym morzem. W moim świecie bardzo popularna jest pewna legenda o Czarnych Galerach, które przed końcem świata przybędą z drugiej strony nieba. Właściwie to coś więcej niż zwykła legenda. Może pan to nazwać naszą religią... Ale u nas nie ma Nieba i Piekła... Po zaokrętowaniu wypłyniemy na ocean, by zatonać i połączyć się z Odwiecznym Zwierciadłem. I koniec... Wszyscy jesteśmy potępieni, bądź zbawieni, w zależności od punktu widzenia, ze świadomością, że po śmierci nie czeka nas nic...

– To wszystko, o czym Wasza Królewska Mość mówi, jest strasznie smutne – przerwałem mu. – Swoją drogą, to niezwykle dziwna religia, skoro nie obiecuje żadnych korzyści w zamian za przestrzeganie przykazań...

– Pan mi nie wierzy...

– Ależ wierzę Waszej Królewskiej Mości – odparłem odrobinę nieszczerze. – Po prostu wydaje mi się, że macie bardzo kiepskich teologów.

– Ale to właśnie oni wskazali nam drogę wyjścia z tej pułapki. Otóż pan, panie O’Kieft, może nas zbawić!

– Przyznam, że nie całkiem rozumiem...

– Wśród naszych świętych pism odnaleziono starożytne proroctwo niejakiej Bhenasir. Jest w nim mowa o tym, że Klątwę Galer odsunąć może pewien człowiek, który nazywa się Conrad i żyje w innym świecie...

– No dobrze – wszedłem mu w słowo ponownie. – Skąd macie pewność, że właśnie o mnie chodzi? Na pewno są miliony Conradów na milionach innych światów... Dlaczego właśnie ja?

– Proroctwo podaje, że pierwsze słowa, jakie wypowie do nas Zbawiciel będą brzmieć: „tak, słucham”. Dlatego od razu poznałem, że chodzi właśnie o pana.

Pomyślałem, że któryś z nas jest zdrowo stuknięty.

– Powiedzmy, że to jestem ja – brnąłem w to dalej. – Co mam zrobić?

– Wieszczka Bhenasir powiada: „... I Conrad ów wsiądzie do tajemniczego rydwanu, który przybył do niego bez właściciela, a rydwan ów zawiezie Go do naszego świata po dalsze instrukcje...”.

Chyba trochę tu za dużo „ówów” – przemknęło mi przez głowę.

– Muszę się z tym oswoić... Może zostawi mi Wasza Mość swój numer telefonu, to oddzwonię, gdy już to wszystko przetrawię...

– Nie mam żadnego telefonu – odparł z godnością Król.
– Porozumiewamy się na zupełnie innej płaszczyźnie. W każdym razie, aby pomóc panu w podjęciu decyzji, pozostawiliśmy w rydwanie dodatkową wiadomość, niejako na poparcie mojej opowieści. Nie będzie już drugiego kontaktu. Ale niech pan pamięta, O’Kieft, że może pan

skazać cały świat na wieczyste potępienie!

Pomyślałem, że przynajmniej pomysł na opowiadanie mam załatwiony.

– W takim razie zobaczę, co się da zrobić.

– Czekamy na pana.

– Jeszcze jedno... Skąd Wasza Mość wziął mój numer telefonu?

Usłyszałem jego cichy śmiech.

– Z książki telefonicznej.

* * *

Mężczyzna rozgląda się czujnie, ale dźwięk, który usłyszał przed chwilą, nie powtarza się. Księżyc oświetla zatokę, nadając jej srebrzystej elegancji. Światło łączy się z cieniem w miłosnym uścisku, któremu rytm wybijają fale przyływu. Za parę godzin z tego rytualnego zespolenia zrodzi się Świt.

* * *

Słuchawka odskoczyła mi od ucha z głośnym cmoknięciem. Przez długą chwilę wpatrywałem się w nią z niedowierzaniem, a potem ruszyłem do kuchni przyrządzić sobie drinka. Mój lekarz ostrzegał mnie przed nawrotami delirium, które mogą wystąpić nawet wiele miesięcy po odstawieniu butelki. Najwyraźniej jego przepowiednia sprawdziła się (Do licha! Czemu nie użyłem słowa „diagnoza”?). Wiedziałem jednak, że kiedy tylko uzupełnię zapas alkoholu w organizmie, natychmiast pobiegnę do samochodu Meg. Nie, żebyśmy uwierzył w historyjkę tego świra... Po prostu odzywała się we mnie dbałość o święty

spokój, czy też prośba o znak z niebios mający poświadczyć, że sam jestem w pełni władz umysłowych. Byłem pewien, że nie znajdę żadnej kartki z wiadomością od staro-
go Liara. Jak się okazało, w tej jednej kwestii nie myli-
łem się.

Gdy zamykałem za sobą drzwi wejściowe, samochód nadal stał na podjeździe. Podeszedłem do niego ostrożnie, przyglądając się podejrzliwie pustym siedzeniom. Ucieszony tym, że nie widzę żadnej kartki, usiadłem w fotelu kierowcy i zamknąłem oczy. Gdy je otworzyłem, włączy-
ło się radio i usłyszałem znajomy głos.

– To ja, panie O’Kieft. Proszę zapiąć pasy. Czeka pana mała przejażdżka.

* * *

Drzewa oddalone o kilka mil od przystani usychają z tęsknoty za chłodną pieszczotą deszczu. Ale deszcze nie przychodzą tu zbyt często w odwiedziny. Wszystko w końcu odbija się w Zwierciadle, więc nie sprawia to żadnej różnicy. Mężczyzna w ciemnym przeciwdeszczowym płaszczu często zastanawia się, dlaczego właściwie nosi ciemny przeciwdeszczowy płaszcz. Siada wtedy na piasku i zamyślony wpatruje się w niebo. Jednak wkrótce porzuca te rozważania, poprawia makijaż i karmi mewy okruchami wspomnień.

* * *

Nie muszę chyba wyjaśniać dlaczego była to jedna z najbardziej niesamowitych chwil w moim życiu. Czu-
łem, że cała rzeczywistość, która mnie dotąd otaczała,

zmieniła się nagle w kiczowate dekoracje, zza których wyglądał uśmiechnięty facet, mrugający okiem i oblizujący sobie ucho. Dlatego właśnie zapiąłem pasy. W tym samym momencie przednia szyba eksplodowała feerią barw, a samochód ruszył do przodu. Przez chwilę bałem się, że wjedziemy w dom, ale już go tam po prostu nie było. To mnie wcale nie uspokoiło. Gdy wyjrzałem przez okno, stwierdziłem, że droga prowadzi przez jakąś zupełnie mi obcą krainę. Na wschodzie rozciągało się pasmo wulkanicznych szczytów, nad którymi przepływały chmury przypominające skrzydła nietoperza. Ogólnie rzecz ujmując, krajobraz zionął pustką. Nie była to jednak pustka kosmicznych przestrzeni – przywodziła raczej na myśl ciemne korytarze w opuszczonym domu. Zaczynałem pograżać się w najczarniejszych myślach, kiedy nagle widok za oknem zmienił się. Widziałem średniowieczne miasto, w którym ludzie bawili się w czas karnawału. Bogacze i żebracy, księża i złodzieje, damy i kurewki – wszyscy mieszały się w wielobarwnym tłumie. Maski lśniły diamentami w świetle ulicznych latarni i szklanych sztyletów błyskających tu i ówdzie w plecach nieuważnych przechodniów. Nagle ujrzałem kobietę ładną podobną do Meg, lecz mgnienie oka zatarło to podobieństwo. Oto jechałem już przez mgłę, zza której wyglądały pnie drzew zawieszonych w niej na wieczność. A potem była ciemność i tajemnicze szepty gdzieś za jej zasłoną.

* * *

Mężczyzna w ciemnym płaszczu obserwuje powoli zbliżającą się do niego postać. Widzi długie włosy targane wiatrem i oczy wyrzeźbione w nieruchomej twarzy. Ich błękit

przypomina mu coś, co już dawno temu wypędził z pamięci. Usta zaczynają układać się w okrzyk powitania, ale dziewczyna znika. Czekający spogląda na zegarek, lecz ten zmienia się w ważkę i odlatuje. Słychać śpiew kamieni spadających na pobliskie doliny. Mężczyzna wzdycha i mierzy wzrokiem czarne żagle wyłaniające się zza horyzontu.

* * *

Obudziłem się w komnacie o kamiennych ścianach. Jakaś dziewczyna, zobaczywszy moje otwarte oczy, natychmiast wybiegła z pokoju. No cóż, widocznie nie wyglądałem zbyt atrakcyjnie. Zważywszy na okoliczności wcale mnie to nie dziwiło. Nie można stawiać sobie zbyt wysokich wymagań, jeżeli odbyło się podróż śladami kilku facetów z ośrodka psychiatrycznego. Zapaliłem papierosa i zacząłem powoli pogrążyć się w schizoidalną otchłań. Gdy byłem już kilka mil poniżej poziomu podłogi, drzwi rozwarły się z przeraźliwym skrzypnięciem i wszedł jakiś gość. Od razu rozpoznałem swojego gospodarza. Nawet gdyby nie miał wypisanego na twarzy szaleństwa i lat spędzonych w alkoholowym upojeniu, to złota korona na niskim czole nie zostawiała żadnych wątpliwości. Oto przed państwem Król Liar we własnej osobie – kliniczny przykład paranoi.

– Jak tam podróż?

– Doskonale, Wasza Królewskość. Mam jednak pytanie... Te krajobrazy... Wprawdzie widziałem bardzo niewiele, ale...

– A, bliźniacze światy... ma pan szczęście. Większość nie widzi nawet tego. Po prostu pogrążają się w ciemność, albo patrzą w nieodpowiednim momencie.

- Innymi słowy, to przypadek?
- Coś więcej. Zresztą czysty przypadek nie istnieje. To tylko igraszki przeznaczenia, które jest właśnie grą przypadków. Przynajmniej dla wewnętrznego obserwatora.
- Zaczynałem dochodzić do wniosku, że sens tej rozmowy mi umyka.
- Nie mówmy więc o tym. Mamy chyba ważne sprawy do załatwienia. Czekam na instrukcje. – To ostatnie dodałem z dużą niechęcią, która spłynęła z moich ust i wyżarła kawałek dywanu.
- Właściwie zadanie jest proste, przynajmniej według wieszczki Bhenasir. Na przystani stoi ubrany na ciemno mężczyzna, którego nazywamy Wartownikiem. Ma on za zadanie wpuścić Czarne Galery do portu.
- Jeżeli Królewska Mość myśli, że go zabiję, to chyba nie jestem najwłaściwszą osobą...
- Ależ skąd. Musi pan po prostu sprawić, żeby zniknął.
- Po prostu?
- Tak.
- Trzeba było od razu tak mówić. To łatwizna, ale... Jak, do cholery, mam to zrobić?
- Wartownika nie ima się nasza magia. Pan, jako człowiek z innego świata, powinien sobie z nim poradzić...
- Mam go nakryć cylindrem? Pożyczy mi król jakiś?
- Wielkie Nieba! Przecież wy wciąż to robicie. Zmieniacie fikcję w rzeczywistość i na odwrót. Ten rodzaj magii... Mówicie o tym ritelaturra, lub jakoś podobnie...
- Nigdy nie uważałem się za wielkiego pisarza. Jest po prostu kilka dziedzin, w których osiągnąłem wyższy poziom – wystarczy zapytać w pubie u Kevina. Jestem również zapalonym ornitologiem i utalentowanym bluesmanem. Nie jestem wielkim pisarzem. Wiedziałem jednak co mam zrobić.

* * *

Wieje chłodny wiatr, lecz mężczyzna w ciemnym płaszczu ma ważniejsze sprawy na głowie. Żaglowce są już bardzo blisko. Wpatrzony w ich czarne dostojęństwo nie zauważa postaci podążającej plażą w jego kierunku. Ma ona na sobie biały płaszcz, którego poły powiewają w gwałtownych konwulsjach. Jego barwa może dziwić, ale na Grenlandii ten dobór kolorów jest ostatnim krzykiem mody. Wartownik dostrzega wreszcie idącego mężczyznę. Zdejmuje swoje ciemne okulary, a te z dzikim piśkiem odlatują szukać pobratymców. Przybysz podchodzi na odległość wyciągniętej ręki.

– Znikaj stąd! – krzyczy.

Widząc zdziwioną minę rozmówcy, dodaje:

– Nie rozumiesz po ludzku? Spierdalaj!

Mężczyzna w ciemnym płaszczu z przerażeniem, które nagle rozkwitło na jego ciemnej twarzy, zmienia się w kupkę piasku, a ta rozsypuje się w podmuchu wiatru. Czarne żagle powoli wtapiają się w horyzont.

* * *

Następnego dnia, gdy kończyłem śniadanie, zadzwonił telefon. To była Meg.

– Conrad, bardzo cię przepraszam...

– Nie wiem, o czym mówisz...

– Chodzi o ten głupi dowcip z podstawieniem pustego samochodu. Byłam ciekawa, jak się zachowasz. Zresztą namówił mnie ten twój stary kumpel z uczelni.

– Ach tak... Jak się nazywał?

– Ned Liar. Mówił mi, że ty też wykręciłeś mu podobny numer na studiach...

– W porządku, Meg. Naprawdę nie ma o czym mówić. Wiesz, że bałem się o ciebie...

– Naprawdę? W takim razie będę za pół godziny...

– Ale samochód...

– Ned podstawił mi go wieczorem. Poczekasz na mnie?

– A na kogo innego miałbym czekać?

– Trzymaj się. Kocham cię, Chris!

Naprawdę nie wiem dlaczego nazwała mnie Chrisem.

J E R E M Y C . S H I P P
WIRUJĄCA, SZARA MGŁA

Gdy w kącie pomieszczenia rozkłada się trup, atmosfera może się zrobić przygnębiająca,. Chcąc poprawić sobie humor, przebieram zwłoki za klauna. Jak zwykle mam cholernego farta, bo na strychu jest już skrzynia pełna kostiumów, więc nie muszę się nawet fatygować na dół, gdzie zbierają się demony. Po chwili przerzucania łańców zakładam na truposza garnitur w tęczowe pasy. Uzupełniam strój wielką muchą w kropki i malutkim cylindrem wielkości filiżanki. Nie ma potrzeby malowania mu twarzy na białło, skoro jest martwy od dłuższego czasu.

– Znacznie lepiej – mówię, ściskając zwiędłą, zimną rękę.

Zgniłek obdarza mnie stoickim spojrzeniem, jednak wydaje mi się, że dostrzegam błysk uznania w jego oczach.

Dość lenistwa, mam przed sobą robotę. Siadam przy dębowym, zamykanym biurku stojącym w północnej części strychu. Otwieram je żelaznym kluczem, który zawsze noszę przy sobie. Podnoszę osłonę z nadzieją, że dziś znajdę moją pracę nieruszoną. Niestety, nie mam aż tyle szczęścia.

Układanka znów jest w kawałkach. Mimo, że wczoraj ułożyłem co najmniej połowę, a pozostałe fragmenty posegregowałem według kolorów.

Nienawidzę siebie za samo myślenie o tym, ale zaczynam się zastanawiać, czy truposz przypadkiem nie powraca do życia kiedy śpię, by ukraść mój klucz i rozrzucić puzzle. Choć zdechłak i ja nigdy nie byliśmy sobie zbyt bliscy, zawsze wyczuwałem między nami aurę wzajemnego szacunku. Czemu martwe ciało chciałoby niweczyć moją pracę? Nie mam zielonego pojęcia.

Jedynym innym podejrzanym może być demon, ale wedle moich ustaleń nie wolno im wchodzić na górę. Ich kraina jest pode mną, tam mogą bawić się termostatem i utrzymywać w domu tak wysoką temperaturę, jak im się żywnie podoba. Dzięki Bogu mam tu przenośny klimatyzator, pomagający mi w zmaganiach z ogniem i siarką nacierającymi z dołu.

Jeśli demon dostałby się do tego pokoju, jestem pewny, że raczej rozrzuciłby po ścianach strzępy mojego mózgu, a nie puzzle. Ktoś inny lub coś innego musi być za te psoty odpowiedzialne.

Układałem puzzle kilka minut, aż nagle wpadam na pewien pomysł. Przez to, że nie pomyślałem o tym wcześniej, czuję się jak kompletny idiota. Przez godzinę lub dłużej szperam w kartonowych pudłach stojących w rzędzie przy ścianie, lecz nie znajduję tego, czego szukam. Musi być na dole.

Ostrożnie zbliżam się do dziury o postrzępionych krawędziach, ziejącej w podłodze. Spoglądam w dół. Wygląda na to, że w piwnicy jest morze krwi. Małe demony ujeżdżają fale, używając ludzkich torsów w charakterze desek surfingowych.

– Przepraszam – zagajam. – Potrzebuję drobnej przysługi.

Tylko jeden z demonów unosi głowę i patrzy na mnie. Jest dosyć mały, może rozmiaru szczeniaka Chihuahua.

Rysy jego twarzy są niemalże ludzkie, choć ma białą, luskowatą skórę i różowe oczy. Jest zmizerowany, kościsty, jakby już od dawna niczego nie jadł. To dość nieprawdopodobne, biorąc pod uwagę ilości krwi wkoło.

– Zastanawiałem się, czy mógłbyś mi pomóc? – mówię.

– Co chcesz? – pyta mały, biały demon, mrugając oczyma. Światło chyba sprawia mu ból.

– Szukam mojej kamery wideo. Zszedłbym i poszukałbym sam, ale boję się, że ty albo któryś z twoich kolegów obedrze mnie żywcem ze skóry i pożre.

Demon podskakuje z ekscytacji.

– Tak, tak! Globcow lubi to bardzo! Chodź tu, proszę!

– Obawiam się, że wolałbym dziś nie umierać. Jeśli znajdziesz moją kamerę, chętnie dam ci coś w zamian. Czy jest coś, oprócz mojego życia, co chciałbyś ode mnie?

– Globcow lubi stopy.

– Nie mam zapasowej pary.

Demon drapie się po łysej głowie.

– A palce u nóg?

– A wystarczyłyby ścinki paznokci?

– Tak, tak! Globcow lubi paznokcie bardzo bardzo.

– A więc paznokcie. Wróć tu w ciągu godziny z moją kamerą, a dostaniesz to, czego pragniesz.

Globcow szczyrzy zęby, po czym odplywa w dal.

Wracam do biurka i przycinam paznokcie u stóp. Układam ścinki na skrawku papieru. Kupka, która powstaje w efekcie moich zabiegów, nie jest czymś, czym można się pochwalić, bo skracałem paznokcie zaledwie kilka tygodni temu. Dręczy mnie poczucie winy.

Spoglądam w twarz truposzowi.

– Czy przeszkadzałoby ci, jakbym obciął też twoje?

Klaun patrzy się na mnie obojętnie, w jego oczach do-

strzegam chyba błysk zgody. Dzięki temu kupka paznokci rośnie a poczucie winy znika. Wrzucam ścinki do plastikowej torebki i ostrożnie ją zamykam.

O tej porze zwykle siadam za biurkiem i pracuję nad moimi puzzlami. Zajmuję się górnym rogim obrazka, dopasowując do siebie fragmenty cumulusów i kruków. Nie wiem ile czasu mija, ale układany obrazek wkrótce całkowicie pochłania moją uwagę. Mrowienie w ramieniu informuje mnie o obecności kogoś po prawej, lecz nie udaje mi się opuścić głowy i dojrzeć kto stoi przy mnie. Jestem zmuszony patrzeć w górę, na górny róg rzeczywistości, gdzie chmury wtaczają się na nieboskłon od północnego wschodu, a stado kruków krąży nade mną.

Najosobliwsze w tym wszystkim jest to, że mimo, iż ułożyłem wczoraj ponad połowę puzzli, nie pamiętam co widziałem. Gdy wspomnienia próbują połączyć się w całość, zaczyna mnie boleć głowa, ale obraz pod chmurami pozostaje tylko wirującą, szarą mgłą.

Dzwoni budzik, wyciąga mnie z puzzlowego świata i znowu wracam na strych. Po wyłączeniu alarmu chwytam torebkę ścinków i podchodzę do dziury w podłodze. Zerkam w dół zza krawędzi. Morze krwi zastąpiła ogromna kula zbudowana z drżących ciał. Z tej odległości nie jestem w stanie odgadnąć w jaki sposób zlepiono je w całość. Pewnie i tak nie chcę wiedzieć. Demony stoją w rzędach po obu stronach piwnicy, tocząc kulę w tę i z powrotem.

– Hej, wy tam na dole! – przyciągam ich uwagę. – Szukam Globcowa.

Globcow wynurza się z cieni i wspina się na kulę mięsa. Musi cały czas przebierać nogami, aby utrzymać równowagę.

– Znalazłeś kamerę? – pytam.

– Tak, tak! – Demon unosi do góry obiekt, który wygląda nieco jak mój sprzęt. – Zrzuć w dół paznokcie, potem Globcow podrzuci do góry kamerę.

– Obawiam się, że rozważa zmusza mnie do nalegania na zupełnie przeciwne rozwiązanie. Ty rzucisz kamerę. Potem ja dam ci ścinki.

Globcow marszczy brwi, spogląda na mnie tymi dużymi, różowymi oczyma. Po dłuższej chwili podrzuca kamerę do góry.

Tyle, że „kamera” okazuje się kamerokształtną masą losowo zszytych ze sobą organów i kawałków skóry.

Wzdycham.

– Doceniam twój pomysłu, Globcow, ale nie o to prosiłem.

– To twoja kamera bardzo bardzo. Daj paznokcie Globcowowi, proszę!

– Nie mogę. Najpierw musisz znaleźć to, co miałeś znaleźć. Demon z frustracji zaczyna żuć swoje ramię.

– Globcow nie wie gdzie.

– Szukaj, mój przyjacielu. Szkoda byłoby to wyrzucić. – Potrząsam torebką ścinków nad dziurą w podłodze.

– Wracam za godzinę.

Globcow zeskakuje z kuli ciał i znika w ciemności.

Po zepchnięciu stopą kamerokształtnego ohydztwa do piwnicy, wracam do mojego biurka. Ruszam z robotą. Po krótkiej chwili już nie siedzę. Stoję na zbocz, patrząc na pęsnie niebo. Wiatr pieści moją twarz.

W rogu mojego pola widzenia dostrzegam nagle czerwona krechę. Jakby ktoś przeciął niebiosa nożem. Gdy skupiam wzrok, okazuje się, że to komin. To może być dom. Możliwe, że mój. Z jakiejś dziwacznej przyczyny ta myśl sprawia, że po plecach spływa mi zimny pot. Bicie

mojego serca i oddech osiągają crescendo. W mgnieniu oka wysycha mi cała ślina w ustach.

Ktoś ściska moją prawą dłoń, ale gdy próbuję mu się przyjrzeć, widzę tylko wirującą, szarą mgłę. Część mnie obawia się tej obecności. Pragnie wrzucić puzzle do dziury w podłodze i pozwolić demonom zjeść obraz, pozbyć się go raz na zawsze. Inna jednak chce złożyć wszystkie elementy w całość. Zobaczyć go w pełni. Lecz wiem, że zbyt ni pośpiech niweczy wszelkie wysiłki. Jeśli będę się spieszył, skończę z odciętymi głowami kruków wystającymi z dachu, kraczącymi w agonii. Skończę z domem zrobionym z nieba i ciałem złożonym z cumulusów.

Trzęsę się. Czuję się tak, jakby moje dwie walczące ze sobą połowy chciały rozerwać mnie na dwoje. Próbuję się uspokoić głębokimi wdechami, ale to nie pomaga. W końcu jestem zmuszony wyjść z puzzli i zarzucić moją pracę. Przynajmniej na razie.

Odkryłem, że gdy to się zdarza, najlepszym sposobem na ukojenie nerwów jest przeniesienie się do stojącego w południowej części strychu stołu ze stali nierdzewnej. Muszę przeskoczyć dziurę, aby się tam dostać. Z początku przerażał mnie ten skok. Wyobrażałem sobie ogromne, czerwone macki owijające się wokół moich nóg, ściągające mnie w dół, prosto w kłębowisko cieni. Teraz jednak przeskakuję nad wyrwą bez mrugnięcia okiem.

Podchodzę do stołu, kładę dłonie na zimnej stali. To stanowisko pracy przywodzi na myśl stoliki na narzędzia chirurgiczne. Obiekty na blacie leżą obok siebie w równych odstępach i na precyzyjnie wyznaczonej linii. Po lewej mam aparat Polaroida, przy nim fotografię. Zaraz za nią stalowa zapalniczka z symbolem Pi wyrytym na jednym z boków. A na prawo stoi kosz na śmieci.

Jak zwykle zaczynam od lewej i zdążam do prawej. Celuję aparatem w fotkę spoczywającą na stole. Robię zdjęcie zdjęcia. Poruszając się najwolniej i najostrożniej jak to tylko możliwe, odkładam Polaroida na miejsce. Zastępuję starą fotografię nową. Przypalam płomieniem z zapalniczki tę pierwszą i wyrzucam, jeszcze płonąca, do kosza. Następnie, gdy kończę, upewniam się, że wszystko leży w takim porządku, w jakim to zastałem.

Nowa fotografia jest jeszcze tylko mglistym, białym kwadratem. Stoję w absolutnym bezruchu i czekam. Gdy obraz zlewa się w całość, moje serce i płuca uspokajają się. Nie mam pojęcia dlaczego to przynosi mi spokój ducha. Nowopowstały wizerunek to po prostu zdjęcie zdjęcia zdjęcia i tak dalej, i tak dalej. Nie mówi nic o oryginale, między nim a pierwotnym obrazem jest zbyt wiele poziomów rzeczywistości. Może to właśnie wzrastające oddzielenie działa kojąco na moje nerwy. Albo oryginał utrwalił wizję zła zbyt okropnego, by na nie patrzeć. Możliwe, że moje oddzielenie od niego jest tym, co trzyma demony z dala od strychu. Albo to stwierdzenie jest bardzo dalekie od prawdy.

Najdziwniejsze, że moja dezorientacja wzmaga tylko poczucie komfortu.

Zanim wrócę do północnej części strychu, powtarzam wszystkie czynności jeszcze parę razy. Przy puzzlach moje dłonie nie trzęsą się już ani trochę. Uważnie składam w całość dach tego, co może, ale nie musi być moim własnym domem.

Budzik dzwoni. Chwytam torebkę ścinków i podchodzę do dziury. Spoglądam w dół zza krawędzi. Kulę drżących ciał zastąpiła góra wnętrzości. Demony wspinają się na nią i zjeżdżają po przeciwnym zboczu, używając kości udowych jako nart.

– Globcow? – wołam. – Jesteś tam?

Po chwili mały, biały demon pojawia się na szczycie góry, w rękach dzierży coś, co może być moją kamerą. Jednak urządzenie jest pokryte błyszczącą, czerwoną substancją, której nie jestem w stanie zidentyfikować.

– Mam nadzieję, że nie próbujesz mnie znów oszukać – mówię.

– Nie, nie! – odpowiada Globcow. – To twoja kamera bardzo bardzo. Daj Globcowowi paznokcie, proszę!

– Rzuć mi kamerę. Wtedy dam ci ścinki.

Globcow podrzuca urządzenie, które ląduje tuż przy mojej prawej stopie.

– Daj Globcowowi paznokcie, proszę! – powtarza demon, podskakując na szczycie, co wywołuje lawinę flaków zagrzebującą wiele demonów na dole. Reszta w ogóle nie zdradza zainteresowania kataklizmem.

– Powściągnij lejce, mały – odzywam się. – Najpierw muszę zweryfikować, czy to naprawdę moja kamera.

– Globcow nie ma lejców, bo nie ma konia. Tylko Nademony mają konie. Dasz Globcowowi konie?

– Obawiam się, że nie mam żadnego konia, którego mógłbym ci dać. Teraz zostawię cię, ale wrócę za mniej niż minutę.

Wycofuję się i przeszukuję biurko, aż wreszcie znajduję chusteczkę z symbolem Pi wyszytym po zewnętrznej stronie. Ścieram nią błyszczącą, czerwoną maź. Tak, to z pewnością moja stara kamera. Nie mam pojęcia, czy w ogóle będzie działała, ale przynajmniej mogę spróbować. Cieszę się, że zostawiłem ją w piwnicy, a nie w dużym pokoju albo w sypialni, gdzie nie znalazłbym jej ani ja, ani żaden demon. Nie jestem pewien, co się stało ze środkową częścią mojego domu. Może pokoje zniknęły, a może zwyczajnie nie mam już do nich dostępu.

Ale dość lenistwa, Globcow zasługuje na nagrodę. Rzucam torebkę demonowi, a on przytula ją mocno, śmiejąc się od ucha do ucha.

– Dziękuję za pomoc – mówię.

– Dziękuję ci bardzo bardzo – odpowiada demon z ustami pełnymi paznokciowych ścinków. Gdy je połyka, salutuje mi i toczy się w dół zbocza, wrzeszcząc z radości.

Wracam do biurka. Nie jestem najszczęśliwszą osobą na Ziemi. Ale gdy wciskam guzik na kamerze, ona rzeczywiście się włącza. W dodatku znajduję w niej czystą kasetę, gotową by nagrać rozrzucaacza puzzli na gorącym uczynku. Ostrożnie kładę urządzenie na wieży z pudeł i włączam nagrywanie.

Jutro poznam prawdę.

Jak każdej nocy, wślizguję się w turkusowy śpiwór leżący przy biurku. Właściwie składa się on z dwóch zszytych śpiworów. Nie potrzebuję tyle miejsca, a jakoś wydaje mi się, że nie byłoby w porządku rozdzielać tę dwójkę.

Kiedy tylko zamykam oczy, czuję ogrom mojego wy-czerpania. Zasypiam od razu. We śnie mam na sobie garnitur w tęczowe pasy. Noszę wielką muchę w białe kropki i malutki cylinder o rozmiarze filiżanki. Lecę przez wirującą, szarą mgłę, a na moich plecach siedzi Globcow. Smaga mnie pasmem skóry.

– Szybciej, szybciej! – krzyczy, a ja wyrywam się do przodu. Czuję, że ktoś ściska moją lewą rękę.

Nagle oblewa mnie zimny pot. Moje serce i płuca znów osiągają crescendo. W mgnieniu oka wysycha cała ślina w moich ustach.

– Szybciej! – krzyczy Globcow.

– Próbuję! – odpowiadam.

– Spiesz się bardzo bardzo!

Próbuję uciec przed mgłą, ale jestem zbyt wolny.

Próbuję krzyczeć.

Rano wypelzam ze śpiwora, rześki i pełen energii. Klimatyzator chucha mi na brzuch, gdy patrzę przez jedyne okno strychu. Na zewnątrz widzę cumulusy i stado krów. Nic więcej.

Stoję przez kilka sekund w blasku słońca i wtedy przypominam sobie o kamerze. Ostrożnie wyjmuję taśmę z urządzenia i wkładam do telewizora z magnetowidem, który stoi w północno-wschodniej części strychu. Przewijam.

Jestem pewny, że jeśli sprawcą okaże się klaun albo, broń Boże, mój mały przyjaciel Globcow, złamie mi to serce. Mam dziwną nadzieję, że puzzle w jakiś sposób rozrzucają się same. Jednak obawiam się, że nie mam aż takiego szczęścia.

Wciskam play. Cofam się o parę klatek.

Na ekranie wyczolguję się z turkusowego śpiwora, a moja twarz wyraża absolutne przerażenie. Wygląda to tak ekstremalnie, że ledwo się rozpoznaję – jakbym nosił maskę. Z ramionami wyciągniętymi przed siebie jak u potwora Frankensteina, podchodzę do biurka i otwieram pokrywę moim żelaznym kluczem. Spazmatycznymi ruchami rozrzucam elementy puzzli. Kiedy kończę rozwalać mój projekt, odwracam się do kamery, a na mojej twarzy zastyga grymas wyglądający tak, jakbym krzyczał. Jednak nie wydaję z siebie żadnego dźwięku.

Wyłączam telewizor i zasiadam przy biurku. Choć w pokoju nie jest chłodno, drzę. Gdy zamykam oczy, widzę moją własną twarz, z szeroko otwartymi oczyma i ustami, wrytą w ciemności. Próbuję uspokoić skołatane nerwy spojrzeniem na zwłoki leżące w rogu, lecz nie udaje mi się nawet zachichotać.

– Czemu miałbym to robić? – pytam. – Sabotować własną pracę?

Klaun nie odpowiada. Zdaje się, że w jego oczach dostrzegam iskrę zrozumienia. Wie dlaczego powstrzymuję sam siebie od ułożenia puzzli, ale mi nie powie. Albo z jakiejś przyczyny nie potrafi mówić.

Znam przynajmniej jedną osobę, która umie.

Wstaję i podchodzę do ziejącej dziury w podłodze. Zerkam przez krawędź. Górę wnętrzości zastąpił plac zabaw stworzony z części ciał. Widzę Globcowa zwisającego ze szczebli zrobionych z ludzkich ramion, pokonującego drogę na drugą stronę drabinek.

– Globcow – wołam go. – Możemy porozmawiać?

Mały demon wspina się na szczyt najwyższej zjeżdżalni i spogląda do góry.

– Czego chcesz?

– Zastanawiałem się, czy wiesz cokolwiek o tym strychu i co właściwie na nim robię?

– Globcow może wiedzieć.

– Ale chcesz coś w zamian za informacje?

– Tak, tak. Daj Globcowowi paznokcie, proszę.

– Obawiam się, że moje jeszcze nie odrosły.

– Globcow lubi konie bardzo bardzo.

– Nadal nie mam żadnych koni, które mógłbym ci zaofiarować. Czy jest coś innego?

Demon drapie się po łysej głowie.

– Globcow nie wie.

– Dobrze. I tak dziękuje.

Zaczynam się wycofywać, ale stworek nagle mnie powstrzymuje.

– Czekaj!

– Tak?

Demon rozgląda się na prawo i lewo, a potem spogląda mi prosto w oczy.

– Globcow bardzo bardzo cię lubi – mówi szeptem.

– Globcow da ci odpowiedzi za darmo. Nie mów Nadde-monom, proszę. Nie lubią wolności bardzo bardzo.

– Nikomu ani słowa. Co możesz mi powiedzieć?

Demon przechyla głowę na bok.

– Globcow zapomniał, co chcesz wiedzieć. Coś o stopach?

– Chcę wiedzieć dlaczego właściwie tutaj jestem. Wiem, że muszę ułożyć puzzle, ale w jakim celu? Czemu lunatuję w nocy i niweczę swoją pracę?

– Globcow nie wie o puzzlach czy lunatykowaniu, ale Globcow wie, czemu jesteś na górze. Jesteś tam, by dowiedzieć się.

– Dowiedzieć się czego?

– Nie będziesz wiedział, dopóki się nie dowiesz.

– Rozumiem. Czy masz mi coś jeszcze do powiedzenia?

– Globcow może ci powiedzieć imię każdej stopy w kolekcji. Globcow nazywa każdą imieniem znanego ludzkiego mordercy.

– Może innym razem. Dziękuję za pomoc.

Demon uśmiecha się i zjeżdża po zjeżdżalni zrobionej ze zszytych ze sobą języków.

Podnoszę pokrywę biurka. Zabieram się do roboty. Nie mija moment, a znowu stoję na zbocz, patrząc na ponure niebo pełne skłębionych chmur i krążących w kółko kruków. Wiatr gładzi moje policzki.

Szczyt komina zjawia się znikąd i zdaję sobie sprawę, że mogę stać nieopodal domu. Może mojego własnego. Z jakiejś przyczyny, na myśl o tym po plecach spływa mi zimny pot.

Czuję jak ktoś ściska moją prawą rękę, ale gdy spoglądam w kierunku tej osoby, widzę tylko wirującą, szarą mgłę. Część mnie desperacko pragnie ją odgonić. Inną część mnie uspokaja otaczający mnie opar.

Moje ciało trzęsie się, aż w końcu muszę opuścić puzzle i przeskoczyć do południowej części strychu.

Kładę dłonie na zimnej stali. W przeciwieństwie do kawałków puzzli na biurku, obiekty na stole są położone obok siebie w równych odstępach i na precyzyjnie wyznaczonej linii. W jakiś sposób sam widok sprawia, że wzdycham z ulgą.

Jak zwykle zaczynam od lewej i zmierzam ku prawej. Celuję aparatem w fotografię spoczywającą na blacie. Mam już zrobić zdjęcie zdjęcia, ale zatrzymuję się.

Muszę to przerwać.

Jeśli moim celem na strychu jest „dowiedzieć się”, jak mówił Globcow, może powinienem unikać tego stołu. Kiedy przy nim siedzę, nie czuję, że zbliżam się do czegośkolwiek. Oddzielam się od oryginalnej fotografii.

Pokusa, by zrobić kolejne zdjęcie zdjęcia, manifestuje się jako mrowienie ramion. Wędruje ono do mojej klatki piersiowej i muszę walczyć o oddech. Moje serce i płuca osiągają crescendo. Muszę zrobić następną fotkę. Nie chcę się dowiedzieć.

Zbieram w sobie resztki sił i skopuję stalowy stół w ziejącą dziurę w podłodze. Spada w ciemność wraz z aparatem Polaroida, zapalniczką i koszem na śmieci. Jeśli chodzi o fotografię, zawisa ona niepewnie na krawędzi podłogi. Część mnie pragnie ją podnieść i gapić się na obraz aż zatracę się w nim, ale zamiast tego spycham ją stopą do piwnicy.

Zerkam zza krawędzi i patrzę jak Globcow robi zdjęcia swoim paskudnym kamratom. Za każdym razem, gdy

błyska flesz, demony wrzeszczą, a Globcow rechocze radośnie.

Wracam do północnej części strychu i zasiadam do pracy nad puzzlami. Tym razem nie usnę dopóki nie skończę.

Moje dłonie drżą, kiedy buduję dom, który może, ale nie musi być moim własnym. Po pewnym czasie zaczynam składać moje własne ciało. Jestem przerażony, że powstanie z tego to ja, które znam z taśmy wideo. Ja z wyciągniętymi ramionami, szeroko otwartymi oczyma oraz wrzeszczącymi niemo ustami. Jednak ja na puzzlach to aranżer cyrku w wysokim cylindrze i długim, szkarłatnym płaszczu.

Czuję, że ktoś ścisną moją dłoń. Wyobrażam sobie potwora chowającego się w wirującej, szarej mgłę, łapiącego moją rękę olbrzymią, czerwoną macką. Moje ciało zaczyna drżeć. Cała ślina w moich ustach wysycha. Muszę się stąd wydostać. Muszę wskoczyć w ziejącą w podłodze dziurę i odzyskać fotografię strąconą w ciemność.

Nie. Muszę się dowiedzieć.

Na zewnątrz układanki moje oczy i palce poruszają się gorączkowo. Ale w niej niczego nie widzę. Nie mogę się ruszyć. Mgła napiera na mnie ze wszystkich stron i czuję, że zostanę skompresowany, w ułamku sekundy zakończę egzystencję. Kiedy otwieram usta, by krzyknąć, wirująca szarość wdziera się w mój przełyk, wypełnia mi płuca.

I wtedy mgła opada.

Mojej dłoni nie ścisną potwór z czerwonymi mackami, ale klaun z wielką muchą w kropki i w cylindrze rozmiaru filiżanki. Lecz Harry tak naprawdę nie jest klaunem. Jest nauczycielem matematyki. Co więcej, jest człowiekiem, którego kocham. Jest obwodem mojej średnicy, jak sam by to ujął.

– Przepraszam – mówię.

– Za co? – odpowiada Harry, ściskając mocniej moją dłoń.

Chcę mu powiedzieć, że przepraszam, bo zapomniałem o naszym wspólnym życiu. Chcę przyznać się, że przez ten cały czas, gdy mieszkałem na strychu, nie pomyślałem o nim ani razu. Jednak jestem zbyt zawstydzony, aby wydusić z siebie choćby słowo.

– Uśmiech! – woła nasza córka, która stoi przed nami przebrana za ducha Charliego Browna.

Uśmiecham się.

Robi nam zdjęcie aparatem Polaroida.

Nagle znów jestem na strychu. Puzzle są ułożone. Na obrazku stoję przy Harrym w miejscu, które wygląda jak cmentarz, ale tak naprawdę jesteśmy przed naszym domem. Na niebie wiszą chmury, zbierają się stada kruków, idealnie na Halloween. Parę godzin po tym, jak nasza córka cyknęła tą fotkę, znalazłem Harry'ego. Siedział na swojej skórzanej sofie Laz-Z-Boy, miał przymknięte oczy. Kazałem mu się obudzić, lecz nie obudził się.

– Umarłeś – stwierdzam, patrząc na trupa w rogu.

Clown odwzajemnia się spojrzeniem pełnym apatii. Możliwe, że widzę mignięcie miłości w jego oczach. Miłość narasta, sprawiając, że jego zasuszone twarz wypełnia się zdrowym ciałem. W ułamku sekundy zwłoki stają się Harrym.

Przytulam go. Całuję.

– Brakowało mi ciebie – mówi.

Przez mgnienie oka mój mózg wrze od gniewu. Ktoś lub coś zamknęło mnie na tym strychu i zmusiło, bym zapomniał o Harrym.

Potem przypominam sobie. Pamiętam oryginalną fotografię na stole ze stali nierdzewnej. Tę, od której wciąż

oddzielałem siebie. Ten sam obraz, co na układance. To ja nie dopuszczałem siebie samego do prawdy. To ja stworzyłem mgłę.

– Przepraszam. – Próbuję wyjaśnić. – Kiedy umarłeś, nie mogłem...

– Nie zadręczaj się – przerywa mi Harry. – Już po wszystkim.

Gdy całuje mnie w czoło, strych znika.

Harry ma rację. Już po wszystkim.

Przekład Marek Grzywacz

DAWID KAIN



W paczce nic nie było.

Przeciąłam nożyczkami taśmę klejącą, a potem rozerwałam tekturę. Żaden diabeł nie wyskoczył ze środka.

Ktoś postawił mi przed drzwiami pusty karton, oklejony szarą taśmą i wyściełany folią bąbelkową, jakby kryła się w nim jakaś bezcenna zawartość.

Jeśli to miał być żart – nie udał się.

Jeśli to miała być groźba – nie poskutkowała.

Byłam niezmiernie ciekawa, kto mógł wpaść na taki pomysł, ale też instynktownie czułam, że tak naprawdę wcale nie warto się nad tym zastanawiać.

– Pjezent?! Mamunia kupiła mi pjezent? – zapiszczał Karolek, klaszcząc w dłonie i podskakując z zachwytu.

– Nie, synku – odparłam. – A poza tym: nie pjezent, tylko prezent. Rrr!

– Pjezent. Jjj! – powiedział, pełen jak najlepszych chęci, za którymi nie mógł niestety nadażyć jego pięcioletni język. – A co w śjodku?

Popatrzyłam na niego, uśmiechając się kwaśno.

– Nic – odpowiedziałam i kopniakiem posłałam pustą paczkę na drugi koniec pokoju.

* * *

Zaraz po odwiezieniu Karolka do przedszkola pojechałam do pracy.

Jestem sekretarką w Korporacji Taksydermia. Kiedy o tym mówię, ludzie nigdy nie pytają, czym się zajmuję – bo przecież każdy wie, co robią sekretarki – ale zawsze są ciekawi, w jakiej dokładnie branży działa moja firma. Wyjaśnianie tego bywa kłopotliwe, bo Korporacja Taksydermia oferuje dość specyficzne usługi. Można powiedzieć, że wypychamy zwierzęta. Ale można też powiedzieć: preparamy nasze eksponaty używając martwych ciał. Tłumacząc to komuś, wolę zbytnio nie wnikać w szczegóły, a i tak prawie za każdym razem rozmówcy unoszą brwi ze zdziwienia. Jak zareagowaliby, gdyby się dowiedzieli, że wypychamy nie tylko zwierzęta, ale też ludzi? Jak by na mnie popatrzyli, gdybym im wyjawiała, że niektórzy klienci chcą, aby ze zwłok ich bliskich zrobić dzieło sztuki? A inni na przykład pragną, by truchło ukochanego kotka połączyć z ciałem ukochanej córeczki, żeby mieć rzeźbę „dwa w jednym”? To specyficzny, bardzo niszowy sektor, z którego istnienia zdaje sobie sprawę mniej niż dziesięć procent mieszkańców naszego kraju. W końcu, jak stwierdził mój mąż, Patryk, „bawimy się śmiercią”

Siedzę za biurkiem i nie muszę rozmyślać o tym, co dzieje się teraz w innych pomieszczeniach naszej siedziby. Ale i tak rozmyślałam. Jestem na parterze. Dokładnie między młotem a kowadłem. Pierwsze piętro zajmuje dział marketingu i promocji, na drugim są gabinety szeroko pojętego szefostwa, a w dobrze klimatyzowanych podziemiach harują nasi artyści – sześciu zdolnych młodych mężczyzn, którzy z martwych tkanek potrafią wyczarować każde чудо.

Zamówienia otrzymujemy telefonicznie i mailowo. Czasami – chociaż bardzo rzadko – klient osobiście stawia się u nas.

Współpracują z nami wszystkie domy pogrzebowe, kostnice i lecznice zwierząt w Krakowie.

Kilka razy zdarzyło się nawet, że ktoś przynosił „materiał” prosto z ulicy. Staruszka z ukochanym psem wciśniętym w reklamówkę. Nastolatek ze sztywnym chomikiem w kieszeni kurtki. Zrozpaczona matka trzymająca w ramionach jeszcze ciepłe ciało potrąconej przez samochód córeczki.

* * *

– To chore. Bawicie się śmiercią – powiedział mój mąż, a tydzień później wyskoczył z czternastego piętra.

Patryk dla odmiany pracował w firmie bawiącej się seksem. Sprzedawał wibratory, lubrykanty, lalki, stymulujące nakładki. Seks-roboty, erekторы próżniowe, poprawiające libido suplementy diety. Automaty do fistingu, dildopejczyce, wibrujące czopki. Jadalne buty z żelków Haribo, czekoladowe majtki Milka. Nanopobudzacze, kombinezony Full Body Experience, okulary do wirtualnego First Person Perspective Porno. Wszystko, co tylko przyjdzie wam do głowy.

Kryzys uderzył ich mocno po kieszeni. Mąż stracił pracę. Zachorował na depresję. Przestał kochać życie, Karolka, mnie.

Rzucił się z balkonu i gdybym chciała wypreparować jego ciało, musiałabym zapłacić najzdolniejszemu taksydermiście podwójną stawkę. Jak to się mówi w naszej branży: „z mokrą płamą wiele nie zdziałasz”.

Przebiegam wzrokiem po spisie dzisiejszych zamówień. Jakiś pan chce, żeby zająć się ciałem jego kochanki, która została zamordowana przez psychopatę. Dwadzieścia trzy

rany klute. Ten pan pyta też: „czy jest możliwość, by nie zaszywać tych ran, tylko w ich miejsce wstawić wibrujące gumowe pochwy Gumovibra 2015”? Odpisuję, że przygotowane przez nas ciało może niezwłocznie przekazać nowohuckiej firmie Nekromancja, która zajmuje się takimi zamówieniami.

My bawimy się śmiercią, a nie seksem, myślę.

Łykam pigułkę Efedra Max Power i popijam kilkoma łykami napoju energetycznego.

Zastanawiam się, co robi teraz Karolek.

Później zastanawiam się, czemu ktoś podrzucił mi paczkę, w której nic nie było.

* * *

Po pracy odbieram synka i jedziemy razem do domu.

Karolek nie jest dziś sobą. Zazwyczaj dosłownie roznosi go energia, wierci się, rozgląda, zadaje setki mniej lub bardziej idiotycznych pytań. Teraz siedzi ze spuszczoną głową i nie ma nawet ochoty wyrzeć przez szybę.

– Dobrze się czujesz, synku? – mówię, zerkając na niego w lusterku.

– Mamuniu, a mogę cię o coś spytać?

Oho, czyżby wreszcie budziła się w nim zwyczajowa ciekawość świata? Pewnie zaraz będę musiała mu wyjaśniać, dlaczego kotki nie czekają, czemu dziewczynki muszą siadać do sikania i czy chmury też mokną jak jest deszczyk.

– Zawsze możesz mnie pytać. O co tylko chcesz. W końcu od czego jest mamusia.

Milczy przez chwilę, jakby namyślał się nad czymś bardzo ważnym.

– Czemu wszystko jest podszyte niczym?

Jego słowa tak mnie zaskakują, że aż odwracam głowę, żeby na niego spojrzeć.

– Kto tak powiedział?

W jego błękitnych oczach widzę czyste przerażenie. Jest blady, wargi mu drżą. Wygląda, jakby miał się zaraz rozpłakać.

– Tatuś.

Zaciskam pięści na kierownicy.

Czuję się tak, jakby ktoś z całej siły uderzył mnie w przepoń. Wciąż nerwowo odwracam głowę do syna, mimo że powinnam patrzeć na jezdnię.

– Czy ty... widziałeś ostatnio tatusia? – pytam ostrożnie i teraz sama boję się nawet bardziej niż moje dziecko.

Karolek przygląda mi się z dziwną miną. I nagle parska śmiechem.

– Nie, mamuniu. No coś ty. Tatuś powiedział tak w ten dzień, kiedy poszedł do nieba.

* * *

W domu Karolek nagle odzyskuje energię i chce się bawić w chowanego. Zanim zdążę zaprotestować, już pędzi przez korytarz, krzycząc: „Ty szukasz! Ty szukasz, mamuniu!”.

Jestem dziś tak zmęczona, że najchętniej położyłabym się do łóżka i przespała następną dobę.

Pięć minut przed zamknięciem przyszedł do nas jakiś wyjątkowo wkurzony klient, oskarżający mnie o odstawianie fuszerki. Zupełnie jakbym to ja własnoręcznie przygotowywała nasze eksponaty.

– Oczy mojej żony są zupełnie matowe! Dociera to do pani?! – darł się mężczyzna, a twarz miał czerwoną, jakby

lizął go płomień. – Nie ma w nich żadnego blasku! Wyjąłem je i wypolerowałem, ale one dalej tak wyglądają! Chyba zaparowały!

– Kiedy nasi taksydermiści oporządzili ciało pańskiej żony? – zapytałam najspokojniej jak się dało.

– Trzy lata temu.

Chrząknęłam, a potem z pamięci wydeklamowałam standardową formułkę.

– Na ciała wypreparowane przez Korporację Taksydermia udzielamy pięcioletniej gwarancji z możliwością jej rozszerzenia o kolejne pięć lat. Jednakże w przypadku elementów takich jak gałki oczne, przedłużenia paznokci oraz artystyczne modyfikacje jam i powłok ciała obowiązuje gwarancja dwuletnia, chyba że klient zdecyduje się na pakiet Premium. Czy miał pan wykupiony pakiet Premium?

Facetowi od razu rzędzie mina.

– Nie – odpowiada i spuszcza wzrok.

– Zatem pańska żona ma standardowe gałki oczne ze szkła. W przypadku ich uszkodzenia w okresie pogwarancyjnym, zalecamy klientom wymianę na modele kauczukowe, poliwęglanowe bądź diamentowe. Istnieje też tak zwana opcja Ekstra-transplant: przeszczepienie oczu z innego ciała, ludzkiego bądź zwierzęcego. Ceny i szczegółowe opisy znajdują się w katalogu, dostępnym na naszej witrynie internetowej.

Klient chciał chyba dodać coś jeszcze, ale pokręcił tylko głową i wyszedł. Widać szkoda mu było nawet dwudziestu euro, bo tyle właśnie kosztuje para najtańszych gałek z kauczuku. Wolał zostawić w oczodołach żony zmatowiałe szkiełka niż wyjąć portfel z kieszeni.

* * *

– Szukaj! – krzyczy Karolek, a ja bez namysłu wykonuję jego piskliwy rozkaz.

Wchodzę do salonu i głośno mówię:

– Gdzie jest ten Karolek? Gdzie on się mógł schować?

Odsuwam zasłony i wzdycham teatralnie, chociaż i tak wiem, że mój synek się tam nie ukrył.

– A może jest pod stołem? – pytam na głos, ale jestem już naprawdę potwornie zmęczona i nie chce mi się nawet schylać.

Słyszę jak chichocze.

Jest gdzieś blisko.

Tuż za mną.

Odwracam się, jednak nigdzie go nie widzę. To dziwne, bo zazwyczaj od razu domyślam się, gdzie Karolek postanowił się schować – mimo że muszę udawać, jakby była to zagadka nie do rozwikłania.

Znowu słyszę jego chichot.

Opuszczam wzrok i wtedy to do mnie dociera. Na podłodze leży pusta paczka. Widocznie zapomniałam ją rano wyrzucić.

Moje dziecko najwyraźniej wlaźło do środka. Powinno mnie to rozbawić, ale zamiast tego boję się jak jeszcze nigdy. Strach dosłownie mnie paraliżuje. Nie wiem, co mnie aż tak przeraża. To przecież nieracjonalne.

Chwiejnym krokiem podchodzę do paczki i nachylam się ostrożnie, jakbym miała rozbroić bombę.

– Synku, jesteś tutaj? – szepczę i słyszę dobiegający ze środka szmer. Brzmi to trochę jakby w kartonie było jakieś zwierzątko, zawzięcie drapiące pazurkami w tekturę.

– Synku?

Powolnym ruchem otwieram paczkę, w duchu licząc, że zaraz zobaczę uśmiechniętą buzię Karolka, który krzyknie: „Ej, mamuniu, oszukujesz! Pjoszę, nie oszukuj więcej!”.

W środku nic nie ma.

A ja, zamiast pomyśleć o rzeczy oczywistej – że Karolek schował się gdzie indziej – przerażona dochodzę do wniosku, że ta paczka pożarła mojego synka.

– Karolku?! – wołam rozpaczliwie, błędząc wzrokiem po przestronnym salonie.

Idę w stronę kuchni, potykając się o fotel.

– Poddaję się! Wyjdź już!

Mam wrażenie, jakby całe pomieszczenie nagle zaczęło rosnąć. Ściany salonu oddalają się ode mnie, sufit frunie w górę, meble bezszelestnie odjeżdżają coraz dalej i dalej.

– Przegjałaś mamuniu!

Karolek wyskakuje zza stolika, na którym stoi telewizor. Śmieje się głośno, rozkłada ręce na boki i udając samolot pędzi do kuchni.

– Poja na podwieczojek! – woła.

Chcę do niego iść, lecz za plecami znów słyszę chichot. Odwracam się.

Tekturowe ściany paczki drżą przez moment. A może tylko mi się wydaje? Może jestem przepracowana?

– Jeeeeeeś! – wrzeszczy z kuchni Karolek.

* * *

– Ale ze mnie głodomuj. Zjadłbym boga z kopytami – mówi ktoś dziecięcym głosem. I to na pewno nie jest głos Karolka. Brzmi jak starzec nieudolnie naśladowujący dziecko.

Wchodzę do kuchni. Synek siedzi już przy stole i beztro-
sko wymachuje nogami.

– Dziś w przedszkolu był jakiś pan – oświadcza.

– Tak? – dziwię się, patrząc mu głęboko w oczy. – Może
to był czyjś tata?

Nalewam mleka do miseczki i dosypuję trochę czekola-
dowych płatków. Karolek nigdy nie je płatków rano, jak
inne dzieci, za to wieczorami nie bierze do ust nic innego.

– Nie. To był po pjostu pan. Pytał się mnie o jóżne rze-
czy.

– Co? – Moje ciało od razu robi się sztywne i napięte.
Cała twarz drętwieje. – Jak to się ciebie pytał?

– No nojmalnie. Czy jestem grzeczny, czy nie jestem
psuja, no i czy mamusia dostała paczkę.

Staram się panować nad emocjami, mimo że jestem do-
słownie o krok od eksplozji.

– A jak ten pan wyglądał? – dopytuję się. – Czy był po-
dobny do tatusia?

Karolek kręci głową, nerwowo mrugając.

– Nie. Był tjoszkę inny. Miał w oczach pajęczynki,
a w buzi taki długaśny zielony język, któjim mnie polizał
po jęce.

Karton wypada mi z ręki i spada na stół. Mleko rozlewa
się po blacie.

– Ojej, mamuniu, przecież ja zajtuję, hihi!

Gapię się na niego z niedowierzaniem.

– Nie było żadnego pana – dodaje Karolek. – Było stjasz-
nie nudno. Ale tejaz jozlałaś mleko i jest fajnie. Będziemy
się w nim pluskać? Byłoby supejancko!

* * *

Karolek zasnął, a ja myślę tylko o tym, że muszę wyrzucić tę paczkę. I to natychmiast. Nie zmrużę oka, dopóki to coś będzie w moim domu.

Może zaczynam dostawać paranoi, ale kiedy kładłam synka do łóżka, przez chwilę miałam wrażenie, że zmatowiały mu oczy. Przypominały dwa zaparowane szkiełka. Wpadłam w panikę. Zaczęłam potrząsać moim dzieckiem, nerwowo łapiąc powietrze, jak ryba wyrzucona na brzeg. I gdy byłam niemal pewna, że mój synek jest pusty w środku, gdy już chciałam uderzyć pięścią w jego klatkę piersiową, bo wiedziałam, że usłyszę tylko echo, nic więcej, on nagle powiedział:

– Co jobisz, mamuniu? Bawimy się w szajpaninę? Ale fajnie!

Dlatego właśnie ta paczka musi zniknąć. Teraz. Bo za minutę może być za późno.

Chwytam karton i wychodzę z mieszkania, zamykając drzwi na klucz. Potem idę do windy i wzywam ją przyciskiem.

Mieszkamy na czternastym piętrze. Nie widzę żadnych zalet mieszkania tak wysoko. Chyba, że ktoś postanawia wyskoczyć przez balkon i się zabić. Wtedy ma ułatwione zadanie, szanse na przeżycie spadają do zera. No, trzeba też przyznać, że ulica w dole wygląda stąd naprawdę ładnie. Samochody są jak resoraki, którymi czasem bawi się Karolek. Przechodnie jak ludziki w grze video.

Po samobójstwie męża wiele razy siadałam na barierce otaczającej nasz niewielki balkon. Patrzyłam w dół i myślałam o tym, że właśnie to widział przed skokiem Patryk. A może zamknął te swoje piękne, błękitne oczy, żeby w wyobraźni jeszcze ten ostatni raz zobaczyć mnie i Karolka? Nie, wtedy już nie zwracał na nas uwagi. Było tak, jakby

utknął w jakimś gigantycznym erektorze próżniowym, który wprawdzie przez kolejne dni utrzymywał go w pionie, ale jednocześnie wysał z niego resztki życia, wypompował wszystkie emocje poza najczarniejszą rozpaczą.

Patrzyłam w dół i po pewnym czasie zaczynało kiełkować we mnie zrozumienie dla mojego męża. Nagle przestawała się liczyć ulica, ja przestawałam się liczyć. Najważniejsza była wtedy ta pusta przestrzeń dzieląca jedno od drugiego. Dystans, który tak bardzo pragnęłam pokonać.

* * *

Winda nie przyjeżdża. Czekam od pięciu minut. Chyba się zepsuła.

Zaczynam schodzić po schodach, chociaż to może trwać naprawdę długo, a jeśli winda rzeczywiście nie działa, powrót będzie trwał całą wieczność.

Trzynaste piętro, dwunaste. I już mam zadyszkę.

Postanawiam, że jutro odejdę z Korporacji Taksydermia. Kogo zresztą próbowałam oszukiwać? To nie dla mnie. Zbyt długo tam pracowałam. Coś się we mnie rozregulowało.

Straciłam rozeznanie w tym, co jest normą, a co patologią.

Ostatnio, gdy wracałam z Karolkiem do domu, on opowiedział mi o swoim dniu w przedszkolu, a ja opowiedziałam mu, że jedna pani poprosiła nas telefonicznie, byśmy połączyli ciało jej nieżyjącego męża z głową ukochanego wilczura, który zdechł dzień wcześniej. Tłumaczyła, że nigdy nie lubiła głowy swojego męża, wydawała jej się wręcz paskudna. Twierdziła, że miał wyjątkowo pospolitą twarz i dlatego zawsze myliła go z innymi mężczyznami, a on nie potrafił tego zrozumieć, wściekał się o te wszyst-

kie „romanse”, które były przecież zwykłymi pomyłkami. Za to swojego wilczura nie potrafiła pomylić z żadnym innym.

– I też ten pan ma głowę wilczuja? – zdziwił się Karolek.

– Tak – odparłam i dopiero wtedy dotarło do mnie o czym ja opowiadam swojemu pięcioletniemu dziecku.

– To zupełnie jak tatuś.

– Co?

Może źle go usłyszałam? Miałam taką nadzieję.

Po plecach przebiegł mi dreszcz.

– Nic, nic, tak tylko sobie żajtuję, hihi... A mamusiu, a będziemy się dziś bawić? W chowanego? Jupi! – piszczy, klaszcząc w dłonie.

– No dobrze – odpowiadam, trochę się uspokajając.

– A potem polecimy pjusto do nieba! Jak tatuś i samoloty! – krzyczy rozradowany, rozkładając ręce na boki.

* * *

Jedenaste piętro.

Ta cholerna paczka jest coraz cięższa.

Mam wrażenie, jakby była pełna, więc przystaję na półpiętrze, kładę ją na moment na podłodze, a potem otwieram. W środku nadal nic nie ma.

– To przecież jakiś absurd – szepczę, a następnie znów podnoszę karton i znoszę go na dziesiąte piętro.

Drżą mi ramiona. Dłonie przeszywa bolesny skurcz. Nogi się pode mną uginają.

Na dziewiątym piętrze paczka wypada mi z rąk i z głuchym hukiem uderza o podłogę.

– Nie dam rady! – krzyczę.

Próbuję wezwać windę, ale nadal nie działa.

Chcę podnieść paczkę, lecz nie jestem w stanie ruszyć jej z miejsca. Ani drgnie. Ale gdy ją kopię, wzbija się w powietrze, zupełnie jakby była wypełniona helem. W końcu ląduje przed czyimiś drzwiami.

– Naprawdę tego chcesz? – pytam samą siebie. – Zamiast rozwiązać problem, przerzucisz go na kogoś innego?

Przecież wszyscy tak robią. Nasi klienci, którzy nie radząc sobie z odejściem bliskich, zlecają nam stworzenie odpowiednio wypreparowanego zastępstwa. Patryk, który nie godząc się z warunkami, jakie narzuciło mu życie, po prostu się z tego życia wypisał. I nawet ja sama, chorobliwie starając się zachować przy sobie ocalałą część męża, mimo że powinnam wreszcie pozwolić mu odejść.

Wzruszam obolałymi ramionami, naciskam dzwonek, a potem szybkim krokiem wracam na górę, zanim ktokolwiek zdąży mnie zauważyć.

Karolek nie powinien tak długo zostawać sam.

* * *

W nocy długo nie mogę zasnąć. Wiercę się i wzdycham. Każda minuta jest jak godzina.

Rozmyślałam o Patryku. Wyobrażam sobie jego twarz. Ten wewnętrzny blask, który z każdym dniem coraz bardziej zniknął.

Karolek nigdy nie był podobny do swojego taty, lecz dzięki opcji Ekstra-transplant, dzięki talentowi jednego z naszych taksydermistów, który całkiem niezłe zna się na chirurgii oka, ma wreszcie to, co było w Patryku najpiękniejsze – jego oczy. Są takie cudowne. Mogłabym na nie patrzeć bez końca.

– Zrobiłam to dla ciebie, kochanie – szepczę, gapiąc się w sufit. – Żebyś mógł widzieć to, co z taką łatwością odrzuciłeś.

Potem myślę o paczce. Gdy pierwszy raz ją otworzyłam, byłam pewna, że w środku nic nie ma. Że to był żart, może groźba, może zwykła pomyłka, ale na pewno nie prezent, nie upominek specjalnie dla mnie.

Nie mogłam się bardziej pomylić.

W paczce było nic, a przecież czasami to więcej niż wszystko.

KAZIMIERZ KYRCZ JR

DZIECI ROKU

Wszyscy kłamią
dr Gregory House

Całuję synka i żonę na dobranoc, po czym kładę się spać. To był ciężki dzień, jeden z tych, które sprawiają, że śmierć wcale nie wydaje się najgorszą z możliwych opcji. Czy perspektyw, gwoli ścisłości.

Nic mi się nie śni. Żadnych majaków ze striptizerkami o ognistych spojrzeniach czy koszmarów o buldożerze, który próbuje mnie dopaść i przerobić na kamień węgielny nowego Pałacu Kultury i Nauki.

Rankiem budzę się sam. Nie o to chodzi, że bez budzika, który dostał nóg i wyemigrował do Szwajcarii czy innego raję czasomierzy.

Sam, czyli bez rodziny.

W całym domu panuje grobowa cisza, dzielona na kawałeczki tykaniem ściennego zegara. Próbując powstrzymać atak paniki, odnajduję komórkę i dzwonię do żony. Odpowiada mi jednostajny sygnał, którego za cholere nie potrafię zinterpretować. Chodzi o „chcę rozwodu”, „wracam do mamy”, czy może „porwali mnie kosmici”?

Skąd mam, do cholery, wiedzieć?!

Ale oto na stole w kuchni znajduję list. Czytam go bez większego zrozumienia, literki płaczą się i wiją niby zakróńce. Dociera do mnie jedno – świadomość, że los znów mnie wykiwał.

Żegnaj i tym podobne pierdu-pierdu.

Wędrując po mieszkaniu otwieram kolejne szafy. Zionąca z nich pustka i arktyczny chłód potwierdzają moje najgorsze obawy – ślubna spakowała manatki i związała na Alaskę albo jeszcze dalej, zabierając mi dziecko i sens życia.

Dwa dni latam po znajomych i próbuję dowiedzieć się czegokolwiek. Nikt nic, ni hu hu. Dopiero Sebastian, wieloletni mistrz kominiarski, rzuca trochę światła na sprawę zaginięcia mojego synka i jego wyrodnej matki:

– Za rzadko przetykałeś jej komin, to i poszła w pizdu.

Nie poddaję się. Szukam dalej, ba, wynajmuję detektywa Rutkowskiego.

Mija tydzień.

Zero efektów, poza błyskawicznie malejącym stanem konta.

Kolejny tydzień.

Dziennikarze dopytują się, czy dobrze sypiam i jaki mam rozmiar prącia.

Zwalniam Rutkowskiego.

Grozi, że złoży na mnie doniesienie do prokuratury.

Przyjmuję go znowu.

Jeszcze jeden tydzień.

Rutkowski przyjeżdża do mojego mieszkania. Prosi o podwyżkę. Twierdzi, że jest kryzys, a koszty stałe rosną szybciej niż dług narodowy.

Podbijam mu oko i zwalnięm definitywnie.

Po żonie i synku ani widu, ani słychu.

Depresja sprawia, że coraz częściej odwiedzam swój barrek. Suszy mnie, więc znów do niego idę. Drogę zastępuje mi żółta gumowa rękawiczka. Nie ma twarzy, ani nawet głowy, więc trudno stwierdzić, w jakim jest nastroju, ale jej słowa i napastliwy ton nie pozostawiają najmniejszych wątpliwości:

– Czemu, do chuja wafla, Bitelsi nagrali płytę o jakiejś pieprzonej łodzi podwodnej, a nie o mnie? Przecież moja żółć jest bardziej, eee... żółta! – wypala, pocierając nerwo-wo kciuk o palec wskazujący.

Jest wkurzona. Na stówę.

Nawet jej się nie dziwię. Też byłbym wnerwiony, gdybym otarł się o sławę i okazja przeleciałaby mi koło nosa – czy w tym przypadku – koło gumki.

Nie mam jednak weny, żeby wdawać się w pogłębione dyskusje, więc omijam ją i sięgam po pilota. Puszczam pierwszą lepszą płytkę i maszeruję do łazienki. A konkretnie do urzędującej w niej syreny. Przeszczępnę próg akurat w momencie, gdy w głośnikach za moimi plecami rozlegają się pierwsze takty *Nobodies*.

– Słuchasz Miensona? – Pół-ryba, pół-laska z dezaprobatą wywraca oczyma. – On już się skończył.

– Jasne. Wszyscy się skończyli. Tyle, że on przynajmniej zdążył się zacząć.

– Podobno na koncercie w Stodole łykał czysty tlen... Biedactwo!

Wzruszam ramionami. Mam dość tych słownych prze-psyhanek. Postanawiam ruszyć w miasto. Wcześniej jednak znajduję w barku śliwownicę łąką i ostro pociągam z gwinta.

Następnym, co widzę, jest wewnątrz autobusu. Kiwam się nad zajmującą podwójny fotel parką. Oboje na czarno, trupie odzienie, które bynajmniej nie dodaje im elegancji. Obcięci na krótko, okulary na nosach, ona przegląda gazetę, on z miną zbitego spaniela lustruje swoje paznokcie. Mimowolnie zastanawiam się, jak uprawiają seks. Wydaje mi się, że to musi być rytuał, coś totalnie sformalizowanego, niczym wypełnianie druków na pocztce albo stemplowane przesyłek listowych. Najpierw wypijają po kieliszku wina, później on ją rozbiera, następnie chwila zadumy nad wyborem muzy najlepiej nadającej się do pieprzenia. *Disintegration* The Cure czy może coś z repertuaru Cocteau Twins?

Przymykam oczy, a gdy je otwieram jedziemy przez Aleje Słowackiego. Moją uwagę przykuwa wiszący nad kabiną kierowcy wyświetlacz z czytelnym komunikatem: NA ZADANIE.

Zadanie? Skoro jest tu coś ważnego do zrobienia, muszę natychmiast wysiąść. Tym bardziej, że nachodzi mnie właśnie granicząca z pewnością obawa, że przerzucony nad Wisłą most trzyma się na ostatnim przęśle.

Wyskakuję na najbliższym przystanku, odprowadzając wzrokiem sto cztertnastkę aż do chwili, gdy dociera na drugi brzeg. Na szczęście żelbetonowa konstrukcja wytrzymała. Pewnie dzięki temu, że opuściłem autobus. W końcu osiemdziesiąt osiem kilo wciąż żywej wagi mogło przeważać szalę...

Spoglądam na opalizującą tarczę zegarka. Paraliżuje mnie świadomość, że mam tak mało czasu, a tyle do zrobienia. Łapię się na tym, że z niecierpliwością czekam na sygnał do rozpoczęcia akcji. Jakakolwiek by nie była. Ale nic z tego. Dojrzewam do smutnej konstatacji, że równie

dobrze mogę poczekać w chacie. Zrażony do publicznej komunikacji udaję się tam per pedes. Po cichu liczę kroki. Zakładam się z samym sobą, że będzie ich osiemset osiemdziesiąt osiem. Oczywiście przegrywam, bo jest ich kilka razy więcej. Ile? Tego nie wiem. Gubię się przy trzech tysiącach trzystu trzydziestu czterech. Czy może pięciu, kto by spamiętał?

Kiedy wreszcie docieram na miejsce, od progu witają mnie moje wierne zwierzaki – koty z kurzu, sunące po podłodze przy najłżejszym ruchu powietrza, myszka odłączona od komputera i rzucona w kąt, cyber-pies bez baterii... Wszystkie zachwycone tym, że już jestem z powrotem. Czy to nie cudowne?

Nie.

– Tęskniłyście?

Nie.

Co dziwne, zauważam, że wbrew wszelkiej logice poprawia mi się nastrój. Połowicznie, rzecz jasna, ale jednak. Jak powiedział pewien aktor udający doktora, najgorsze do zniesienia jest to, że wszystko jest do zniesienia.

Czy na pewno?

Taki głód na przykład potrafi każdego wykończyć.

Posłuszny hasłu reklamowemu twierdzącemu, że kiedy nie ma się, co się lubi, to się dzwoni, wykręcą numer tajskiej restauracji.

Zajęte, kurwa, ciągle zajęte!

I wtedy – ni z gruszki, ni z pietruszki – przypominam sobie.

Złe dni w naszym małżeństwie nastąpiły jakiś miesiąc temu, kiedy żona bez pukania weszła do łazienki. Rozmawiałem akurat z pluskającą się w wannie znajomą syreną.

Widział kto ubraną syrenę? A że znajoma biust miała pokazy, mojej ślubnej – czy obecnie: zaginionej – zupełnie się to nie spodobało.

Usłyszałem, że utrzymuję rybią kurwę, że się szmacę, że ta fładra rozkłada przede mną nogi...

Każdy wie, że syreny nie posiadają nóg. Jak więc polemizować z takimi zarzutami?

Końcówka września, na dworze klimat godny Doliny Śmierci. Jako zadeklarowany meteoropata, postanawiam okopać się na pozycjach i siedzieć na kwadracie. Wypijam ostatnią szklankę kranówki, odpalam kompa i wchodzę na stronę poświęconą wypadkom samochodowym. Gapię się na dowody głupoty rodzaju ludzkiego, nie znajdując bynajmniej uzasadnienia dla własnej. Fotka za fotką, a każda ulotna jak ulotka, treściwa niczym krew miesięczna, niczym symbol śmierci i odrodzenia...

To nie jest tania rozrywka, wcale nie. Choć prąd, jaki zżera, nie kosztuje wiele. Oglądam kraksy, kawalkadę turpistycznych figur, mnóstwo sprasowanych, rozerwanych ciał, czy raczej ich ochłapów, by zapełnić czymś dziurę w moim sercu, udowodnić sobie, że można istnieć nawet wtedy, kiedy umarła w tobie ostatnia zdolna do tego komórka. Bez efektów specjalnych. Bez żadnych efektów.

Wreszcie łapię się na tym, że wpatrując się w kolejną fotografię porośniętego wierzbami pobocza bezskutecznie próbuję rozróżnić wytwór fabryki Forda od wytworu natury.

Okej. Dość na dzisiaj. Wystarczy.

Ze wszystkich urządzeń stworzonych przez ludzi najbardziej nie lubię betoniarki. Po prostu nie cierpię turlać się w jej bębnie. Nazajutrz. Po. Każdej. Imprezie.

Próbuję przypomnieć sobie poprzedni dzień. Bez powodzenia. Przed oczyma latają tylko rozedrgane przebitki, knajpa, barmanka... O! I syrena popijająca, a może proponująca mi *sex on the bitch*... Zaraz, zaraz... Czy skorzystałem z oferty? Chyba... Jak bardzo bym nie wysilał mózgownicy, nie mogę sobie przypomnieć. Zamiast tego topię się w pościeli. Instykt samozachowawczy podpowiada mi, bym zwlókł się z łóżka. Docieram ledwie do fotela. Siadam ciężko i spoglądam na sufit, z którego złuszcza się kasetony. Kiedyś, za starych czasów, średnio raz na kwartał poprawiałem ubytki, podklejałem te, które się odkleiły, lecz odkąd przestałem przyjmować gości, dałem sobie z tym siana.

Szkoda nerwów.

Z telepułda dowiaduję się, że do Krakowa z duszpasterką wizytą zajeżdża papież. Akurat ten jest czarny jak bezgwiezdna noc. Ciekawe co na to Ku-Klux-Klan. Pewnie są załamani. Ich problem. Nie obchodzi mnie to nic a nic. Gorzej, że nadgorliwi radni znowu wprowadzą w mieście prohibicję.

Chcąc nie chcąc podnoszę z podłogi udające harmonijkę džinsy, wkładam koszulę w kratę, adasie i ruszam uzupełnić zapasy. Po drodze zaglądam do łazienki. Syreny brak. Cóż, łatwo przyszło, łatwo poszło. Przyplątała się do mnie, kiedy pojechałem na delegację do Warszawy. Trafiłem na nią w jakimś nocnym klubie. Wyginała się na rurze w olbrzymim akwarium na środku sali. Wyglądała zajebiście, więc dałem jej spory napiwek, a ona uznała, że ją lubię. Cholera, od razu wiedziałem, że nic z tego nie będzie. Różnica charakterów, te sprawy...

Przez następną godzinę pielgrzymuję od sklepu do sklepu, jednak nie udaje mi się kupić nawet jednej flaszki.

Nagle, gnany ślełą nadzieją, wdeptuję w kałużę roztopionego asfaltu. Czarna maź oblepia podeszwy butów. Nie wiele brakowało, a rozstąpiłaby się przede mną jak Morze Czerwone, myślę, mimowolnie wypatrując dalszych cudownych zjawisk. I oto jest – wzdłuż bloku spaceruje dziewczyna o kręconych blond włosach. Ma króciutką mini i ślimaka nadrukowanego na tiszercie. W dłoniach trzyma różową piłkę.

– Hej mała! Chcesz rogała? – zagajam finezyjnie.

W następnej chwili wącham płyty chodnikowe, które – o zgrozo! – pachną mokrym psem. Z tej perspektywy budynki wokół przypominają kamienne wieże, gotowe z rumorem zwalić mi się na łeb.

Na pożegnanie dziewczę znów punktuję moje podbrzusze. Piekący ból rozlewa się na połowę ciała. Głos rozsądku sugeruje, aby potraktować to jako nauczkę.

Czemu nie? Próbuje wstać, ale tofu z keczupem wybiera sobie akurat ten moment, by w ekspresowym tempie wy dostać się na wolność. Skąd to paskudztwo wzięło się we mnie? Hmm... Zdaje się, że zjadłem je na śniadanie. Nie obarczam się odpowiedzialnością za ten nietrafny wybór, nie obarczam się już niczym. Nawiasem mówiąc, moja lodówka ma dziwną właściwość – wszystko, co do niej wkładam, znika w zastraszającym tempie. Momentami zastanawiam się czy nie mieszkają w niej jakieś lodówkowe trolle czy zgliny.

Zgliny to takie stworki, które przedszkolaki robią z gliny.

Jak zwał tak zwał, ważne, że nie zawał, a jeszcze ważniejsze, że mobilizuję się na tyle, by doczołgać się do swojej nory. Zaraz za progiem na podłodze leży wsunięta przez szparę w drzwiach karteczka od Rutkowskiego, na której nabazgrano czerwonym flamastrem: „Ósma punkt,

tam gdzie zawsze”. Nie łapię, o co kamon, ale na wszelki wypadek zwijam liścik w małą kuleczkę i połykam.

Nie starcza mi pary na nic więcej. Zalegam na wersalce i momentalnie gasnę. Po przebudzeniu czuję się rozbity jak piniata. Zupełnie jakby jakiś nierozgarnięty zawodnik pomylił moją makówkę z piłką. Może nawet różową? Najwyraźniej nawet brak kilku klepek nie zabezpiecza przed bólem i miłosnymi rozczarowaniami. Cóż, może nie zakochałem się w tej dzierlatce na poważnie, ale kto wie czy w innych okolicznościach... Houston, Houston, mamy kłopoty, pora wracać na Ziemię!

Odbicie w lustrze ukazuje cienie pod oczami, a właściwie siniaki – ślady walki, którą od dawna staczam sam ze sobą. Zgadza się, w teście słupa i we wszystkich innych nie miałbym żadnych szans na dobrą ocenę. Stałem do zbyt wielu prób zderzeniowych, by wyjść z tego bez szwanku. Kolizje z przesunięciem, dachowania, walenie z impetem w betonowe bloki oporowe... I tak bez przerwy, dzień za dniem. Taka karma. Poszerzanie stref urazów to mój żywioł. Gdybym naprawdę był czterokołowcem, mógłbym przynajmniej reklamować się, że posiadam niezwykle wytrzymałą karoserię, która świetnie pochłania energię uderzeń. Do tego cechują mnie dobre strefy zgniotu, sztywna kabina pasażerska, odporna na uszkodzenia i korozję. No i niezbędna w takich przypadkach liczba czujników.

Zaparowaną płaszczyznę lustra zastępuje ekran telewizora. Pilot w dłoni, szybko, szybko, przełączam z kanału na kanał, rejestrując migawki, przebliski, bynajmniej nie geniuszu, jakbym uczestniczył w jakimś surrealistycznym wyścigu, w którym stawką jest start u boku bogini sukcesu.

Zaciskam zęby, próbując przebić się przez własną niemoc, ale bez efektu. Cholera, czy to moja wina, że nic

mi się nie układa? Że nie skarłowaciałem tak pięknie jak bonsai? Wreszcie! Wreszcie znalazłem, jest, jest! Pokaz mody, a może targowisko próżności, raczej to drugie, zresztą, jakie ma to teraz znaczenie, skoro widzę Ją. Śliczna, palce lizać, kołysze biodrami, długie włosy śmigają niczym pejcz w tę i we w tę, w tę i we w tę, kiedy stawia drobne i stanowcze krocзки, każdym z nich rozdeptując czyjeś zbolale serce. Wygląda doskonale, ale wyraźnie nie jest z tego zadowolona, jeszcze nie. Jej twarz zastygła w grymasie wyrażającym głód oklasków. I wtedy – ciężko w to uwierzyć – spogląda w moim kierunku. Milcząco, natarczywie.

Czeka na mnie? Na tę porażkę, oblizywanie spierzchniętych warg, ciągną pogoń za ósmym smakiem, nowymi doznaniem? Owszem, to mogę jej zaoferować. Wyłącznie. Nie brawa, nie tym razem. Gdybym nawet potrafił oderwać palce od prostokątnego plastikowego ustrojstwa, tej namiastki władzy, atrapy wolności, Ona i tak nie usłyszałyby moich oklasków, uwięziona za kotarą ze szkła i ciekłych kryształów.

Patrzę na Nią, łzy spływają mi po policzkach, a każda z nich samotnie podąża w dół. Można by tu doszukiwać się analogii, można, z pewnością. Póki co nie ma na to warunków, bo oto otwiera rany ust i mówi, mówi, mówi...

Mówi coś o rodzinie, której nigdy więcej nie ujrzę, której nie ma i nie będzie, nie ma nie ma, niemanie... O zdradzie, którą trzeba pomścić, o hańbie niekochania.

Ziarno trafia na podatny grunt, o tak, zamieram w bezbrzeżnym zdumieniu, chłonąc każde słowo, automatycznie przekierowując uwagę z tego, co było, na to, co będzie... Do Nowego Roku jeszcze daleko, ale może już dziś coś postanowię? Czemu nie? Przez ekran przepływają napisy

końcowe. Teleobecność odeszła, więc przenoszę wzrok ku górze. Lampa zwisa z sufitu na sznurze rozpaczy. Patrę na to i znikam.

Nagle spoglądam na samego siebie z wielkiego oddalenia. Nie w znaczeniu przestrzeni, lecz jakiejś totalnej obcości. Obserwuję gdzieś z boku kogoś, kto wygląda dokładnie jak ja, nie będąc mną. Ten ktoś zbiera resztki siebie, wkłada bieliznę, koszulę i czarny garnitur w ledwie widoczne prążki. Nie ja opuszczam mieszkanie, z przyzwyczajenia zaglądając do pustej skrzynki na listy. To nie do mnie, wychodzącego z bloku, podchodzi policjant, wręczając wezwanie do prokuratury. To nie ja kwituję odbiór, wzruszam ramionami i skręcam w lewo. Depcząc lekko opadający chodnik ten ktoś ma przed sobą wypełniające połowę nieba słońce. Paradoksalnie, wcale nie czuje się przy nim malutki. Wręcz na odwrót – zdaje mu się, że jest siłaczem, nieomal herosem, który ma zamiar wyrównać rachunki krzywd albo obalać totalitarne rządy. Albo jedno i drugie.

W następnym momencie znów jestem sobą. Co za ulga. Co za pierdolona ulga.

Czy wspominałem, że nie znoszę biegających po mieście zapaleńców? Nie mogę wyzbyć się wrażenia, że jestem przez nich śledzony. Że chcą mnie dopaść i przywalić mi kastetem w podstawę czaszki.

Tak jak ten. Barczysty facet pędzi z naprzeciwka, wymachując ciężkimi niczym bochny chleba łapami. Gdyby mu pozwolić, zaraz zabrałby się za zabijanie. Urządziłby rzeź, zwłaszcza starcom, kobietom, no i dzieciom. Gość ma na sobie czarne sportowe buty, skarpetki i krótkie spodnie tej samej barwy, do tego dres z nasuniętym na czoło kapturem. Prawie zrównując się ze mną, potyka się o nie-

równość chodnika i ciężko dysząc nurkuje w moją stronę z szeroko rozłożonymi rękami. Jeśli próbował w ten sposób skrócić dystans na tyle, by mnie skrzywdzić, nie udało mu się. Uskakuję w bok i facio, który spodziewał się, że go podtrzymam, ryje mordą po betonie.

Musi być twardzielem, bo podnosi się prawie od razu. Pluje na kawałek zdartej skóry i przykleja sobie na zakrwawione czoło. Dopiero wtedy go poznaję. To detektyw Rutkowski w całej swej okazałości.

– Przez takich drani jak ty – warczy, pryskając wokół kropelkami śliny – ten kraj schodzi na psy!

– Jak ci się tu nie podoba, zawsze możesz wyjechać! – ripostuję.

– I wyjadę, zobaczysz! – Po tych słowach pociąga nosem, najwyraźniej zbiera mu się na płacz.

– Droga wolna, siostrojebco! – Dla podkreślenia wagi swych słów klaszczę w dłonie, omijam frajera i cicho mantrując pod nosem maszeruję dalej.

Tak, spokojny i zrównoważony krok to podstawa. Byłe tylko niczym się nie wyróżniać. Kiwam głową do młodych dziewcząt i starych mężczyzn, a czasem na odwrót, próbując odwzajemniać wymierzone w moją osobę uśmiechy.

Na otoczonej przez bloki pętli ogolony na zero chłopak daje mi darmową gazetę. Ze zdjęcia na pierwszej stronie gapi się na mnie żona z synkiem. Wytłuszczony nagłówek głosi, że mój koniec jest bliski, że to ja ich skrzywdziłem. Wyrzucam pisemko do kosza. Nie trafiam, ale nie zatrzymuję się. Notuję w pamięci, że kiedyś warto popracować nad celnością. O ile to k i e d y ś nastąpi.

Autobus rusza w kilka sekund po tym, jak instaluję się na jego pokładzie. Wieszam dłoń na pętli uchwyty i spoglądam na umieszczony pod sufitem monitor, na którym

pojawia się rysunek telewizora na kółkach i wkomponowany w niego napis: Bus TV. Wtedy zaczyna się jazda bez trzymanki. Najpierw ponadnormatywnie rozrośniętą dziewczę ściąga sweterek i odrzuca go gdzieś w bok, potem chłopiec z łukiem wypuszcza płonąca strzałę w sam środek nicości. Czy to przypadkiem nie kryptoreklama piromanii?

W następnym ujęciu rozczochrany staruszek pyta o to, czy da się zobaczyć DNA.

Chyba sięgnąć, myślę. No jasne, ja właśnie sięgam – odpowiadam sam sobie, przenosząc wzrok na wsiadającą do pojazdu nastolatkę w leginsach i zielonej bluzce w czaszki; laska siada przy oknie, składa łokieć na wyłożonym gumową otuliną parapecie, drugą ręką pisze esemesa. Udami ściska parasol, by nie upadł. Ściska go mocno, naprawdę mocno.

Tymczasem na ekranie pojawia się zdjęcie uśmiechniętego faceta z podpisem:

Miał 39 lat i chciał zdążyć ze wszystkim

Przecieram oczy z niedowierzaniem. Ten gość to przecież ja! Jestem ubrany w ten sam garniak, który mam na sobie. Identyczna fryzura, tylko cera jakby ciut zdrowsza.

Na nowej planszy widać rozrzucone na torowisku drobne przedmioty. Zegarek (MÓJ zegarek!), czarny portfel z czerwonymi aplikacjami (ten, który jedynie wyjątkowo wyjmuję z kieszeni), klucze z przypinką w kształcie trupiej główki, nóż z okrwawionym ostrzem...

Wyciemnienie trwa sekundę, może dwie, po czym z mroku wyłaniają się białe litery układające się w radę: *nie spiesz się na tamten świat.*

Kurwa, skąd pomysł, że mi się spieszy?

Znów wraca Teleobecność. Wynurza się z Bus TV niczym Afrodyta z morskiej piany, zwiewna i bosko olśniewająca. Jej długie włosy wydłużają się coraz bardziej, niemal omiatając podłogę, a karminowe wargi rozciągają się w uśmiechu zachłannego przyzwolenia.

Nie! Nie w taki sposób!

Wiem, wiem bez wątpienia, że moja ślubna była występna, okrutna i zła, ale nigdy nie spotkałem lepszej kobiety. Dopóki o niej pamiętam, dopóki noszę ją w sobie, w jakiś sposób nadal istnieje.

Wkładam do ust żujkę, wysiadam i idę w stronę Rynku. Guma jest zwietrzała, więc wypluwam ją przez lewe ramię, omal nie dostając zawału, gdy przejeżdżająca obok karetka włącza sygnał. Nie zdziwię się, jeśli tak będą brzmiały trąby Sądu Ostatecznego. Póki co jednak za wcześnie na to. Albo tak mi się wydaje. Mijam kiosk, potem punkt totalizatora sportowego. Wystawiona przed nim tablica informuje o kumulacji. Do zgarnięcia osiem milionów. Nieźle, przynajmniej jak na nasze realia. Dalej odzieżowy i sklep AGD. Wchodzę, rozglądam się z chłodnym zainteresowaniem po klimatyzowanym wnętrzu. Dzięki bogu nigdzie nie widzę Rutkowskiego. Zamiast niego na półkach i regałach zalega mnóstwo srebrzystego szmelcu. Prawie każda z tych rzeczy może posłużyć za narzędzie mordu. Zresztą, niektórym z nich będzie to dane.

– Mają państwo jakieś noże? – pytam sprzedawczynię, której twarz wydaje mi się znajoma. Pewnie dlatego, że jest młodszą wersją Anji Orthodox.

– A do czego pan potrzebuje? – odpowiada z dużą dozą wnikliwości.

Tego akurat wołałbym jej nie mówić. Szukam odpo-

wiedniego narzędzia, a nie wsparcia psychicznego czy zrozumienia.

– Do mięska – wyjaśniam, i nie jest to wcale kłamstwo.

Rzecz jasna na bramce w prokuraturze okręgowej ochroniarz znajduje nóż i zabiera go do depozytu. Chujowo, miałem wobec niego tyle planów... Do plusów takiego scenariusza należy to, że tłumek zgromadzonych w holu dziennikarzy pstryka mi i mojemu metalowemu przyjacielowi mnóstwo twarzowych fotek.

Do pokoju zwierzeń eskortuje mnie dwóch ubranych po cywilnemu gliniarzy. Jeden młody, drugi jeszcze młodszy. Prokurator dla odmiany wydaje się odrobinę starszy. Niewiele, ale dość, by wyhodować sobie niezbyt okazałą kozią bródkę.

Bródka na mój widok zaciska zęby. Chyba jest na coś zły. Albo na kogoś.

Najpierw pyta czy żona ostatnio kontaktowała się ze mną. Odpowiadam, że nie. Pyta czy wiem, gdzie może być. Opowiadam, że nie. Zmienia front i pyta, gdzie ukryłem zwłoki. Obruszam się, płaczę, krzyczę, że jestem niewinny. Bródka przestaje panować nad sobą i też krzyczy. Krzyczy, żebym zamknął mordę i przyznał się, bo oni doskonale wiedzą, że to ja zabiłem żonę i naszego synka. Wypieram się, klnę na grób babci i dziadka, na wszystkich świętych, a nawet na honor premiera, że nie mam z tym wszystkim nic wspólnego. Absolutnie nic.

Jeden z policjantów, zdaje się że ten młodszy, uderza mnie z liścia w kark.

Zlatuję z krzesła. Przerwa techniczna nie trwa długo, bo ten drugi łapie mnie za ramiona i usadza znowu na siedzisku.

Panowie, mówi prokurator, tak nie można. Przepisy nie pozwalają...

Z chmurną miną spogląda na rozłożone na biurku papiery i podaje mi kilka zadrukowanych kartek A4.

To opinia biegłego, wyjaśnia. Według niego to pan napisał list pożegnalny, który jakoby wyszedł spod ręki pana żony.

Tu mnie mają, kurka.

– Gdzie ukryłeś ich ciała, skurwysynu?! – drze się Bródka.

Przetykam ślinę, spodziewając się, że zaraz znowu dostanę w karczycho, ale nie. Wolę jednak nie prowokować zbędnych aktów przemocy.

Owszem, mówię, to ja zakopałem ich ciała, jednak sami się zabili. To znaczy moja żona zabiła nasze dziecko, a potem siebie.

– Więc czemu nie zgłosił pan tego na policji? – Nie rozumie Bródka.

Ja też tego nie rozumiem, więc gram na zwłokę i zasłaniam się niepamięcią. Jestem w szoku, szepczę teatralnie, proszę dać mi czas na zastanowienie i przypomnienie sobie szczegółów.

Bródka ma najwyraźniej dość przeciągającej się zabawy w kotka i myszkę, bo decyduje się przerwać przesłuchanie i każe mi przyjść jutro. Dziękuję mu wylewnie i, znów eskortowany przez żółtodziobów, drepczę do wyjścia z budynku. Pytam o nóż, ale ochroniarz odpowiada uprzejmie, żebym spierdalał.

Przez kilka minut pozuję fotoreporterom, po czym jadę tramwajem na Rynek. Stado dziennikarzy nie odstępuje mnie ani na krok. Pod czujnymi oczami obiektywów kupuję w Cepelii strój krakowiaka, przebieram się naprędce i dobijam targu z jednym z dorożkarzy, który za tysiąka pożycza mi na piętnaście minut konia. Po chwili dosiadam gniadosza i urządzam sobie małą rundkę dokoła Sukiennic.

Dziennikarze są wniebowzięci, a ja zyskuję pewność, że pojawię się na niejednej okładce.

Zdziwieni?

Czym?

Matka Madzi z Sosnowca jeździła w bikini na klaczy i było okej, to i ja mogę. Przecież nie jestem od niej gorszy.

PAWEŁ WAŚKIEWICZ
LAMPIONY Z LUDZKICH GŁÓW

I

Każda praca powszednieje, twierdził jego dobry kolega, zanim poszli na studia – i miał rację. Po technologii drewna długo wydawało mu się, że potrafi zrobić ze swoimi umiejętnościami coś twórczego. Naprawdę twórczego.

Niestety, wyrabianie lampionów z ludzkich czaszek okazało się niepełną formą sztuki. Wśród artystów takich jak Michał Anioł, a nawet współczesnych bubków z galerii sztuki nowoczesnej czułby się jak niepełnosprawny. Jego niewydarzone ręce starały się, jak mogły, ale cały kłopot leżał w materiale. Ludzkiej brzydoty nie da się zwyczajnie wymazać – nie kiedy jest zapisana w kościach.

Ta walka ze szpetotą kładła się cieniem na całe jego życie. Właściwie to do robienia tego, czym się zajmował, pchnęło go odbicie w lustrze. Wspomniany kolega – naprawdę porządny, jeden z ostatnich – powiedział mu, że ludzie będą do niego przychodzić i kupować cholerne lampiony jak świeże bułeczki. To dlatego, że głowa Petra wyglądała jak dzieło sztuki – wykonane przez naćpanego dekadenta albo turpistę w napadzie złego humoru.

W dzieciństwie słyszał od matki, że urodził się w pokoleniu Czarnobyła. Nie on jeden, a przecież nie wszyscy

rówieśnicy mieli takie skazy. Prawdę mówiąc przez cały okres obcowania z publiczną edukacją nigdy nie zetknął się z porównywalnym wybrykiem natury.

Bardzo często natomiast słyszał, że jest dziwakiem, poczwarą, pojebem.

Dlatego rzeźbienie w czaszkach stało się jego profesją. Patrzył na swoją głowę w lustrze i widział wyraźnie jak na fotografii te wszystkie kształty, którymi mogłaby być, wszystkie rysy i zakrzywienia, które mogłyby ją zdobić. Potem odwracał się do drewnianego stołu, na którym trzymał kości, po czym włączał skrawarkę.

Niestety, każda praca kiedyś powszednieje. O ile na początku – kiedy był pionierem, a przynajmniej jednym z pionierów tej niedocenionej sztuki – dźwięk skrobaczki we wnętrzu ludzkiej głowy wydawał mu się przyjemny, teraz szorowanie po szorstkim sklepieniu czaszki wywoływało w nim mdłości.

Poza tym, popyt musiał się kiedyś wyczerpać. Od czasu chińskiej ustawy o zmniejszeniu przeludnienia z 2004 roku rynek zalewały drobne, azjatyckie głowy; teraz jednak o dobrą czaszkę było coraz trudniej.

Oczywiście wśród klientów popularne stały się bardziej osobiste zamówienia: lampion z główki zmarłego dziecka, ozdobna lampa z abażurem wydrążona w czerepie pradziadka, tego rodzaju romantyczno-sentymentalne bzdury. Jemu było wszystko jedno. Łeb to łeb, jak mawiał jego dobry kolega, klepiąc go po zdeformowanym czole.

Czoło nie było zresztą takie złe. Problem polegał na tym, że tuż nad linią włosów – lub nad miejscem, gdzie ta linia przebiegała u innych ludzi – jego głowa rozszczepiała się na dwoje, tworząc kształt przypominający serce. Obie korpulaste narośle były prawie całkowicie gładkie, choć czo-

ło miał gruzłowate i nienaturalnie pomarszczone. Skóra na nich wydawała się tak napięta, że niemal można było zobaczyć prześwitującą kość.

Głowa jego siostry miała podobny kształt, ale przynajmniej zachowała niektóre cechy ludzkiej fizjonomii, przez co wrażenie nie było tak piorunujące. Poza tym zapuściła długie włosy, dlatego jej widok nie sprawiał, że starsze panie przechodziły na drugą stronę ulicy.

Nasza matka na kwasie bzykała się z upośledzonymi, mówiła siostra. Żyła w komunie hipisów i brała co popadnie, a potem robili sobie wycieczki do pobliskiego zakładu dla niedorozwojów i jebali się z nimi do nieprzytomności.

Czasami chciał uwierzyć w tę bajeczkę.

Nigdy nie miał ojca, a matka nawet o nim nie wspominała. Nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby pytać: to po prostu nie było w jego zwyczaju. Niewiele rzeczy go interesowało, nie targali nim żadne wątpliwości.

Lubił jednak tworzyć. Pracować rękami. Pragnął tego.

Standardowy lampion, numer jeden w jego krótkim, ilustrowanym folderze, który klienci mogli zabrać z lady, przystosowano do montowania na ścianie. Do tego celu prócz czaszki potrzebna była ludzka ręka, a przynajmniej dłoń. Zamocowana na pomalowanym pręcie formowała naturalną podstawkę. W ciągu trzyletniej działalności wyprodukował kilkaset egzemplarzy tego modelu. Różniły się wyłącznie kształtem, w jaki spiłował oczodoły.

Były też lampiony ogrodowe, ustawiane zwykle na kociach kończyn dolnych, ze stopą – bądź stopami – tworzącą stabilną podstawkę. W nich zwykle nie umieszczano żarówki, tylko świeczkę lub system kolorowych światełek. Bardziej ambitne projekty obracały się na metalowym kole jak kalejdoskop, rzucając zmieniające się, różnobarwne cienie.

Dziecinada.

Ze dwa razy otrzymywał zamówienia dające większą swobodę twórczą. Nigdy jednak nie zbliżył się do poziomu, który mógłby uznać za prawdziwą sztukę.

– Prawdziwą sztukę to masz ty sam na ramionach – burknął Antonin, parokrotnie już wspomniany kolega.

Antonin był chyba jedynym człowiekiem, który wytrzymywał jego towarzystwo. Inna sprawa, że ten wysoki, chudy i zazwyczaj nieogolony chłopak nigdy nie szukał kontaktów ze światem, a już na pewno nie z jego zwykłymi mieszkańcami.

– Ja chcę coś zrobić. Chcę być w czymś naprawdę dobry.

– Wiesz, Petr... – Antonin wyprostował się w fotelu, przypalając papierosa. – Ludzie rzadko dochodzą do czegoś w życiu. Mało kto jest naprawdę dobry w czymkolwiek, od strugania ludzików z drewna do dłubania w nosie. Zważ na to. Jeśli nie możesz być naprawdę dobry, spróbuj być w czymś niesamowicie zły.

– Zły?

– Beznadziejny. Szczerze, to działa. Świat na początku myśli, że jesteś gównem przylepionym do jego podeszwy, a potem zamiera z wrażenia.

– To nie ma sensu. – Petr podrapał się w miejscu, gdzie jego czoło rozszczepiało się na dwie części. – Zupełnie.

– Ależ ma. Weź udział w konkursie piękności. Uwierz mi, nigdy nie widzieli tam czegoś takiego.

– Nabijasz się ze mnie.

– Może trochę. Jednak sądzę, że miałbyś szansę wygrać. Postraszyłbyś ich swoim wymyślonym prawnikiem, a ze strachu przed urażeniem mniejszości dupogłowych z zespołem Hohenzollerna czy innego chuja daliby ci złoto. Jak nic.

Logika Antonina znów pozostawała poza jego zasięgiem. Jednak przyjaciel miał rację w tylu sprawach, że wygrana w konkursie piękności nie wydawała się nawet tak absurdalna. Skoro los miał dość poczucia humoru, by wydać takiego mutanta na świat, mógł też w ramach kiepskiego dowcipu umieścić jego łepetynę na okładce Vogue'a.

Jednak to nie było celem Petra. Chciał mieć coś dla siebie, jakiś kawałek rzeczywistości, w którym byłby panem i władcą.

Rzeźbienie lampionów nie było słuszną drogą.

Rozmyślał o tym, rozparty w przyjemnym cieniu za stołem, przy którym pracował, gdy zza kurtyny dobiegł go dźwięk dzwonka. Ktoś wszedł do sklepu. Nic dziwnego o tej porze; popołudnie to najlepszy czas, by zamówić lampkę nocną zrobioną z głowy całkowicie obcego człowieka.

Petr otarł pot z czoła, odłożył dłuto, którym delikatnie wygładzał spiłowane krawędzie oczodołu, po czym ruszył do wejścia. Ostrożnie przeszedł przez kurtynę i stanął za ladą, starając się nie zrobić tego zbyt gwałtownie. Nagłe pojawianie się kogoś takiego jak on łatwo mogłoby przyprowadzić nieprzygotowanego klienta o zawał.

Na szczęście mężczyzna stojący na wprost nie wydawał się szczególnie zaskoczony. Zamiast tego zerknął tylko spokojnie na właściciela sklepu i przeszedł się wzdłuż szpaleru wydrążonych głów, będącego jedynym źródłem światła w pomieszczeniu. Petr nie używał oświetlenia elektrycznego poza pracownią, a okna musiał mieć zasłonięte z powodu starego przepisu zakazującego trzymania fragmentów ludzkich ciał na wystawach. Podobno dzieci się ich bały. Ta, jasne.

– Nie sądziłem, że tak jasno świecą – powiedział mężczyzna.

Petr spojrział na niego, a potem rozejrział się ze zdziwieniem. Zawsze wydawało mu się, że blask bijący od lamponów ledwie rozrzedza panujący w pomieszczeniu mrok – teraz jednak faktycznie wyglądało tak, jakby obskurny sklepik zmienił się w szklarnię.

– W czym mogę pomóc? – zapytał.

Mężczyzna odwrócił się do niego i uśmiechnął. Gdy stanął pod tym kątem okazało się, że pod pachą trzyma prostokątne pudełko, dokładnie zaklejone nieprzezroczystą taśmą. Petr nieraz oglądał podobne pakunki.

– Ktoś bliski? – spytał.

Mężczyzna uniósł brwi i spojrział na paczkę, jakby widział ją pierwszy raz.

– To? Nie – odparł.

Petr czekał spokojnie, aż nieznajomy podejździe do lady i położy przed nim pudełko. Nie wykonał ruchu, czekał na słowa klienta.

– To dla mnie ważne. – Facet poluzował klapy marynarki. – Liczę, że będzie pan bardzo staranny. Jestem gotów zapłacić za każdą dodatkową godzinę, którą poświęci pan tej rzeczy.

– Wedle życzenia szanownego pana – odpowiedział klasyczną formułą Petr.

– Proszę samemu zdecydować, jaka to będzie lampa. Nie mam żadnych preferencji. Ma być... jedyna w swoim rodzaju.

– Oczywiście. Nie będzie pan zawiedziony.

Kolejna formułka, ale w głowie Petra zapaliło się światełko. Oto dostał jedno z nielicznych otwartych zleceń, które kiedyś tak uwielbiał. To może być ostatnia szansa na przekonanie się, czy tkwi w nim ukryty artysta.

– Kiedy chciałby pan odebrać lampon? – zapytał.

– W przyszły wtorek. Czy to wykonalne?
– Z pewnością tak. Tak. Ale jeżeli mam dać projektowi priorytet, to będzie dodatkowo kosztowało.

– Rozumiem. Żaden problem.

Wzrok mężczyzny mówił: „mam dość pieniędzy, żeby kupić twój paskudny łeb razem z całym tym kramem”. Mimo to zleceniodawca wciąż był na pozór grzeczny i uśmiechał się lekko, nie zdradzając wyższości czy pogardy.

– Pana godność? – zapytał Petr, wprowadzając zamówienie do komputera.

Klient przedstawił się obco brzmiącym nazwiskiem.

II

Jego zdziwienie było niezmierne, gdy w końcu otworzył paczkę. Przez chwilę patrzył na leżącą w środku czaszkę z rozdziawionymi ustami, nie bardzo wiedząc, co zrobić. Kiedy jednak zobaczył kropelkę własnej śliny rozpryskującą się wewnątrz opakowania, odzyskał panowanie nad sobą.

– Jasny szlag – powiedział.

Czaszka znajdująca się w pudełku była dobrze oczyszczona. To zdarzało się niezwykle rzadko w przypadku głów dostarczanych przez klientów. Zakłady pogrzebowe nie przykładają do tego wagi, uważając ludzi z jego branży za wariatów i szarlatanów.

Dobry stan czerepu sprawiał, że tym wyraźniejsze były jego nadzwyczajne cechy. Albo raczej deformacje. Dwie duże, wypukłe narośle, dzielące górną część głowy na dwie części. Podziwiane pod światło i z tej odległości

wyglądały niemal jak pozbawione sutków kobiece piersi. Było w nich coś odrażającego, ale także perwersyjnie pięknego.

Petr odwrócił się od stołu i popatrzył w lustro, które przez tyle lat dostarczało mu inspiracji. Potem spojrział znowu na kość leżącą na stole.

Pierwszym słowem, które przyszło mu do głowy, było: ojciec.

Oczywiście, to mógł być on. Przez wszystkie lata swojego życia Petr nigdy nie widział nikogo, kto przypominał jego lub siostrę. Czy nie słusznie byłoby założyć, że kształt ich głów jest unikalny? Że podobna skaza nigdy nie wystąpiła w żadnym miejscu na świecie, tylko w ich rodzinie? A jeżeli tak... mogła równie dobrze być dziedziczna.

Pozostawało najważniejsze pytanie: skąd w ogóle wzięła się ta czaszka? Kim był facet, który ją przyniósł, i dlaczego to zrobił? Nie mógł przecież nie dostrzec uderzającego podobieństwa...

Petr wyszedł z zaplecza, z trudem odrywając wzrok od kości. Wrócił do sklepu i wbił spojrzenie w miejsce, gdzie jeszcze niedawno stał nieznajomy z paczką. Usiłował przypomnieć sobie rysy jego twarzy. Nie było to trudne. Nie dla kogoś, kto tyle czasu spędzał z ludzkimi głowami.

Lekko wysunięty podbródek, silnie zarysowana szczęka, nieduży nos z małym zgrubieniem na grzbiecie, wypukłe policzki... Nie pamiętał koloru oczu. Ani nawet odcienia włosów, jeśli o tym mowa. Przekleństwo zawodowe.

Podszedł do komputera i szybko zajrzał do rejestru klientów. Znalazł wtorkowe zamówienie bez problemu. Transakcja numer 1608130078, na nazwisko Ondra Svoboda, telefon kontaktowy... Petr zaznaczył numer, po czym sięgnął do kieszeni po służbową komórkę.

Ktoś odebrał:

– Halo?

Petr zawahał się. Głos bez wątpienia należał do kobiety.

– Dzień dobry. Czy pani Svobodova?

– Niestety, to pomyłka.

– I nie ma tam nikogo o nazwisku Svoboda?

– Jak mówiłam, pomyłka. Przykro mi.

Przeprosił i rozłączył się.

Mężczyzna podał fałszywy numer telefonu. Właściwie z góry można też było założyć, że nazwisko też. Ciekawe, czy we wtorek zamierzał się stawić po odbiór czaszki... Z jakiegoś powodu wydawało się to wątpliwe.

Zatem celem nieznanego było tylko i wyłącznie dostarczenie czerepu do zakładu Petra. To nie mógł być zbieg okoliczności. Czy ów człowiek znał jego ojca? Czyżby uznał za właściwe, by zaginiony syn po latach zmienić czaszkę swojego przodka w ozdobę rodzinnego salonu?

Próbował coś z tego zrozumieć.

Wrócił na zaplecze i przez chwilę wpatrywał się w narzędzia leżące na metalowym stojaku obok stołu. Wziął do ręki skrawarkę, ale nie włączył jej. Odłożył instrument na miejsce i pomyślał: do diabła z tym.

Włożył czaszkę z powrotem do pudełka i zamknął je, ale nie zalepił z powrotem wieka. Z paczką pod pachą opuścił sklep. Przy krawężniku czekał na niego samochód.

Uzyskanie prawa jazdy przez kogoś o takim wyglądzie nie należało do prostych czynności. Lekarz oceniający jego zdolność do kierowania pojazdem, zmusił rodzinę do zapłacenia za szczegółowe badania: prześwietlenia czaszki i masę dziwnych zabiegów, których nazw Petr nie potrafił nawet poprawnie wymówić. Cholernemu znachorowi nie mieściło się w głowie, że taka pokraka może mieć spraw-

ny umysł. Jednak nawet powtarzane do znudzenia badania wzroku wyraźnie wskazywały, że z Petrem wszystko jest w porządku. Wygląd głowy to jedno; poza tym detalem był takim samym młodzieńcem jak wszyscy inni, którzy w tamtym czasie zdawali na prawo jazdy.

Usiadł za kierownicą i przekręcił kluczyk w stacyjce. Zanim zapiął pasy i ruszył, znów przez długą chwilę miał poczucie, że jest zawieszony – zupełnie jak popsuty komputer. Na szczęście udało mu się odzyskać władzę nad ciałem.

Od domu rodzinnego dzieliło go tylko kilka przecznic. Nigdy nie chciało mu się pokonywać ich na piechotę. Już kończąc studia dorobił się wypukłego brzuszka i bez wątpienia miało to związek z niechęcią do jakichkolwiek ćwiczeń fizycznych za wyjątkiem piłowania i skrawania ludzkich czaszek.

Wiedział, że jego siostra jest w tej chwili na uczelni. A przynajmniej tak brzmiała oficjalna wersja, ta przeznaczona dla matki.

Jitka poszła na studia w tym samym czasie co on, ale nie zdała ich równie bezproblemowo. W przeciwieństwie do brata nie posiadała żadnej ponadprzeciętnej zdolności, która umożliwiłaby jej znalezienie się we współczesnym świecie. Co prawda Petr także nie pracował w zawodzie, jednak wynikało to z jego ambicji – Jitka tymczasem po prostu nie miała dość chęci bądź zdolności, by ukończyć naukę. Trzykrotnie powtarzała rok i chyba tylko cud sprawił, że nie wyrzucili jej z uczelni na dobre.

Ponieważ pieniędzy było mało – Petr zarabiał nieźle, ale w połączeniu z mikroskopijną rentą matki funduszy z trudem wystarczało na trzy osoby – Jitka znajdowała własne sposoby na zarobienie na luksusy w rodzaju alkoholu czy ubrań.

Petr nie chciał nigdy z nią o tym rozmawiać, ale wiedział, że co jakiś czas spotyka się z mężczyznami. Nie do końca pasowało do niej określenie „prostyutka”: to zawsze byli ci sami faceci. Dwóch albo trzech, nie miał pewności. Bardzo sympatyczni, pełni oglady. Sądząc po tym, jak lekko szastała kieszonkowym, nie szczydzili grosza.

Petr domyślał się, że takich jak oni normalni ludzie nazywają zбочeńcami. Kręciły ich kobiety z deformacjami, niepełnosprawne. Może nawet mali chłopcy, diabli wiedzą.

Trudno było mu jednak ich nie rozumieć. Gdyby on sam w końcu znalazł sobie kobietę, chciałby, żeby go przypominała. Nigdy nie potrafiłby przetrwać u boku piękności. Zwykli ludzie nie rozumieli jego obsesji, chyba tylko z wyjątkiem Antonina. Ale on wszystko pojmował na swój własny sposób i czasem jego myśli pozostawały zwyczajnie nieodgadnione.

Kiedy Petr wszedł do domu, matka siedziała w fotelu bujanym i paliła papierosa. Wyglądała na więcej niż siedemdziesiąt lat. Wychudzona jak szkielet, z twarzą przywodzącą na myśl drapieżnego ptaka. Mimo to tkwiła w niej dziwna moc.

– Cześć, Petr – powiedziała na jego widok. – Ty nie w pracy?

– Wróciłem na chwilę.

– Widzę. Zapomniałeś czegoś? Wydawało mi się, że wyniosłeś wszystkie narzędzia z...

– Nie o to chodzi.

Matka zamilkła.

– Mam pytanie.

Wiedział, że to będzie trudne. Przeżył ponad dwadzieścia lat nigdy nie poruszając tego tematu. Nigdy nie przepadał za grzebaniem w przeszłości, a czasy sprzed jego narodzin nie ciekawiły go kompletnie.

Teraz jednak wszystko się zmieniło. Paczka od nieznanego mężczyzny używającego nazwiska Svoboda sprawiła, że sprawa stała się gardłowa.

Wiedział, że Jitka pytała już o to matkę. Podobno dostała tylko zbywające odpowiedzi.

– Co się stało z naszym ojcem? – odezwał się.

Matka czekała przez chwilę, trawiając pytanie z twarzą bez wyrazu.

– Ojcem? Czemu nagle pytasz o ojca?

– Chcę wiedzieć.

– To oczywiście, inaczej byś nie pytał. Twoja siostra... czasami się zastanawiała. Pytała mnie „gdzie jest tata” albo „czy w ogóle mamy tatę?”. Nie wiedziałam, co jej powiedzieć...

– Prawdę.

– To nie takie proste.

– Z pewnością prostsze, niż ci się wydaje. Chcesz zobaczyć coś, co wszystko komplikuje?

Położył paczkę na stole i otworzył, pozwalając czaszce wytoczyć się ze środka.

Matka patrzyła na nią z szeroko otwartymi ustami. Spojrzała na syna, potem znowu na nagą kość połyskującą w świetle wpadającym przez okno.

– Niemożliwe – wydusiła.

Petr nie odpowiedział.

– Skąd to masz?

– Ktoś przyniósł.

– Dlaczego go nie spytałeś?

– Otworzyłem paczkę dopiero po jego wyjściu.

– Dzwoniłeś do niego?

– Tak. Podał fałszywe dane.

Petr odwrócił się, przeszedł szybko dookoła pokoju, by

uspokoić nerwy, po czym stanął tuż nad matką, dłońią zatrzymując fotel bujany.

– Kim był ojciec?

Twarz kobiety nagle wydała mu się jeszcze starsza, ściągnięta i poorana niczym papier ścierny. Widział niemal wyciekający z jej porów strach; zdał sobie sprawę co go powodowało. Jego własna matka, która przez tyle lat przyzwyczała się do przerażających deformacji syna, teraz bała się go.

– Właściwie to... nie ma wiele do opowiadania. Spotkałam go raz. Przejeżdżałam razem z rodzicami przez Polskę. Byliśmy koło Wrocławia, tak chyba nazywała się ta miejscowość. Moja matka miała tam rodzinę... Daleką rodzinę. Kuzynkę, czy kogoś takiego.

Spuściła wzrok.

– Ta kuzynka miała syna... Mógł mieć, bo ja wiem, szesnaście albo siedemnaście lat. Wyglądał całkiem jak ty. Jedyna różnica była taka, że w niektórych miejscach na głowie wyrastały mu kępki blond włosów. To było jeszcze dziwniejsze. Ja... nigdy nie widziałam kogoś takiego. Słyszałam w telewizji o ludziach-słoniach, ale ten chłopak wcale ich nie przypominał. Nie był też ani ociężały, ani upośledzony. Myślał i mówił tak jak ty i ja...

Petr czekał, nie poruszając się i nic nie mówiąc. Matka zrobiła pauzę, jakby oczekiwała komentarza, ale po chwili zrezygnowała i ciągnęła dalej:

– Byliśmy tam dwa dni. On miał na imię Krystian. Takie chrześcijańskie imię, prawda? A wyglądał prawie jak pogański bóg... Coś niemalże mi się w nim podobało. To, że miał głowę w kształcie serca sprawiało tylko, że bardziej mnie interesował.

Matka urwała na moment.

– To dlatego jest waszym ojcem – dokończyła. – Był. Był waszym ojcem.

Petr czekał chwilę, jakby zostało coś jeszcze do powiedzenia. Przedłużające się milczenie skłoniło go jednak do odezwania się.

– Wiesz, co najbardziej mnie zdumiewa w tej czaszce?

Pochylił się nad stolikiem i całkiem wyciągnął kostną kopułę z otwartego pudełka. Na moment zatrzymał rękę w promieniu światła, jakby chciał, by przesączyło się przez martwe oczodoły. Potem podał czerep matce, pokazując jej kość potyliczną. Widniała w niej niewielka, okrągła dziura.

– Wiesz co to takiego? – spytał.

Nie odpowiedziała.

– To dziura po kuli.

III

Petr rozważał próbę nawiązania kontaktu z rodziną z Polski. Cóż jednak z tego, skoro nie miał pojęcia jak zabrać się za poszukiwania. Matka nie pamiętała nawet ich nazwiska. Gdzie miałby się rozglądać? O co pytać? Wyjazd do Wrocławia nie miał sensu, tym bardziej jeśli matka nie była w stanie dokładnie określić stopnia pokrewieństwa z tamtymi ludźmi..

Wrócił do zakładu, z paczką pod pachą. Paradoksalnie czuł przyływ natchnienia; wrażenie, że jest w stanie zrobić coś z niczego.

Otworzył pudełko i spojrzął na czaszkę. Wydawało mu się, że postrzega jakąś pradawną energię, próbującą znaleźć ujście.

Podszedł do narzędzi i przyglądał się im uważnie. Choć dotąd nigdy nie potrzebował niczego spoza standardowego zestawu, nagle odniósł wrażenie, że są niewystarczające. Narastało ono, dając mu do zrozumienia, że stoi na progu czegoś niezwykle ważnego i doniosłego.

Chwycił za dłuto i podszedł do czerepu. Zaczął delikatnie wygładzać linie nozdrzy oraz oczodołów. Potem spiłowywał czubki zębów, by nadać szczęce idealnie równy kształt. Przyglądał się uważnie dziurze po pocisku, zastanawiając się, co z nią zrobić. Próby maskowania skazy nie miały sensu: czaszka sama w sobie była zarazem szkaradna i piękna. Każdy element, nawet ten nienaturalny otwór, dodawał jej specyficznego czaru.

Pochłonięty pracą nie zauważył, kiedy zrobiło się późno. Nikt mu nie przeszkadzał, nikt nie zajrzał do sklepu, bo po powrocie nie zdjął zawieszki z napisem „ZAMKNIĘTE. PRZEPRASZAMY”. Gdy zadzwonił telefon, zdał sobie sprawę z tego, jak niewiele zrobił przez te parę godzin. Ledwie kilka pociągnięć dłuta tu i tam, trochę wygładzania i prostowania. Nie zdecydował się nawet na żaden konkretny wzór.

– Słucham? – powiedział do słuchawki.

– To ja, Jitka.

Głos siostry go nie zaskoczył. Miał wrażenie, że spodziewał się telefonu, zupełnie jakby był umówiony.

– Co się stało?

– Słyszałam, że dostałeś czaszkę.

Zawahał się. Niewątpliwie Jitka rozmawiała już z matką.

– To prawda.

– Powinieneś wiedzieć, skąd się wzięła.

Znieruchomiał, bezmyślnie obracając zdjętą z podstawki skrobaczkę pod światło.

– Chcesz powiedzieć, że ty wiesz?

– Tak.

Odłożył narzędzie i popatrzył ze zdumieniem na czaszkę. Coraz mniej z tego wszystkiego rozumiał.

Siostra potraktowała milczenie jak zachętę do mówienia:

– Znalazł ją jeden z facetów, z którymi się spotykam. Pierwszy raz widziałam się z nim parę miesięcy temu. Polecił mu mnie wspólny znajomy. Przyszłam do niego i wpadł w istny zachwyty, nie żartuję. Jak tylko zobaczył moją głowę.

– Siostro, ci ludzie to zбочeńcy i wariaci. Nie ma się co dziwić.

– Mówisz bez przekonania.

– Wszystko jedno. Co z czaszką?

– Mój widok tak go ucieszył, bo moja głowa przypominała mu coś z kolekcji... Zajmuje się amatorsko zbieraniem danych o chorobach genetycznych i dziwnych deformacjach. Widziałam w jego domu stare, czarno-białe zdjęcia kobiet-małp i ludzi-słoni... Dużo starej dokumentacji medycznej... A poza tym kości.

– Zbiera kości upośledzonych?

– Tak można to nazwać. Nie było ich wiele, ale jedną trzymał osobno, w gablocie. Powiedział, że znalazł ją dawno temu, kiedy był na wojnie. W Afryce. W miejscu, gdzie znajdował się częściowo rozkopany grobowiec jakiegoś człowieka, prawdopodobnie ograbiony przez żołnierzy.

– Słucham...?

Przemilczał fakt, że jeśli facet uczestniczył w walkach w Afryce w czasie II Wojny Światowej, to musiałby mieć koło setki. Nie chciał wiedzieć zbyt wiele o ludziach, z którymi zadawała się Jitka. Miał dość swoich problemów.

– Wpadł do tego grobowca przez przypadek – kontynuowała siostra. – Uciekał przed ostrzałem, parę godzin wcześniej artyleria rozniosła w pył jego okop. Wydostał się z kilkoma rannymi, ale rozdzielili się w burzy piaskowej. Brnął na oślep i trafił na oddział wroga. W ostatniej chwili wskoczył do otworu w ziemi. To był lej po jakimś wybuchu, który odsłonił wnętrze grobowca.

To wydawało się mieć sens. Prawdopodobnie to podczas wojennej zawieruchy czaszka została przestrzelona.

– W każdym razie, jakimś cudem uszedł z życiem. Przechekał burzę piaskową w rowie, a głowa wydała mu się na tyle interesująca, że zabrał ją ze sobą.

Wiedział, że zadanie tego pytania jest łamaniem własnych zasad, ale nowo odkryta ciekawość nie dawała mu spokoju i zaczęła przekładać się na coraz bardziej niebezpieczne tematy:

– Ile on ma, do cholery, lat?

– Nie mam pojęcia – odburknęła siostra. – Wygląda na milion, a co?

Petr wzruszył ramionami, czego oczywiście nie mogła widzieć.

– To wszystko, czy coś jeszcze?

– To wszystko? Pusty łbie, nie widzisz, co z tego wynika? – Siostra wyraźnie się wkurzyła. – Znalazł tę cholerną czaszkę w grobie liczącym prawdopodobnie tysiące lat.

– To dowodzi tylko tego, że to nie był nasz ojciec.

– Bez wątplenia nie. Ale jakie jest prawdopodobieństwo, że... to nasz daleki przodek?

Petr rozważył jej propozycję. Wydawało się idiotyczne, by tak rzadką wadę genetyczną przekazywano w jednej linii przez tysiące lat. Pomysł trącił absurdem. Ale z drugiej strony – co jeśli Jitka miała rację?

- A to jeszcze nie koniec – oznajmiła.
- Nie?
- Od tego czasu ten gość kilkakrotnie jeździł do Afryki, zbierał informacje o... tym kimś, którego czaszka leżała w grobowcu. Zastanawiało go, że pochowano go na ubo-
czu, a mimo to dostał prawdziwy pogrzeb. Z sarkofagiem i ze wszystkim.
- W porządku. Widocznie ten człowiek był wtedy kimś ważnym. Do czego to niby prowadzi?
- Kimś ważnym? Wiesz jak go przedstawiano na rysunkach, do których dotarł mój znajomy? – Jitka była teraz naprawdę podniecona. – Tłumy ludzi czciły go jak boga. Faraonowie przed nim klękali. Do diabła, rysowano go otoczonego promieniami słońca!
- Petr milczał dłuższą chwilę.
- Co chcesz przez to...?
- Pomyśl, na litość! Czy to nie oczywiste? Na pewno słyszałeś teorie spiskowe. Te o starożytnym Egipcie. I o piramidach.
- Ale przecież to niedorzeczne...
- Skąd możesz wiedzieć? Majowie zostawili po sobie kryształowe czaszki z wydłużonymi sklepieniami. Może to ślad po podobnej rasie?
- Niemożliwe.
- Ty tak mówisz. Bo nie wierzysz. A jednak człowiek, który wyglądał dokładnie jak my, znalazł się na egipskich obrazkach sprzed tysiąca lat.
- I był kosmitą? Tajemniczą, pozaziemską siłą, pomagającą budować piramidy? To się nie kleiło. A z drugiej strony... To uczucie, kiedy zaczął powoli obrabiać czaszkę, nagle doświadczać jej niewytłumaczalnej doskonałości... Mógł wmówić sobie, że to wpływ rozmowy z matką. Że to

przez nagłe podejrzenie, że trzyma cząstkę istoty, która go spłodziła. Sprowadziła na ten świat, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu. Jego, niesmaczny żart losu.

Kurwa mać.

Petr przestał słuchać siostry, wciąż nawijającej w słuchawkę, by wyperswadować mu sceptycyzm. Znał ją, wiedział, że z łatwością zapalała się do różnych rzeczy. Nigdy nie było trudno przekonać ją do szalonego pomysłu. Możliwe, że ten zboczony staruszek po prostu namącił jej w głowie. Ale co, jeżeli nie?

Popatrzył na czaszkę.

– Właściwie to dlaczego ten twój były żołnierz mi to wysłał? – spytał.

Najwyraźniej przerwał Jitce wypracowany monolog, bo zamilkła na kilka sekund. Potem powiedziała:

– Nie mógł ci nic wysłać.

– Dlaczego?

– Zmarł w zeszłym tygodniu.

– Więc mam teraz tę czaszkę...?

– Cóż... Spędził ze mną parę miłych chwil. Opowiedziałam mu o tobie... Może zapisał to w swojej ostatniej woli?

I chciał, żeby to wyglądało na zwykłe zlecenie? Żeby Petr potraktował to jak niespodziankę? Za cholerę nie trzymało się to kupy. Nie pozostawało jednak nic innego niż zaakceptować taką wersję. Zwyczajnie dlatego, że innego wytłumaczenia nie było.

Znowu popatrzył na czaszkę.

I miał wrażenie, że słyszy... głos.

– Muszę kończyć – powiedział i rozłączył się.

IV

Tworzył całą noc. Nawet nie zauważył upływu czasu. Choć nad ranem był spocony i padał z niewyspania, nie żałował choćby jednej, pracowitej sekundy.

Czaszka zmieniała się na jego oczach. Poszerzył oczodoły, otwór po kuli przemienił w niesymetryczny, ale dziwnie świadomy kształt. Zęby górnej i dolnej szczęki złączył, umocował razem, tworząc niemal idealną prostą. Zaczął pracować nad mocowaniem przechodzącym przez otwory uszne.

Nie miał pojęcia co robi. Nie miał pojęcia, w co wierzy.
Jeśli nie możesz być naprawdę dobry, spróbuj być w czymś niesamowicie zły.

Nie był dobry w robieniu lampionów. To już wiedział. Mógł jednak zostać najgorszym twórcą lampionów na świecie. Wszystko znajdowało się w zasięgu ręki. Zależało teraz nie tyle od jego zdolności manualnych, co od talentu, który – miał taką nadzieję – tkwił głęboko w jego genach, przekazywany od pokoleń.

Skrawał czaszkę swojego potencjalnego przodka i wiedział już, że to nie będzie lampion. A co konkretnie? Nie był pewien.

Najbliższym słowem wydawał się „Przekaznik”.

On też posiadał coś takiego. Każdy z ich rodziny, a może raczej z ich gatunku, posiadał w sobie zdolność nawiązania kontaktu. Możliwość zwrócenia się ku tym, którzy wrócili do gwiazd.

Nie miał pojęcia, skąd to wszystko bierze się w jego głowie. Ta pokręcona logika... nie należała do niego. Nigdy nie spotkał swoich rzekomych przodków, budowniczych

piramid, modeli dla majańskich rzeźbionych kryształów i egipskich malowideł. Dopiero widząc nagą kość dostrzegł pełen potencjał swojej własnej formy. To, co uznał za brzydotę, od początku było doskonałością przeznaczoną do komunikowania się na poziomie znacznie wyższym niż zwykła mowa. W ten sposób można było przemówić na odległość lat świetlnych.

Spojrzał na swoje niedokończone dzieło. Zerknął w lustro, które teraz wydawało się całkiem wysączone z wszelkiej inspiracji. Potem znów opuścił wzrok na czaszkę.

Wszystko było prawie gotowe. Linie i wzory układały się w kształt głośnika, który przekaże jego głos w przestrzeń. Pozostawało tylko pytanie, czy zostanie usłyszany. A jeśli tak, to dokąd go to doprowadzi? Czy spotka swoją rodzinę? Czy dowie się, skąd wzięło się życie na Ziemi? Czy pozna odpowiedzi na pytania, których nigdy wcześniej nawet sobie nie zadawał?

Nachylił się do czaszki i otworzył usta jakby do szeptu.

Praojcze.

Uśmiechnął się. W półmroku pracowni przez chwilę wyglądał zupełnie inaczej, jak nigdy przedtem.

Jego uśmiech był piękny.

JAN MASZCZYSZYN
HOMO PREGNANTUS

1.

Mieszkanie mieściło się w suterenie. Przypominająca pajęczynę siatka pęknięć na wąskiej szybie okna rozprasała wpadające światło. Rozświetlone bryzgi wędrowały po najbliższej ścianie, wydobywając z opornego mroku zarysy ponurych starych mebli i pękniętą ramę obrazu. Z ulicy dochodził irytujący gwar, jakieś odpryski śmiechów i urywane rozmowy. Wewnątrz pokoju panował wilgotny zaduch.

Skrzypnęło łóżko. Błysnęło zapalone światło. Jak rzeka przelało się bladożółtą poświatą poprzez półmrok piwnicznego poranka. Gdzieś w głębi rozbudziło dźwięki. Zaskwierczała rozgrzewana patelnia. Brzęknął wyciągany z szuflady talerz.

Luizon mieszkał tu od niedawna, a już przeklinał uroki piwnicznej doli. Wilgoć szkodziła skórze. Roztocza i grzyby płucom. Owady roznosiły infekcje, drobne, mniejsze od myszy gryzonie wirusowe zapalenia narządów witaminowej nawigacji. Trudno wymieniść wszystko, co znienawidził i wszystko to, czego jeszcze nie zdążył.

Dzielnica Hawthorn w zachodniej części Bualkham Hills nie należała do najbogatszych, za to niewątpliwe do

wąskiego grona najlepiej znanych. To w niej znajdowało się kilka liczących się w świecie *high fashion* deptaków. Jak na przykład Doloreson Hagen Parade, wybieg Orsona Garhenwalda, czy dom mody At Hachets Burns na rogu Lord Strowson Street i Adelaide Lane. Samo posiadanie mieszkania w Hawthorn znacznie podnosiło status społeczny właściciela i niosło nadzieję na przyszły sukces.

Nawet krótki spacer z wydepilowanym psem wśród asów mody kończył się wmieszeniem się, przypadkowym bądź jak najbardziej celowym i perfidnym, w słowotok popularnych brukowców. Mieszkając tuż obok Tersona Hazgrzwilda można było nakarmić poufnymi informacjami pół tuzina portali społecznościowych. Wystarczyło wspomnieć wiecznie roznegliżowanego Teodona Aftermood'a, z pupą upstrzoną ozdobnymi bliznami. Przebywanie w sąsiedztwie ekstrawaganckiego dyktatora mody i artysty-nurka powodowało zbieżne afirmacje, biegłość rozumienia jego klimatów i inspiracji. Nic dziwnego, że okoliczne parki wypełniały doskonale urządzone wybiegi dla lokalnej młodzieży.

Dzieci?

Kto myślał o dzieciach w czasach interkorelowanej ciąży z rekreatorami jaźni?

Młodzi i wiecznie młodzi gromadzili się w niedzielne popołudnia, plotkowali przy piwie i kartach, a potem co odważniejszy wypinał się i paradował kocim krokiem po wybiegu. Furorę robiły pokazy grupowego modelingu. Niestety symbiotyzm nie uzyskał jeszcze społecznej akceptacji. Każdy pokazywał to, co akurat było na czasie lub najbardziej go kręciło. Spontaniczne występy bywały awangardowe i nierzadko skrajnie szokujące. Przeważały pokazy indywidualne, nierzadko kończące się zabójstwem

z zazdrości. Należało wtedy rozdzielać współparadujących i siłą sadzać zrozpaczonych, niedosłych samobójców w fotelach pierwszej pomocy dyżurującego ginekologa.

Luizon zbliżył się ostrożnie do wysoko umieszczonego okna i odchylił zasłonę. Czuł się jak zagubiony w wielkiej budce konferansjera. Odpryski słonecznego światła przez chwilę tańczyły na jego gładkiej, pozbawionej zmarszczek twarzy. Przyglądał się rozbieganym ludziom, migoczącym stopom i opalizującym łydkom. Nikt nie chodził już w butach. Ten szczególny odgłos marszu produkowały utwardzone emiorem stopy. Nic nigdy nie przerażało go tak jak gwałtowne kroki przechodzących. Budziły pierwotną grozę i przestrasz. Onieśmiały gęstością następowania. Utożsamiał je z mocą krocącego tłumu, marszem zwycięskich armii. Uosabiały zdecydowanie, stanowczość, pewność siebie: uczucia, które przynajmniej w jego przypadku pozostawały w strefie boleśnie niedostępnej.

Wyjątkowo natarczywe pukanie do drzwi wytrąciło go z zamyślenia.

– Paniol Luizon R. Splitghoes ? – zapytał policjant w obcisłym mundurze. Metalowe guziki lśniły na jego ciężarnym brzuchu. – Mamy do pogadania – dodał, wpuszczając do środka mieszkania heparda wraz ze smugą tytoniowego dymu. Pies posiadał udoskonalony genetycznie, półmetrowy nos z zestawem wszystkich sensorów i przyssa-
wek analitycznych o jakich mogła tylko śnić policja. Szedł z łbem nisko przy ziemi jak łasy na śmieci odkurzacz. Przysiadł i, szorując wielkim brzuchem o podłogę, podczołgał się do szafy. Nagle odbił w stronę stołu, zajrzał do kosza z organicznymi odpadkami bieliznianymi, aby na koniec wśliznąć się pod wielkie łóżko, skąd dobiegło zaraz potem jego niecierpliwe warczenie.

– Będzie ci potrzebne solidne alibi, Luizon Jak-Ci-Tam – oznajmił gliniarz, po czym zaśmiał się złowieszczo. Dopalił papierosa i zgasił peta na framudze drzwi. – Wkrótce nazwisko stanie się archaizmem. W interkorelacji i rekreacji wystarczy zwykły numer ramy – wyjaśnił nieśpiesznie. Zaraz potem zmienił ton. Stał się agresywny i natrętnie czujny. – Gdzie byłeś wczoraj wieczorem, pomiędzy osiemnastą a dwudziestą pierwszą? – pytał, wielkie dłonie splatając na brzuchu. Luizon nie odpowiadał, tylko z non-szalancją poprawił obwisłe piersi. Następnie sięgnął do obu kieszeni szlafroka jednocześnie.

– Odpowiadaj jak do ciebie mówię – niecierpliwił się policjant. Z zaciekawieniem pochylił się nad pozostawionymi w kącie ciuchami. Były to stare bluzki Jecarda i kilka par niemodnych już dwupoziomowych szpilek Hacketa. Luizon dokładnie widział goły tyłek funkcjonariusza. Nie mógł nie dostrzec kompletnego braku pudru i toaletowej szminki wzdłuż rowka dzielącego półdupki. Ocena wypadła jednoznaczna. Policjant nie korzystał z usług profesjonalnej łazienki z dyżurnym kosmologiem. Swoje potrzeby załatwiał w brudnych szaletach miejskich.

– Nie będę przecież rozmawiał bez makijażu – Luizon pozwolił sobie na beczelną uwagę. – Prawo do utrzymania standardów wyglądu gwarantuje mi konstytucja! – zakrzyknął i butnie zachichotał. W jego dłoniach jednocześnie załśniły szminka i stołowy nóż. Policjant bez trudu uchylił się przed niedbale wymierzonym pchnięciem. Z byka wałnął w czoło gospodarza i tak oszołomionego popchnął na łóżko. Błyskawicznie splótł jego dłonie na kolanach i połączył biologicznym sprayem kajdanek.

– Nie fikaj mi, suterenowy gnoju! – wysyczał. – I co? Mam może dopełniać grzecznościowej procedury macan-

ki? – ryknął rozwścieczony. – Hannon? – krzyknął w stronę korytarza. – Przynieś z wozu projektor do skaningu plików pamięciowych.

Z korytarza dobiegał nieustający hałas. Po chwili przez tumult przebił się warty głos.

– Nie mam teraz wolnych maszyn! Sprawdzam tych spod siódemki. – To na pewno był Hannon. Zbyt wiele było w nim służbistej sztuczności.

Dopiero teraz do Luizona dotarł fakt, że nie tylko jego mieszkanie najechała tego rana policja. Obstawili cały kwadrat. Przeszukiwali najmniejszą nawet dziurę. Budynek po budynku, mieszkanie po mieszkaniu. Spojrzał na wrastający w prawe kolano wężyk kajdanek. Supel powoli napełniał się krwią z jego własnego układu krwionośnego. Ucieczka, a nawet gwałtowniejszy ruch stały się fizycznie niemożliwe.

Policjant jakby czuł pismo nosem. Obwąchał z jakimś zwierzęcym zacietrzewieniem ofiarę. Kleił się do ciała. Sunął z wystawionym językiem wzdłuż ramion. Wreszcie rozpiął jej bluzkę z ohydny rechetem. Nagle śmiech zamarł. Pociągnął w dół rękawy szybkim, gorączkowym ruchem. Zrobił to zbyt gwałtownie, tak, że po chwili pozostały mu w dłoniach tylko rozdarte fragmenty tkaniny. Pod obrzmiałymi od detergentów szczęśliwymi piersiami Luizona tkwiła obszerna atrapa ciężarnego brzucha.

– Kaleka, co? – wyjąkał ciągle sarkastycznie gliniarz, chociaż było widać po nim bolesne zamieszanie. – Taki byłeś od urodzenia czy pajacowałeś ze skrobankami genetycznymi?

– Wszystko jest w mojej kartotece osobowej. – Opryskliwie stwierdził kobieton. – Szukaj sobie.

– Nie zmuszaj mnie do drogi służbowej, paniol, bo źle się to dla ciebie i twojego partnera skończy! – ostrzegł gliniarz. – Na razie ciągle jestem uprzejmy. Pytam, bo nie

chce mi się grzebać, szukać, i dochodzić. Nie sędzę, abys miał coś wspólnego z morderstwem na deptaku. Jesteś... – szukał odpowiedniego słowa – nazbyt miękki, gapowaty, leniwy i zwyczajnie głupi. Poza tym moje bydlę nic nie znalazło. Wszystkie produkty w mieszkaniu są zalogowane w systemie gospodarki materiałowej. Oficjalnie nic więc do ciebie nie mam. Odpowiadaj, do cholery, żebym pozostał w stosunku do ciebie nadal przyjacielski!

– Doznałem poronienia w drugim roku życia... – przyznał z przestraszoną miną Luizon. Wspomnienie zawsze wzbudzało w nim żrącą gorycz i niewytłumaczalną nienawiść do otoczenia. – Na skutek bójki w schronisku – skłamał.

– Miałeś za duży kanał rodny?

– Nie, to nie tak.

– Nosileś zakazane majtki albo biustonosz?

– Nie.

– Robili ci cesarkę ze względu na przerost?

– Musiałem usuwać płód w kawałkach – To akurat była prawda. Do dziś zdarzały mu się nawroty traumy w środku nocy. A tak dobrze zapowiadał się kontakt jaźni z maluchem. Wymieniali spostrzeżenia, żarty. Śmiali się i płakali, nawet rozpaczali, jeśli zaszła potrzeba. Nikt nigdy dotąd nie rozumiał go tak dobrze jak ten jedyny, utracony, odtrącony przez życie malec.

– No dobra. Szczęśliwie ominęły cię lata noszenia tego badziewia i codzienne rozmówki z durnym bachorem – powiedział, wskazując na swój nabrzmiały brzuch. – No nic, przypuszczam, że to bardzo przykre. Samotność osobnicza? Zagubienie? Zamknięcie w sobie i gorycz? A gdzie twój towarzysz, Alison P. Dogherty, numer kodu ramy genetycznej AGFD 290002?

– Nie wiem. Może na wybiegu w parku?

– Sprawdzimy. Ubierz się. Pójdiesz z nami. Na parkingu są skanery pamięci. Jeśli jesteś czysty, wrócisz do swojej leniwej drzemki przy lustrach. Skąd tu tyle rozbitego szkła? – zapytał glina na odchodne.

2.

– Ominęło cię śledztwo – mruknął Luizon, patrząc zza gazety na wchodzącego.

– Wcale nie – Alison uśmiechnął się zawadiacko. – Spotkałem tego przystojniaka w parku. Słuchaj, czy wszyscy w policji mają tak beznadziejne tyłki?

Luizon złożył dziennik i rzucił w kąt łóżka.

– Nie wiem. Może brak dbałości narzuca im regulamin? – wyjaśnił niepewnie. – A skąd to pytanie?

– Wołałem ich w obcisłych, dwurzędowych spódniczkach z falbaną. Jak w 2286.

– Spódniczka krępuje ruchy. Nic dziwnego, że je wycofali z umundurowania. Gliniarze muszą być mobilni na służbie i niesłuchanie dyspozycyjni. Postaw się w ich sytuacji. Taka praca zeszmaca najdroższy makijaż i deprecjonuje wartość najprecyzyjniej zamontowanych implantów – oświadczył Luizon ze szczyptą przenikającego słowa szyderstwa.

Trochę przytępił tym żartem złość Alisona. Ale w odpowiedzi krył się pierwotny, lodowaty chłód.

– Ten baran był obrzydliwy – zaczął, wciąż obrażony.

– Naskoczył na mnie z durnymi pytaniami. Zrabował moją torebkę z zestawem zębów, ukradł breloczek palców. Oblesny potwór, mówię ci!

– Ale... ciągle ciężarny. Nawet jego pies miał brzuch...
– westchnął Luizon. Jego ciemne oczy zwilgotniały. Nabrzmiałe ładunkiem łez wyglądały jak rozgotowane owoce morza. Co gorsza nie mrugał. Bał się o ten przyczajony ciężar.

Alison uśmiechnął się niedbale. Zacisnął usta, przez co wyglądały jak kawałki sprasowanego sznurka. Usiadł obok na łóżku. Przytulił przyjaciela zbyt twardo, niedbale. Pogłodził uda z jakąś nonszalancją, aż ten wzdrygnął się i wreszcie wybuchł dziecinnym płaczem.

– Czemu ja muszę być inny? – żalił się jękliwie. – Po co mi takie sromotnie kończące się życie? Ja też chcę rodzić samego siebie, od początku – załkał głośniej.

– Znowu to samo. Luizon, weź się w garść. Może depilator ci pomoże?

Kobieton zareagował w bardzo niecodzienny sposób. Odkrył wytatuowany w różowe groszki ciężarny brzuch Alisona i z czułością pocałował.

– Nie masz chyba ochoty na żadną z tych bezsensownych, cielesnych zabaw?

– Nie. Chciałem tylko podwójnie cię przytulić. – Przez chwilę jego ciepły policzek dotykał pępka Alisona. Odczuł delikatne kopnięcie, na co zareagował budzącym się na twarzy uśmiechem. – Jeszcze raz! Każ mu dołożyć! I jeszcze...

– Przestań się rozklejać. Jak tylko policyjna hołotka się zwinnie, pokażę ci coś w parku.

Ciągle nie reagował. Wpatrywał się biernie w falującą franke.

– Dam ci przymierzyć mój nowy biust. Chcesz?

Rozpiął bluzkę. Osiem sutków sterczących zawiadacko wyglądało co najmniej dziwnie.

– Nie, dziękuję – odparł grzecznie. – Rozumiem trendy seksualizmu, ale to już czysty absurd.

– A to?

Mała walizeczka rzucona niedbale na kołdrę wyglądała zachęcająco. Sama się otworzyła. Wewnątrz spoczywało w skomplikowanym futerale kilka par rękawiczek- dłoni. Każda o innym odcieniu i wzorze linii papilarnych.

– Chyba się zabawimy. Skusisz się? A jednak...

Luizon przymierzył jedną. Przywarła bezszelestnie do oryginalnej skóry, wypełniając go dreszczem zachwytu. Musnął koniuszkami palców podbrzusze przyjaciela z rozkoszą, której nie zaznał nigdy wcześniej za pomocą dotyku.

3.

W gęstej trawie leżał człowiek. Jego ciężarny brzuch poruszał się w lawinie gwałtownych kopnięć. Piersi falowały niespokojnie mimo, że oddech już dawno zgasł. Powyżej ramion zarys ciała przechodził w nierozpoznawalną miążgę kości.

– Nie ma co zbierać – powiedział zniechęcony Luizon.
– Na pewno po wypadku włączyły się automatyczne zabezpieczenia osobowości...

– Zupełnie mnie nie doceniasz – mówił Alison, otwierając pustą walizkę.

– Wyłączyłeś różnicowanie? Jak?

– Tajemnica zawodowca. Nie wgłębiaj się zbyt. Masz na to za słabe nerwy.

– Ale tu nie odzyskasz żadnych organów. Wszystko w rozsypane martwiczej.

– Głupi jesteś? Przecież policja stanowa od kilku godzin wie, że transmisja biologicznego chipa jest sztucznie podtrzymywana. Doskonale się orientują, iż z jakiegoś powodu nie włączyło się automatyczne zabezpieczenie antykradzieżowe. Dlatego tak się pienią. Zawsze tak jest, kiedy ktoś ich kiwa.

– To gdzie jest chip?

– W mojej torebce, podłączony do baterii depilatora. W prywatnym garażu na Orson Street. Samochód posiada fabrycznie nowy antylokalizator Google – wyjaśnił rzeczowo.

– Sprytnie. – Krótko skwitował Luizon.

– Będzie jeszcze sprytniej, jeśli mi pomożesz.

Szybko przystąpili do demontażu modnych stóp i absolutnie szalowych, dwurzędowych, dziesięciosutkowych piersi. Potem przyszła kolej na ręce, żebra i uda. Walizka ledwo się domykała, gdy dotarli do najważniejszego.

– Jak GO odepniesz od ramy?

– To musi zrobić fachowiec, Luizon. Trzeba jakoś zawlec ją do samochodu. Tymczasem odepnij kości nóg i rąk.

– Taka transplantacja będzie kosztować krocie.

– Wciąż się niepotrzebnie zamartwiasz. A jak myślisz, co mam w walizce? – zapytał Alison z wyzywającym uśmiechem. – Towar za usługę. Reguła stara jak świat. Mam już zamówioną wizytę u plastyka na Hartford Road.

– Tamta speluna z Edwionem?

– Owszem, operacje szczęki mu nie wyszły, ale w transplantologii płodów jest geniuszem.

Obładowani ruszyli w stronę parku. Akurat odbywał się pokaz najszykowniejszych kompilacji. Tłum wokół wybiegu gęśniał. Ledwo przecisnęli się z ciężką walizką i ciekącym workiem. Nie wzbudzali podejrzeń. Każdy

coś tu taszczył. Z trudem przepchali się do zaparkowanego auta. Nikt za nimi nawet nie spojrział. Wszyscy gapili się w kroczące pary salonów transplantologicznych Kusharda.

4.

Walizkę zostawili w poczekalni pod okiem kamery. Mimo wszystko sprawiała wrażenie cennego śmiecia. Kilkukrotna wymiana w niej zamków głosowych sprawiła, że nie reagowała na komendy ruchu i zdalnego otwarcia.

Edwinon Zammler należał do klasy średniej. Był podstawowym jegomościem z wyraźnie spłaszczonym przez pasek od spodni ciężarnym brzuchem. Patrzył na nich z lekką pogardą. Nienawidził zakochanych par za ich nieustanne mizdrzenie się, namiętne pomlaskiwania, czy spojrzenia pełne dzikiej lubieżności. Seks uznawał za obleśny przeżytek, tym bardziej, że sam akt stracił już biologiczny i logicznie umotywowany sens. Kazał im sięść w kącie, za stołem z rozstawionymi makietami nowych organów wewnętrznych. Ledwie słyszeli jego głos, z trudem przebijający się przez harmider dobiegający z ulicy. Ktoś strzelał do protestujących.

– Co my tu mamy – mrucał Zammler, nadzwyczaj obojętnie przeglądając zawartość papierowej teczki.

Nawet nie drgnęli na huk następujących po sobie serii wystrzałów. Wszyscy spodziewali się takiej konsekwencji protestu. Gdyby to był kolejny marsz przeciwko surowemu opodatkowaniu szminki z witalizatorami naskórka? Okej, to by przeszło. Ale kiedy młodzi bezrobotni z Dremont żądali dofinansowania implantów turbodoładowania

serca, wymaganych jako obowiązkowe wyposażenie pracownicze przez właścicieli fabryk i małych warsztatów, musiało się to zakończyć usprawiedliwionym ekonomicznie rozstrzelaniem manifestujących.

Zammler spojrzął spode łba. Uśmiechnął się bezzębnym uśmiechem, jeszcze niedawno popularnym w napływie mody retro.

– Pytaliście o możliwość transplantacji obcego płodu do macicy biorcy? – Zamrugał powiekami w sposób wysocze szydery. – Owszem, jest to prosta operacja. Tym bardziej, że zapadka kanału rodnego ofiary nie zadziałała, biologiczny mechanizm porodu zablokował się pod wpływem krwotoku i powstania potężnej skrzepliny. Mieliście szczęście. Nie widzę problemu.

Siedzący widocznie się odprężyli.

– W jaki sposób zapłacicie za zabieg? – spytał chirurg, manipulując w zakładkach papierowych folderów na biurku.

– Oferujemy towar.

Zammler skrzywił się, wyraźnie zniechęcony.

– To była osoba w sile wieku. Wątpię, by zainteresowały mnie części tego ciała. Macica z rekreatorem to stary model. Mogę zainwestować w kilka drobiazgów, ale to wszystko. Policja szuka kodów. Nie, nie, panowie. Wystarczy co najwyżej na transplantację płodu bez gwarancji.

– Co to znaczy? – Luizon przełknął głośno ślinę.

– Muszę wykorzystać twoją osobistą macicę, a wiadomo, rekrator jaźni masz w dużej części niesprawny od urodzenia.

Nagle lekarz znalazł coś w papierach.

– Masz spontaniczne menstruacje? – ryknął, nabrzmiały gniewem.

– Ma – odpowiedział za Luizona Alison z podziwu godną obojętnością.

– To na pewno jeszcze jajczkujesz! – Doktor niemal powstał z krzesła.

Na potwierdzające skinienie głową zainteresowanego wybuchł:

– Bój się Boga, kobietonie! Skąd ty się wzięłaś? Musisz zaślepić kanały, zanim dojdzie do tragedii. To bezwzględnie należy kontrolować! Nigdy nie dojdzie do samoistnej ciąży korelowanej na bazie komórki macierzystej, rozumiesz? – Szukał czegoś w dokumentach. Wreszcie uspokoił się i kontynuował cichym głosem. – Nie jestem pewny, czy uda się całkowita synchronizacja jaźni w tej transplantacji płodu. Czeka cię całe życie walki i to jest ciężar czasem nie do udźwignięcia dla pojedynczego człowieka... – zaciął usta dla wzmożenia efektu. Wyglądał przy tym jak prokurator, posługujący się mocą piorunującego spojrzenia.

– Pomogę mu – wtrącił zawadiacko Alison. – Jestem w ciąży od urodzenia. Mam doświadczenie.

Zammler pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Gdzie was sięją, durnie nieokrzesane? – uniósł się nagle gniewem. – Trzeba pamiętać o dezintegracji plików pamięci poprzedniego właściciela, a do tego są konieczne udoskonalone chipy neuralne, dostępne na wolnym rynku dopiero od dwóch lat! – dorzucił z przekąsem.

– A nowa macica? – Pytanie Luizona zgasiło złość transplantologa. Chirurg spojrział przytomniej.

– Nie wchodzi w rachubę... – Zamyślił się na moment. – Wydatek rządu kilku milionów, pozwoliłby ci na zakup sprzętu umożliwiającego totalną kontrolę świadomości obcego brzdąca. Nie tylko mózg uległby synchronizacji, ale pełna baza odczuwania stałaby się dostępna dla obu organizmów. Musisz pamiętać o wsparciu mięśniowym. Ab-

solutnie konieczne są potrójne sploty pozwalające utrzymać te kilka, a czasem nawet kilkanaście kilogramów dodatkowej, żywej wagi. Takie chuchro jak ty nie donosi w macicy płodu wielkości myszy przez dziesięć lat!

– Gimnastyka? Kilka implantów mięśniowych? Wzmocnione uda? Hę? Dobra dieta? – pytał Alison.

– Bzdury. Do ciąży trwającej życie osobnicze potrzeba rasowego kobietona. Wieczność kosztuje! – Zammler aż zachłysnął się w ponownym wybuchu gniewu. Gardził kochankami. Sam lekcewał załoty. Rzygał zwierzęcymi instynktami prokreacji i pieśczoć, podobnymi do natręctwa wydalania. – Będziemy siebie rodzić do końca tego podłego świata.

Miał okrągłe, świdrujące oczy o nienawistnym spojrzeniu i spocone, rozszerzające się rytmicznie nozdrza. Sapał przez moment ciężko. Potarł ciężarny brzuch. Poczul ostre kopnięcia płodu, zakończone zimną falą ciarek gdzieś w kroczu.

Niemal splunął na splecionych dłońmi, czułych w egzaltacji dupków. „Pusta manifestacja miłości, prowadząca donikąd! Donikąd!” – pomyślał w gwałtownym uniesieniu.

– W dzisiejszych czasach uproszczenia zabezpieczające są wręcz szokujące w skuteczności – kontynuował dużo spokojniej. – Rząd nieustannie prowadzi badania udoskonalające współczynnik kompatybilności i mechanizm porodu. Odkąd planetę Ziemię przeppełniła katastrofalna fala narodzin i brakuje dosłownie miejsca do życia, pomysł noszenia w organizmie idealnej kopii właściciela ciała... Jego nieograniczony, ciągły kontakt z własnym klonem stał się rozwiązaniem w swej prostocie genialnym. Ziściło się marzenie o ludzkiej nieśmiertelności. Powstał kobieton. Istota perfekcyjnie zbalansowana, samokreująca, doskonała biologicznie i intelektualnie. Nie rodzą się już

rozwydrzone, dzikie bachory pozbawione świadomości. Wyłącznie identyczne kopie samotnego pseudorodzica, w jego ostatecznej fazie rozwoju psychofizycznego, wraz z pamięcią bieżącą. Młode posiadają nawet ten sam zapach resztek pudru na świeżym tyłeczku. Dodam, że trwają prace nad genetycznym kluczem przerwy za-inwestowanych zmian biologicznych. Tym zagadnieniem dotąd zajmują się nasze banki. – Nie ukrywał niechęci, gdy mówił o systemie.

– Uważa paniol, że bez stabilizacyjnych rekrektorów w jajnikach nie ma szans w utrzymaniu dziecka?

– Szanse są, ale nie widzę perspektyw dla partnerstwa i transmisji dowewnętrznej. Spróbować warto. W końcu nie macie wiele do stracenia.

5.

– Jak się czujesz?

– Nigdy nie odczuwałem takiego ciężaru – odpowiedział. – Maluch dalej się nie rusza. Myślisz, że przeżył zabieg? – uciął, nasłuchując.

Przyjaciel zbadał brzuch Luizona za pomocą słuchawki.

– Dalej śpi. Nie martw się – uspokoił bezbarwnym tonem.

– A jak wyczyścić mu jaźń? – Pytanie rodziło nowe wątpliwości, ale Alison miał już gotową odpowiedź:

– Od czego mamy ten worek medykamentów? – skwitował, unosząc pomiętą, plastikową torbę. – Wykurzymy tego Droidona Ghanglow w ciągu tygodnia.

– To... on tak się nazywa? – Niepewność w głosie Luizona była przerażająca.

Zamilkli.

Przyglądali się nowemu, ciężarnemu brzuchowi z nerwowym napięciem. Drobne, fioletowe żyłki na skórze pulsowały miarowo.

– Chciałeś powiedzieć „nazywał się”? – We wzroku Alison kryła się zaciętość, o którą partner by go nie podejrzewał.

– Mam mu nadać nowe imię?

Alison parsknął rozdrażniony.

– No przecież to naturalne, że będzie nosił twoje imię i świętą kopię twojej jaźni. – Chwycił ramiona przyjaciela, potrząsnął i zapytał, patrząc mu głęboko w oczy: – Dlaczego tak dziwnie się zachowujesz? Nigdy nie byłeś w ciąży interkorelującej?

– Nie pamiętam. – Luizon wypowiedział te słowa z obawą, że straci po tym wyznaniu jedyne troszczące się o niego człowieka. – Nie posiadam rodziny w starym tego słowa znaczeniu – wybełkotał. Smuga rozmazanej szminki na jego twarzy biegła aż pod oko. Był bliski łez. – Uczuciowy sierota. Ale przebywałem przez kilka lat w ośrodku dla bardzo młodych. Nie wiem dlaczego. Może po wypadku doznałem amnezji, a może...

– Tak. Wiem czego się boisz – przerwał mu półszeptem Alison. Pochylił się jeszcze bardziej. Niemal muskali się wargami. – W takim domu mogą przebywać i ci, którzy jakimś cudem przyszli na świat w sposób naturalny. To twoje cholerne jajeczkowanie! Hmm... – Odsunął Luizona nieco zbyt brutalnie i obojętnie. – Zresztą od dwustu lat nie było tradycyjnych urodzin. Przynajmniej ja nic o tym nie wiem. Nie ma rodziny i problemów z nią związanych, schedy, testamentów, nienawiści. No i najważniejsze. Nie ma tych warunków jak suka przy małym, wiecznie po-

dejrzących i wyciskających piętno zgreków. Kompleks tatusia pedofila? Kompleks wyrodnej matki? A do diabła z tradycjami! Precz z religią od pieluchy do pieluchy! A wiesz jak ja ostatnio przyszedłem na świat? Oglądałem magazyn nowych implantów całościowych i odkryłem, że moje zaczepy genetyczne ramy są już przestarzałe. I co? Zrobiłem intensywną chemioterapię samego płodu. Tak jest! Zainwestowałem tylko w małe, różowiułkie ciało... Znacznie taniej, dokładniej, efektywniej i bang, urodziłem się, rezygnując ze starego, niemodnego już ciała. Kilka elementów ze starego, leżącego na podłodze grata nawet dobrze sprzedałem, dorzucając zestaw kremów i mleczka opalizującego.

– Czy to znaczy, że teraz będę mógł się ubiegać o kredyt w banku?

– Jeśli mały stanie się kontaktowy, tak. Oni wszystko dokładnie sprawdzają, nawet sterowaną motorykę. Zrób to, zrób tamto. Powiedz małemu, żeby kopnął prawą nóżką w okolicę pępka, a teraz niech rozprostuje rączkę i pokaże środkowy palec na badaniu USG – uśmiechnął się, poklepując przyjaciela. – Bądź dobrej myśli. Popracujemy nad tym wspólnie. Porcja czulego pettingu na pewno pozwoli odstresować twój obolały brzuch. Chodź...

6.

Droidon obudził się w nocy. Rozdarł się płaczem w jaźni Luizona jak rozwścieczony odebraniem ulubionej zabawki smarkacz. Zaczął kopać szalonymi seriami. Jakby uczył się boksu i karate jednocześnie. Obracał się przy

tym szybko. Luizon usiadł na łóżku, przerażony. Mimochodem przycisnął brzuch całym ciałem do kolan. Wiedział, że przyduśił bachora do ścianek macicy. Kiedy płód ponownie zaatakował kopniakami, kobieton podłożył jeszcze okrągły gumowy jasek i grubą książkę kucharską. Skurczybykowi zrobiło się naprawdę ciasno.

Luizon prawą ręką szarpnął rąbek pidżamy Alisona.

– Co się dzieje? – zapytał ten, obudzony.

– On się... On się rusza! – mówił przez łyzy Luizon.
– Zaatakował mnie. Drapie i kopie i gryzie! – Wskazał niewielką strzyżkę krwi barwiącą pościel w okolicach krocza.

Stale się powiększała. Alison wstał. Niespiesznie narzucił szlafrok i podszedł do biurka, na którym wczoraj przeglądali zakupione na pchlim targu medykamenty. Wkrótce trzymał w dłoni wielką strzyżkę i, testując piszczący tłok, zbliżył się do łóżka.

– Zapal przynajmniej światło...

– Będiesz się bał.

– Ja już się boję.

Igła wolno zagłębiła się w brzuchu Luizona. Najwidoczniej dotarła do głowy malca, bo płód zaszamotał się jak złowiona siatką ryba. Obserwowali napiętą skórę wokół pępka, na przemian nadymającą się i cofającą. Przypominała rozciągający się wosk w miskach wróżniczych na deptaku. Lśniła i układała się w niecodzienne kształty. Jakby w łonie nie przebywał człowiek, a coś nowego, nieodpowiedzialnego z jeszcze nierozbudzoną świadomością i przez to dzikie, zdradliwe, nawet krwiożercze.

– Dochodzi do mnie jakiś głos.

– Mówiłem, że złapiesz kontakt.

– To jakieś chrapliwe groźby. Odlicza minuty mego życia. Mam tego dość!

– Wytrzymaj! Najwyżej urodzisz i zarżniemy go po paru pierwszych krokach. Wiesz, że on ma jeszcze mniejszy ciężarny brzuch, i jeszcze następny, i tak w nieskończoność? Musi kiedyś pęknąć i się poddać! Uspokój się... – wypowiadając kojące zdania uśmiechał się na swój szatański, zwyrodniały sposób. Drżała mu górna warga, zupełnie pozbawiona szminki i nocnego tatuażu. – Drzwi zamknięte na klucz, mam go ja, w kieszeni szlafroku.

– Znów mi grozi i... Mój Boże, zdziera łożysko!

Brzuch urósł do gigantycznych rozmiarów, jakby zamknięta w nim istota wydalila nadmiar sprężonych gazów albo wyprostowała raptownie nogi. Luizon wydarł się nie-ludzko. Upadł na podłogę, zapierając się rękami o nogi najbliższego krzesła.

– Okej, wyprzyj go! Wydal to gówniane ścierwo!

Poród był szybki. Maluch nieomal wyskoczył, potoczył się jeszcze z rozpędu, jakiś taki pokurczony i nierozpoznawalny. Podczołgał się na środek pokoju, ciągnąc za sobą sznur pępowiny oraz krwawiące łożysko. Wstał nagle. Jego ciężarny brzuszek nadał się jak prądkowany sinymi żyłkami balon. Zadygotał od przerażonych kopnięć zamkniętej w nim jeszcze mniejszej istoty.

– Mordercy! – wychrypiał cicho niemowlak, obracając spłaszczoną głowę i poszukując gorączkowo drogi ucieczki. Jego skóra wydawała się stara i mocno pomarszczona. Pokrywał ją biały, śliski nalot. Zbyt wiele znajdowało się na niej krwistych znamion i brodawek, aby udawać komercyjną jakość.

– Złodzieje – wysyczał.

Alison stał nieco z boku, ale tuż nad nim. Z odrazą przebił noworodkowi szyję. Potem miotłą podciął uciekającemu bobasowi nóżki i drugą ręką zadał upadającemu cios

w plecy. Aż dziw, że berbecę przeklinając podniósł się i podbiegł, kołysząc się dziwnie, do drzwi. Tam trafiło go precyzyjnie rzucone żelazko.

– Brawo, Luizon. Trochę twojego dobrego humoru tylko nam pomoże.

Pochwycili szamoczącego się malca. Zaciągnęli pod stół. Tam Luizon wykręcił mu rączki i przycisnął do rzeźbionej nogi mebla. Po chwili unieruchomili malca długimi kawałkami taśmy izolacyjnej. Obklejali go, nie przestając nerwowo chichotać. Niemowlak stał współprytomny, zgnieciony jak plażowa piłka, rżąc i brocząc krwią. Wyciągał ptasią szyję, jakby głową usiłował przebić masywny blat.

– Myślisz, że da się go z powrotem implantować? – zapytał Alison cicho.

– Zgłupiałeś? Ten co najmniej trzydziestoletni, zaśmierdły płód? Już nie wierzę – stwierdził rzeczowo Luizon.
– To kompletny świr z tysiącem blokad nie do złamania.

– Zabiję – bełkotał niemowlak, próbując przegryźć taśmę. Jakimś cudem uwolnił prawą rękę. W dłoni błysnął kawałek szkła. Przeciął swój mały, ciężarny brzuszek zanim oprawcy zdążyli zareagować. Z wnętrza wylało się coś potwornego, bez twarzy, z głębokimi otworami w głowie zamiast uszu i z parą wykrzywionych płetw zaledwie podobnych do skrzydeł. Rozdeptali to w mgnieniu oka. Chrzęściło jak skorupiak, trzeszczało jak suchy chrust, raniło im stopy jak wióry pociętej blachy. Wreszcie zamarło, zupełnie pozbawione życia i woli walki.

– Sukinsyny – charczał współprytomnie bachor-matka.

Patrzył oczami z katalogu nowości optycznych Jaquarda. Zarys ust na pewno pochodził z deski projektowej Archiliona, a uszy były dokładną repliką rzeźby biologicznej braci Toronto.

– Dobry jest – mruknął Alison, unosząc znacząco brew. Przebijali go nożami na wyścigi. Brzydził ich swoją doskonałością. Rozchlapali mu mózg po podłodze, a potem zbiegli do parku, uciekając przed zawiadomionym przez automaty skanujące dom patrolem policji.

7.

Alison wdarł się na ulicę, podtrzymując przyjaciela. Nadal szarżowali, z obnażonymi nożami w skrwawionych dłoniach. Potem zgubili się i krążyli w gmatwaninie podwórek.

– Muszę ci coś wyznać – powiedział zatrzymując się na jednym z nich Alison. Odślonił rąbek nocnej koszuli.

– Zobacz tę nogę. Natnij... No, dalej! – Luizon przeciął z odrazą coś, co przypominało z wyglądu mokrą słoninę. – Widzisz? To sama skóra. Pod spodem zanikają mięśnie! – zakał. – Chciałem ci powiedzieć jeszcze wczoraj. Bank zamknął mi konto kredytowe – znów zaszlochał. – Chcą mnie zmusić do likwidacji osobowej, do ponownych narodzin z zastrzeżeniami i klauzulami genetycznymi. – Jego ciałem wstrząsnął nagły napływ furii i wykrzyknął: – Nie dam się skurwysynom!

– A ten pod ścianą? – spytał Luizon, wskazując nieruchome ciało włóczęgi.

Alison wzruszył ramionami.

– Jego serwis bezpieczeństwa na pewno strzelił bez powodu. A że posiada ludzki kształt? Kto o to dba? Toż to jeden niezróżnicowany, gruby na trzydzieści centymetrów plaster skóry. Leżą tacy tygodniami. Nie wiem jakim cu-

dem tam jeszcze pracuje serce wielkości paznokcia i krąży krew. Wątpię, czy funkcjonuje jaźń. Takie kurewsko sprytne bankierskie hakowanie do ramy genetycznej ciała.

Z ulicy nadeszły błyski policyjnych wozów. Ściana na przeciw zapłonęła wymazem błękitów i czerwieni.

– Uciekajmy.

– Nie, zostaw mnie – warknął Alison. – Na mnie kompletnie nic nie mają. To ty jesteś w niebezpieczeństwie. Zatrzymam ich... Skołużę... Leć, kochanie, leć! – Zachęcił Luizona delikatnym popchnięciem w kierunku ciemniejszej bramy.

8.

Luizon tracił siły, biegł coraz wolniej. Wokół paradowali ludzie. Królowały nowe zestawy kociopodobnych oczu. Nawet jeśli wszystkie aspekty seksualnej atrakcyjności dawno odeszły w cień, pozostały natręctwa podkreślania indywidualności i instynktownego uporu w dążeniu do zwycięstwa w grze.

Gdzieś daleko huknął strzał. Alison upadł. Leżał w kałuży krwi, a system bezpieczeństwa bankowego zamieniał ciało w jednolity plaster skóry, przeciwdziałając wszelkim nielegalnym narodzinom z zestawem nieopłaconych narządów wewnętrznych.

– Sukinsyny!– zdążył wykrztusić, tonąc w czerwieni własnej krwi.

Luizon przyspieszył. Dotarł do niewielkiego lasku na obrzeżach miasta. Schronił się w strzępach sunącej, przedwieczornej mgły. Czuł dotkliwe, przejmujące zimno. Kro-

ple rosy na ciele przepełniły go obrzydzeniem. Rozpiął bluzkę. Powiesił krótką, rozpinaną spódniczkę nocną na najbliższym drzewie. Płacząc podciągnął swe nieprzydatne, ohydne i wielosutkowe piersi. Chciał odnaleźć linię kolei miejskiej. Tej, której składy tak skutecznie potrafią rozgnieść głowę jak dojrzały owoc! Jednak ktoś zagroził mu drogę. Zderzyli się niemal ciałami.

– Kim jesteś? – Luizon wyjąkał pytanie śmiertelnie przerażonym głosem.

Stwór nie odpowiadał. Przekładał ciężar ciała z nogi na nogę i mamrotał coś w trawiącej go gorączce. Był niewypowiedzianie brzydki, cuchnący alkoholem... i nagi. Nie miał pudru na udach, nie miał na przeraźliwie chudych dłoniach. Brakowało mu nawet świeżej linii szminki na tyłku. Płaskie jak naleśniki piersi z króciutkimi sutkami wprost szokowały swoją prymitywną ordynarnością. Zbyt wyraziste biodra raziły ostrością, zapadnięty brzuch, zwężający się aż do niewielkiej, sterczącej horyzontalnie wypustki w kroku zaskakiwał prostotą biologicznego rozwiązania problemu oddawania moczu. Wszędzie na skórze pleła się intensywna zaraza włosów, o której nie pamiętano już od dwóch generacji. Tutaj nie pomógłby najdoskonalszy depilator. Chyba nożyce do strzyżenia owiec...

Śmierdział ostrym potem i czymś ohydny, naciągniętym wprost na stopy, w czym przeświecała dziura na wielki palec u nogi. Schizofreniczne rzeźby Dijona jawiły się w zestawieniu z nim łagodnymi pluszakami z dziecięcej półki.

– Czego chcesz? – zapytał po raz ostatni Luizon, odpychając mocarne ramiona stwora nieskoordynowanymi ruchami.

Osobnik dyszał ciężko. Delikatnie pochwycił Luizona i przełamał w szczelnym uścisku, potem pozwolił jego nogom opleść swoje ciało na wysokości bioder.

9.

Policja znalazła ich po północy, jeszcze tarzających się po trawniku. Siłą zdarli z ofiary wczepionego członkiem włóczęgę. Obdartus bronił się w desperacji. Kopał, wymierzając krótkie, nieskoordynowane ciosy w ciężarne brzuchy funkcjonariuszy. Drapał ich po gołych tyłkach i wreszcie zranił jednego znalezionym kawałkiem drutu. Korzystając z chwilowego osłupienia stróżów prawa zerwał się do ucieczki z absurdalnym rykiem. Przebiegł kilka metrów, nagle potknął się i upadł. Wtedy spadły na niego razy zadawane policyjnymi prętami. Mężczyzna znieruchomiał, zaskomlał jak mały psiak, potem zwinął się w ataku niepowstrzymanych torsji.

Jeden z funkcjonariuszy przyklęknął przy nim. Wymierzył z rewolweru. Zbliżał grubą lufę służbowego Miliona raz do czoła, raz do nosa ofiary. Wahał się. Dziwna litość walczyła w nim z pośpiechem, a dusza kurczyła się ze strachu w zetknięciu z czyjąś ostatecznością.

Ogarnęła ich cisza. Pulsowała krew.

Gliniarz dalej przeżuwał przekleństwa, poszukując idealnego punktu trafienia.

Wreszcie zdecydował. Wystrzelił kilkakrotnie, zamieniając głowę i bark ofiary w krwawą miazgę. Wstał, zachichotał krótko i splunął na drgające zwłoki.

Ostentacyjnie podrapał się po zranionym tyłku. Syknął krótko, kiedy podrażnił ranę. Sięgnął do kieszeni kurtki po zapasowe naboje. Załadował broń, spoglądając kątem oka na gramolącą się z ziemi ofiarę.

– Niewielu ich pozostało – wyjaśnił dotąd przyglądający się zdarzeniu otyły sierżant. Jednym ruchem zarzucił na

Luizona stary, poplamiony koc. – Prymitywny model. Zbyt zaangażowany w niemodny już brutalny, brudny seks.

– Czy chcesz złożyć doniesienie o gwałcie? – zapytał drugi gliniarz, podchodząc z gorącym jeszcze rewolwerem w dłoni. W jego oczach paliły się miliony złych ogników. Zaciskał usta. Dolną wargę przechodziło jakieś delikatne drżenie. Wyraźnie nim zniechęcał, strofował, oskarżał i Bóg wie co jeszcze... Chciał ukręcić sprawie łeb tu, zawczasu, na tym trawniku. Przede wszystkim uniknąć kłopotliwej odpowiedzi na pytanie „Skąd u diabła, na obszarze kwadratu osiemnastego, znalazł się ten dziki, skazany na eksterminację męski wypierdek?”.

– Nie. Zabierzcie mnie do domu – wyjąkał Luizon. – Mam dość przyjemności na dzisiaj – dodał pustym głosem, posuwając się niepewnym krokiem i z obolałym kroczem w kierunku pulsującego światłami policyjnego wozu.

– Hola, hola! – Silne ręce kierowcy radiowozu zatrzymały poszkodowanego tuż przed drzwiami samochodu. – Zbyttno śmierzisz starym krochmalem, nie przepuszczę cię bez mycia. Stawaj w rozkroku. No dalej! Co tak opieszale?

– Boli... – zajęczał Luizon.

– Guzik mnie obchodzi, że boli! Ręce na maskę. Szerzej, mówię! – warknął opryskliwie policjant. – To nie jest pierdolony ambulans! W moim wozie obowiązują zapachowe normy konstytucyjne – mówiąc, spryskiwał ciało nowego pasażera dezodorantem Jaquarfa-Blisso – Nawet ofiara winna okazać trochę szacunku władzy.

– Jaka ofiara? – Ta z nagłą wyzwolona myśl była nieznosna.

– Luizon... dalej będziesz rznąć głupa? – rzucił nadchodzący ospale sierżant. – Czy mam cię ostatecznie uświa-

domić? To nie był zwykły petting w wykonaniu włóczęgi-kobietona. Wiesz czym był ten nagus?

– Obrzydliwa wtryskarka ludzkich bytów – wtrącił kierowca z grymasem obrzydzenia. – Robił to pod przymusem biologicznego nakazu, jak dzikie, pijane bydlę. Bestialski zamach na wartości personalne, atak na intelektualną odrębność postrzegania! Dobrze, że kobietony ostatecznie pozbawione są jajczkowania, inaczej sam zesrałbym się ze strachu. Taki kontakt to pewna lawina wieloletnich poronień – dodał, nie bez złośliwości.

Luizon i tak nic nie zrozumiał z tego mamrotania o różnicach płci, zbiorach instynktownych natręctw, należących już tylko do zimnego trupa pozostawionego w parku. Dopiero przed numerem czterdzieści cztery na Gordon Street gadatliwy sierżant zamilkł, a kierowca, odchrząknąwszy usłużnie, otworzył przed nim drzwi.

– Jeszcze jedno. – Ciężka łapa sierżanta spadła na wychodzącego jak wyrok. Luizon zamarł w oczekiwaniu najgorszego. – Prawo stanowi: „śmierć za śmierć”. W przypadku twojego przyjaciela wymierzylśmy już wystarczającą karę. Nie była to jednak śmierć ostateczna, jaka mu się w mojej opinii należy, ale akurat taka o jakich wspominają nasze dobrze walnięte regulacje prawne. „Byt ciężarny pozostaje pod ochroną bez względu na ciężar wykroczenia”. Brednie.

– Alison pozostanie w smarkatym wieku, dopóki nie spłacisz jego kredytów – dorzucił drugi gliniarz. Jego głos przypominał echo ze studni. – Wtedy bank cofnie blokady rozwojowe i będziecie mogli się normalnie kochać. Nie wiem tylko czy zdążysz w twoim marnym życiu. Chyba, że polubicie to robić w obecnym stanie. – Wściekle zarechotał na całe gardło.

– Przestań, Davson – zbeształ go sierżant, choć sam uśmiechał się pod wąsem. – Dla ciebie, L. Splithgoes, prawo nie przewiduje kary za zbrodnię. Natura wyreżczy w twoim przypadku najlepszy sąd. Wystarczy, że pozostaniesz kaleką menstruacyjnym do końca swego uroczego życia. A wyznam, całkiem prywatnie, że nie zazdrozczę ci takiej przyszłości. Starość i samotność z nią związana nie jest najprzyjemniejszym doświadczeniem. – Wypchnął pasażera z samochodu, jednocześnie zrywając z niego koc. – Żał mi cię – dodał z sarkazmem. Pociągłe, pokryte bohomazami rozmazanego makijażu twarze funkcjonariuszy w głębokim cieniu pojazdu były jeszcze straszniejsze. – Szczególnie jak przypomnę sobie osiemdziesięciolatka z Kimbone Hills i jego obłądnie pomarszczoną skórę... – parsknął sierżant.

– A widok ciągłego, niecierpliwego dreptania w miejscu? – dorzucił drugi glina, celowo zawieszając głos.

– S-k-l-e-r-o-z-a! – Wszyscy trzej ryknęli dzikim śmiechem.

Policjanci odjechali, pozostawiając Luizona samego na chodniku. Drżał ze strachu i chłodu, patrząc za umykającymi światłami samochodów. Skulił się. Podreptał w stronę brzdąca oczekującego niecierpliwie na progu mieszkania. Pochylił się i przytulił go ze wzruszeniem do nagich piersi.

– Alison, kochanie... – wyszeptał. Ciężarny brzuch malca był twardy jak worek ciasno zbitych gwoździ.

W suterenie paliło się ciepłe światło. Rzuciło na ich twarze miodowy blask.

10.

Kilkanaście tygodni później...

– Alison? – zawołanie zabrzmiało bardzo łagodnie. Prawie pieszczotliwie. Dziwnie kobieco.

Wezwany mały człowiek podszedł na odległość kilku kroków od łóżka. Jego naperfumowany brzuch lśnił po kąpieli w mleku, piersi lekko obwisły po nakremowaniu, twarz przy tym zdawała się być kamienna i bez wyrazu.

– Coś znowu porusza się w mojej macicy – stwierdził Luizon niepewnie, śledząc z niepokojem ruchy lekko zaledwie wypukłego brzucha.

– Znowu histeryzujesz – podsumował z jadowitym uśmiechem Alison.

– Myślisz, że po Droidonie niedokładnie się wyskrobałem? – pytał Luizon tym samym tonem.

– A masz z tym czymś jakikolwiek kontakt psychiczny?

– Nie. Zupełnie nic – odparł, zaskoczony nagłym odkryciem. – Jest obcy, nieznany, jakiś dziwnie nowy...

– To zaraza – wyrzucił z siebie młodziutki Alison.

– Ale czuję jakąś nadzwyczajną dumę, i radość, i chęć życia, i poświęcenia tylko dla niego, mimo, że jest mi obcy, niezależny i wolny. Jestem wzruszony bytem, który nie jest w najmniejszym stopniu mną. Dumny z jego indywidualności postrzegania, niezależności i wolności woli w każdym kopnięciu. Mógłbym mu oddać najmniejszą porcję mego ciała i największą jednocześnie. Mógłbym umrzeć w dniu jego narodzin i być najszcześniejszym w świadomości kontynuacji czyjegoś życia, życia wynikającego z mojej nienasyconej woli obdarowywania.

– Co ty, kurwa, pleciesz!? Mówisz jak jakaś, nie przy-
mierzając, Matka! Uspokój się! A najlepiej... zamknij się!
Masz przecież mnie!

– Jest mocno wrośnięty, wbity i zagłębiony we mnie aż
po zimną rękojęść. Czuję bicie jego serca i pomimo, że nie
dzielę z nim moich myśli, wypełniam nim całego siebie!

– To na pewno spermoza – syknął Alison, zbliżając się
sprężystym, kocim susem. – Powtórz jeszcze choćby raz....
że to ścierwo samoimplantujące kochasz... a sam wepchnę
ci do gardła najszybszą jaką znam tabletkę na samoistne
poronienie! – ryknął, bez opamiętania tłukąc małymi pię-
ściami brzuch Luizona.

Aż do krwi, aż do krwi!

Z E T E R Z E L K E
PIĘĆ PARSZYWYCH ŻYWOŹÓW

*W blasku ranka, w nocy cieniach,
Ktoś się rodzi dla cierpienia.*

William Blake

Czas najwyższy przerwać krępujące milczenie. Słuchasz naszych żali już od tylu lat, śniesz nasze koszmary, przeżywasz nasze wspomnienia, a niekiedy – przyznajemy ze skruchą – wykonujesz bezwolnie nasze polecenia. My wiemy o tobie wszystko, a ty o nas niemal nic. Pora to zmienić.

Nosimy wiele imion: jesteśmy głębinową rybą, ćmą, stonogą olbrzymią oraz królową mrówek. Jeszcze wcześniej byliśmy gwałtownym okrutnikiem, bezdusznym rzeźnikiem, niespełna dwa tysiące lat temu zrodzonym w chińskiej wiosce z łona zgwałconej kobiety. Nazwała mnie Cho-cho i oddała w opiekę – by nie rzec: podrzuciła – buddyjskim mnichom. Zostałem znaleziony wczesnym rankiem, kwilący na kolanach jednego z brązowych posągów roześmianego Buddy. Mnisi przygarnęli mnie i otoczyli opieką; kształcili, uczyli mantr oraz medytacji, co i tak na niewiele się zdało.

Uciekłem ze świątyni w wieku lat czternastu. Dość miałem rutyny, nudnych rytuałów, klepania modlitw i zlicza-

nia siniaków na dupie, których nabawiłem się od godzin wysiedzianych w pozycji lotosu. Gdybym chciał skłamać, rzekłbym, że pragnąłem przygody, lecz rzeczywistość była bardziej ponura. Gotowała się we mnie krew, przepełniała nienawiść do ludzi; nienawiść oraz pogarda. Nawet teraz, po tylu stuleciach naprzemiennych epizodów długoletniej pustki i krótkich powrotów do życia nie potrafimy tego zrozumieć. Może to nasze podłe pierwsze narodziny, może takie przeznaczenie zapisano nam w gwiazdach, może przyszło nam odgrywać rolę w planie kogoś znacznie potężniejszego od najpotężniejszych istot na ziemi, a może zwyczajnie zabrakło nam szczęścia. Czasami myślimy, że niektórzy po prostu przychodzą na świat, by sprawiać innym ból. My byliśmy kimś takim. Potem słono za to zapłaciliśmy; po prawdzie, płacimy do tej pory.

Pierwszego człowieka zabiłem w Shashu, średniej jak na ówczesne standardy chińskiej osadzie. Miałem wtedy piętnaście lat. Obserwowałem tego kupca, okrągłego obżartucha, i jeśli dobrze pamiętam, nie wiedziałem, czego pragnąłem bardziej: jedzenia, którego nie miałem w ustach od dwóch dni, solidnego noża, który zachęcająco błyszczał przytroczony do tłustego boku, czy widoku flaków wypływających z rozprutego brzucha. Kiedy uzmysłowiłem sobie, że przy odrobinie wysiłku mogę mieć te trzy rzeczy naraz, momentalnie podjąłem decyzję. Kupiec wszedł spacerkiem za osłonę krzaków, wpychając w siebie kolejną garść ciastek. Po chwili jego jelita wypłynęły na zieloną trawę. W taki sposób postawiłem pierwszy krok na drodze do potępienia. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że u kresu żywota czeka mnie pięć kolejnych – każdy gorszy od poprzedniego.

Żeby skrócić długą historię Cho-cho, zaraz po przelaniu pierwszej krwi dołączyłem do grupy wyjętych spod

prawa rozbójników. Rabowaliśmy karawany, organizowaliśmy obławy na wielmożów, plądrowaliśmy i podpalaliśmy osady, urządzaliśmy regularne potyczki ze zbrojnymi przedstawicielami prawa. Wkrótce z szeregowego członka zbójckiej kompanii awansowałem na jej przywódcę. Wcześniej, zgodnie ze zwyczajem, musiałem pozbyć się starego: walka jeden na jednego, żadnej broni, wyłącznie siła mięśni, refleks oraz determinacja. Zadusiłem starego zabijakę gołymi rękoma, żłobiąc mu palcami pożegnalną ranę w tchawicy. Wykrwawiał się z pięć minut, nim skończył, lecz to tylko podniosło moją pozycję w oczach bandy. Zaczęli się mnie bać i o to chodziło. Od tamtej pory miałem na rozkazy grupę zaprawionych w bojach, wściekłych psów w ludzkich skórach; mogłem im nakazać dosłownie wszystko. Przez osiem lat przeczesywaliśmy południowe Chiny, niosąc ból, śmierć i pożogę. Nic nie było w stanie nas powstrzymać – do czasu...

Pewnej nocy natknęliśmy się na cygański tabor. Trzy duże hinduskie rodziny wędrowały z Indii na zachód. Mówiło się wtedy, że chociaż Cyganie uprawiają żebraczy żywot, posiadają zrozumienie magii i rzeczy tajemnych, dzięki czemu gromadzą spore bogactwa. Gdy zauważyłem ich wozy, zapragnąłem przekonać się, ile w tym prawdy... i ile prawdy było w słowach o niebywałym uroku ich dziewcząt.

Tej samej nocy zaatakowaliśmy tabor. Podczas szarży moją uwagę zwróciła młoda, nadzwyczaj urodziwa hinduska wiedźma. Dopadłem ją, gdy cała okolica już stała w płomieniach, a większość cygańskich uciekinierów leżała w kałużach krwi. Ona patrzyła na mnie bez strachu. W jej pięknych, czarnych oczach widziałem czystą nienawiść. Już wiele razy widywałem jej odbicie na twarzach

mych ofiar, jednak tamci nienawidzili mnie i bali się jednocześnie, a dziewczyna tylko nienawidziła. Stwierdziłem, że przetestuję hardość tego ducha, zabijając ją bardzo powoli, a na koniec zbezczeszczę jej zwłoki w najgorszy sposób, jaki przyjdzie mi do głowy.

Wiedźma jakby czytała w myślach. Zdążyłem zrobić ku niej tylko krok, gdy wyszarpnęła zza paska nożyk, zakrzywiony niczym krogulczy pazur. Przycisnęła go do szyi, wskazała mnie palcem, wycedziła przez zęby jakieś słowa, po czym poderznęła sobie gardło. Gorąca krew spryskała moją twarz; zazwyczaj przynosiło mi to satysfakcję, lecz nie tym razem. Gdy padła bez życia, jej krew zaczęła mnie parzyć. Przyciskałem ręce do oczu, drapałem policzki, krzychałem, czerwone krople jakby wżerały się w skórę. Wreszcie któryś z kamratów przyniósł fragment lustra znaleziony w jednym z wozów. Miałem poharataną głowę, owszem, lecz nigdzie nie widziałem śladów krwi, zupełnie, jakby we mnie wsiąknęła. Nie wiedzieć czemu, na tę myśl zrobiło mi się niedobrze, ogarnął mnie chłód, jakiego nigdy przedtem nie doświadczyłem. Przez ułamek sekundy bałem się, tak naprawdę i zupełnie – chyba pierwszy raz w życiu. Ufałem, że moi ludzie tego nie zauważą, zaprzątnięci pługowaniem wozów i wykorzystywaniem co bardziej urodziwych trupów.

Pięć dni później przyszła śmierć. Coś zaatakowało mnie w lesie, jakiś robal. Wstrzyknął jad, gdy oddawałem mocz w krzaki, a potem uciekł. Spuchłem momentalnie, miałem problemy z oddychaniem, przez kilka godzin łąpałem powietrze niczym umierający gruźlik. Nikt nie umiał mi pomóc, żadnego znachora w pobliżu, zresztą ani jeden dobrowolnie nie zbliżyłby się do obozowiska. Pod wieczór byłem już niemal płonącą pochodnią, gorączka wyżera-

ła resztki mojej świadomości. W dogorywającym umyśle słyszałem słowa pięknookiej wiedźmy, które tym razem układały się w sensowne zdania. Sensowne i przerażające:

„Kali mściwa, Kali sprawiedliwa. Odrąć i skaż potwora w ludzkiej skórze. Na pięć parszywych żywotów. Na pięć parszywych żywotów. Każdy kolejny gorszy od poprzedniego. Krew niewinna wskaże ci jego!”

To był początek naszej kary.

Parszywy żywot pierwszy – stonoga

Nadszedł czas, by zrzucić pancerz. Stary jest ciasny, zużyty, ponadto nie odzwierciedla mojej nowej natury. Przechodzę szybko przez dawny, cielesny dom. Wkrótce segmenty nowej zbroi stwardnieją i będę mogła udać się na polowanie; głód tak bardzo mi dokucza. Teraz jestem miękka i bezbronna – jeśli coś wypatrzy mnie z góry, jeśli zaatakuje, nie mam żadnych szans. Nawet jad pieczołowicie gromadzony na ucztę niewiele wtedy pomoże. Poruszam czułkami w górę i w dół, w lewo, w prawo, macam grudki piasku, przebieram kilkudziesięcioma odnóżami, byle jak najszybciej wydostać się ze starej powłoki. Jeszcze kilka minut i jestem wolna. Uciekam między kamienie i krzewy, ciągnąc za sobą długie, segmentowe ciało. Sonduję drogę czułkami, odbieram drżenia ziemi, obserwuję grę światła oraz cienia, szukając śladów potencjalnych ofiar.

Nieopodal jest jaskinia, muszę tylko odczekać, aż pancerz na dobre stwardnieje. Chociaż wypełniający mnie jad aż krzyczy o uwolnienie, wolę nie ładować się do pieczary

miękką jak podbrzusze myszy. Wreszcie instynkt podpowiada, że mogą ruszać bez obaw.

Skalne podłoże jest zavalone guaniem, na którym żerują owady. Wkraczam na ruchomy dywan, a pode mną, w ciemności, przewalają się tysiące żuków i karaczanów. Słyszę jak stukają, ocierając się o siebie pancerzykami. Tu, na dole, generują ciągły szum, wieczny hałas, bezustanne klekotanie. Nie przeszkadza mi to, ani mnie nie interesuje – przybywam po większą zdobycz. Wyczuwam trupy owadów i nadzartych nietoperzy, które miały nieszczęście odpaść ze skalnych przystani, hen wysoko, prosto w tę ruchomą masę głodnych insektów. Są tu nawet zgniłe truchła krabów. Mijam je bez zastanowienia, potrzebuję czegoś świeżego.

Czułki dotykają wertykalnej powierzchni, wyginam więc długi korpus, próbując ułatwić sobie przejście między wybrzuszeniami. Przestrzeń zaczyna drżeć od krzyków przelatujących nietoperzy – przyspieszam. Czuję na grzbiecie ciąg powietrza, gdy mijają mnie me uskrzydłone przekąski. Obejmuję odnóżami wapienną wypustkę u styku ściany i jaskiniowego sklepienia. Pozwalam górnej części odwłoka zwisnąć. Oczekuję. Nawet jak zlecę z takiej wysokości, nic nie powinno się wydarzyć. Pode mną cała horda robali przebiera w guanie w najlepsze, gwarantując miękkie lądowanie.

Nie czekam długo. Mały ssak wysłała echosondę zbyt późno. Gdy orientuje się, że coś stoi mu na przeszkodzie, czasu na manewr już nie ma. Wpada prosto w moje odnóża, a ja więżę go w szczelnym uścisku i wpuszczam w jego żyły truciznę. Małe, ciepłe serduszko bije jak oszalałe jeszcze przez kilka sekund, potem zamiera. Szybka śmierć. Kilka godzin i nie pozostanie po nim nawet kosteczka.

Później...

Koniec końców, to nie było najlepsze polowanie. Ile mogło minąć czasu? Dzień? Dwa? Teraz to bez znaczenia. Jest zdecydowanie za późno. Mogę jedynie leżeć na wilgotnej trawie, zwinięta jak rogalik. Cokolwiek wykluło się w moim wnętrzu, najpierw przyprawiło o potworny ból stawów, potem sparaliżowało część tułowia. Dzisiaj nikt już nie odróżni mnie od martwego owada, z tą różnicą, że wciąż czepiam się resztek świadomości. Nad ranem minęło mnie kilka drapieźników, mych śmiertelnych wrogów. Instynktownie wyczuły, że coś jest nie w porządku, poszli więc dalej, nie przynosząc upragnionego końca. Pasożyt porusza się we mnie. Powoli pożera moje wnętrze, pozostawiając szlak odchodów, przeciska się między chrząstkami, wyjada sobie drogę przez organy. Gdy zaatakuje te najważniejsze, wreszcie odejdę.

Już niedługo. Przestaję cokolwiek odczuwać. Tylko oznaki życia intruza w moim ciele, z którego wkrótce pozostanie pusta skorupa.

Parszywy żywot drugi - ćma

Leciałam przez noc, zatrzymując się od czasu do czasu, by zanurzyć ssawkę w kwietnym kielichu. Nie mogłam przestać myśleć o ostatnich nowinach. Wśród żuków, trzmieli, koników polnych, pajaków oraz mrówek zaplanował dziwny popłoch. Powiadają, że w naszej części dżungli w grzybniach kordycepsów przebudziły się złe duchy. Jak długo żyję, do tej pory jedynie straszono nimi gąsienice oraz larwy, gdy były niegrzeczne. Nikt jeszcze nie widział upiorów, ani niczego, co przypominałoby ich

ofiary ze strasznych historii, przeto tego rodzaju bajania traktowano z przymrużeniem oka. Jednak z najnowszymi informacjami wiązała się jakaś fatalność; wisiała w powietrzu za każdym razem, gdy uwaga owadów przeska kiwała na ten niewygodny temat. Kilka nocy temu ponoć znaleziono w głębi dżungli upiorne cmentarzysko rodem z najczarniejszych opowieści: wyschnięte zwłoki kilkuna stu żuków, zamienione w kolonię grzybów. Ponoć...

Powiadają, że kiedy kordyceps nawiedza, jego ofiara stopniowo traci rozum. Dusza owada skazana jest na potępienie, albowiem przeklęta grzybnia przybywa po nią z samego piekła. Według legend Stwórcy wszystkich insektów wypuszcza ją z otchłani na kilka dni i nocy, by nie czyniła szkód tam na dole. Przez darowany jej czas, grzybnia może czynić na powierzchni co jej się podoba, atakuje więc owady, miesza im w głowach, a gdy mają już wyzionąć ducha, daje im wybór: umrzeć w szaleństwie lub dołączyć do niej i zejść do otchłani. Ci, którzy decydują się na drugie rozwiązanie, przechodzą bolesną metamorfozę, w końcu przekształcając się w śmiertelną pułapkę dla innych owadów.

Tyle legendy, a fakty? Nie wiedziałam, lecz byłam za intrygowana i chciałam się dowiedzieć. Pierwszą oznaką obecności kordycepsa są urokliwe pyłki. Wyglądają jak ogniki, kolorowe światełka, ulotne oraz ujmujące. Ich zadaniem jest przyciągnięcie nieszczęśnika w pobliże diabelskiego siedliska. Leciałam do miejsca, gdzie spodziewałam się znaleźć cmentarzysko.

Wtem je zobaczyłam – zmumifikowane zwłoki kilkuna stu żuków, spoczywające na dywanie wyschniętych liści. Moje serce zaczęło bić kilkadziesiąt razy szybciej. Wy równałam lot, by przyjrzeć się uważniej. Wysuszone sko-

rupy o owadzych kształtach leżały nieruchomo, jedna obok drugiej. Z ich wnętrz wyrastały fantazyjne grzyby o czerwonych łebkach, osadzone na długich, żółtych nóżkach. Trupy w dodatku były pokryte lekkim, śnieżnobiałym kożuchem, niby całunem.

Wtedy tuż przede mną pojawiło się drżące, błękitne światełko. Ognik, ognik ze strasznych opowieści! Spanikowałam. Odwróciłam się, bijąc skrzydłami powietrze, byleby uciec z tego przeklętego miejsca. Odważyłam się zatoczyć tylko jeden łuk, by sprawdzić, czy nic mnie nie ściga, lecz śpiąca dżungla wydawała się równie spokojna, co zawsze. Czy to możliwe, że wysiłek przyprawił mnie o urojenia? Czy naprawdę widziałam to, co widziałam? Przez całą drogę do ulubionego legowiska powtarzałam sobie, że winne jest przemęczenie. Gdy schowałam się pod liściem bambusa, słońce szykowało się do wzejścia. Odetchnęłam w duchu – byłam bezpieczna, a światełka i zagrzybione cmentarzyska były jeno przewidzeniem. Złożyłam skrzydła i zasnęłam przekonana, że wraz z następną nocą wszystko wróci do normy.

...

Śnię koszmar. W tym koszmarze budzę się i czuję, że coś jest nie tak. Jakaś gąsienica nieufnie patrzy na mnie z oddali, a gdy zauważy moje spojrzenie, wycofuje się rakiem między liście. Komary i inne ćmy przelatują koło mnie, łypiąc z niepokojem. Dokoła panuje nietypowa cisza – to nie jest milczenie nocy, to raczej tak, jakby wszystkie dźwięki zostały przytłumione. Odwiedzam kilka kwiatów, by zaspokoić pragnienie. Ze zdziwieniem stwierdzam, że nocne owady ustępują mi trwożnie z drogi.

Z jakichś względów staje mi się to zupełnie obojętne. Może potrafią czytać w myślach i przeczuwają, że ja

– nocna ćma – przedsięwzięłam szalony plan, by poczekać na wschód słońca. Nigdy wcześniej tego nie próbowałam, lecz dziś coś mi podpowiada, aby wreszcie przełamać strach przed dziennymi drapieżcami. Ponoć słońce jest piękne, a dżungla za dnia wygląda olśniewająco. Widok godny poświęcenia jednej nocy. Wspinam się niespiesznie na nagą gałązkę krzewu. Jak tylko wszędzie słońce, promienie powinny bezpośrednio uderzyć w to miejsce, a ja skąpię się w nich i zobaczę inną rzeczywistość.

Przycupnęłam na końcu gałązki. Pozostaje tylko czekać...

Parszywy żywot trzeci - królowa mrówek

Atak nie nastąpił nagle. Jej taktyka była podstępna, systematyczna, wyniszczająca. Zaczęło się od niewielkich zniszczeń i zaginięć członków mrowiska. Gdzieś zawałiło się wejście do kolonii, gdzieś indziej uszkodzeniu uległy zapory przeciwdeszczowe... Drobne usterki zdarzyły się ciągle, więc nikt na początku nie wiązał ich z pojawieniem się czegoś poważniejszego. Podobnie było z zaginięciami: robotnicom często przytrafiały się wypadki, strażnicy zaś ginęli w ich obronie; gdy zaistniało podejrzenie, że któryś zespół złapał jakieś choróbsko, odpowiednie służby izolowały grupę ryzyka do chwili ustąpienia objawów, wysyłając kolonii stosowne uprzedzenie.

Do moich głównych zadań należało składanie jaj i utrzymywanie harmonii wewnątrz mrowiska. Chciałam, aby ten dom był bezpiecznym schronieniem dla mych dzieci oraz wszelkich przybłęd, które dołączały do nas po wykazaniu dostatecznej lojalności. Wysyłałam feromony szczęścia za

każdym razem, gdy czułam, że część mych podopiecznych przygniała smutek. Robotnice odwdzięczały się, wykonując swoje zadania porządnie i drobiazgowo, zwłaszcza te, które odpowiadały za opiekę nad jajami oraz dostarczanie zapasów pożywienia. Przez wiele lat stanowiliśmy zżyłą rodzinę, lecz w pewnym momencie wszystko się popsuło.

Jak już wspomniałam, zaczęło się od zniszczeń i zaginięć. Na początku nic nas nie zaalarmowało, tego typu rzeczy się zdarzają, więc kontynuowaliśmy naszą znojną lecz szczęśliwą egzystencję, skrupulatnie naprawiając to, co uległo uszkodzeniu. Potem, pewnej burzowej nocy, poczułam w powietrzu groźną aurę, od której włoski zjeżyły mi się na karku. W pobliżu mrowiska krążyła inna królowa – samotna, okrutna, zła; zdeterminowana, by zawłaszzyć dzieło mojego życia.

Nie wiedziałam, kiedy przestanie bawić się w wyniszczanie mrowiska małymi usterkami i przejdzie do bezpardonowej walki. Powiłam kilkadziesiąt dużych jaj, oddałam im nadwyżkę pożywienia i kazałam opiekunkom pielęgnować je ze szczególną troską. W przeciągu kilku dni mieli się z nich wykluć potężni wojownicy, obrońcy kolonii, niewrażliwi na feromony innych królowych, podlegli tylko i wyłącznie mnie. Skoncentrowałam też uwagę na najsilniejszych robotnicach, by mieć pewność, że nie ulegną wpływowi uzurpatorki, gdy tamta przejdzie do bezpośredniej walki.

Nie czekałam długo na reakcję. Już następnego dnia niemal w całej kolonii czuć było smród obcej aury. Większość moich dzieci przeciwstawiała się jej nakazującej woli, lecz wiedziałam, że to tylko kwestia czasu, zanim zaczną ulegać. Byłam zbyt osłabiona rodzeniem potomstwa, podczas gdy tamta wszystkie siły mogła włożyć

w atak. Nadzieję pokładałam w mających niebawem przyjść na świat wojownikach oraz tych kilkudziesięciu robotnicach, ku którym skierowałam szczególną uwagę. To one przyjęły na siebie pierwsze uderzenie.

Najsłabsze z mych dzieci nie przeciwstawiły się długo. Obca królowa zawładnęła ich umysłami i kazała atakować te robotnice, których lojalność najtrudniej było jej złamać. Podczas pierwszego dnia obrony większość buntowniczek zginęła. Nazajutrz było gorzej, jeszcze więcej moich dzieci odeszło w bratobójczych walkach, a sama kolonia zaczynała podupadać, nie reperowana na bieżąco. Jak tylko oczami najwierniejszych poddanych zauważałam, że któraś z opętanych robotnic ukradkiem dewastuje część gniazda, wysyłałam przeciw niej mały oddział, by zminimalizować straty. Wkrótce jednak obca aura opanowała tak wiele umysłów, że moi obrońcy zaczęli uginać się pod naporem wroga. Odliczałam czas do wyklucia się wojowników. Wyglądało na to, że za kilka dni oni będą naszą jedyną nadzieją.

...

A jednak nic z tego. Jest za późno, o wiele za późno! Jaja się nie wykluły! Jej niszczycielska moc dosięgła opiekunek. Wszystko skończone! Musiałam zabić moje własne dzieci. Czuję się osamotniona w kolonii, którą wiele lat temu zakładałam od podstaw. Nie ma już ani jednej mrówki lojalnej wobec starej królowej. Boją się podejść do komory. Wiedzą, że pozabijam je wszystkie, jak tylko spróbują. Czekają na nadejście swojej nowej pani. Ja również czekam.

Wyczuwam jej odrażającą obecność w mrowisku – silniejszą niż kiedykolwiek wcześniej. Słyszę jak od jej kroków drży ziemia. Zbliża się powoli, lecz nieubłaganie. Widzę jej cień, a po chwili ją samą – czarna, potężna, uskrzydłona sylwetka z ogromnymi szczękami. Spoglą-

da na mnie parą obsydianowych oczu i rozwiera żuwaczki. Strach, dojmujący strach! Moją kolonię zaatakowała przedstawicielka jednej z najbardziej przerażających, mrówczych rodzin. Kiedy tylko stanęła naprzeciw mnie, wiedziałam, że nie ucieknę. Mało tego: wiem, jaka czeka mnie śmierć. Zamykam oczy. Postaram się umrzeć, zanim jej szczęki zacisną się na moim karku.

Parszywy żywot czwarty - matronica

Miłość! Urodziłem się, by kochać. Oceaniczna głębia może i jest mroźna, pusta oraz ponura, lecz nie pozbawiona miłości. Szukam mojej kochanki, szukam głębinowej ryby, która przyjmie mnie do siebie, odwzajemni moje uczucie. Chociaż w naszym podwodnym świecie panuje ciemność, wiele jego mieszkańców potrafi ją rozjaśnić światłem emanującym prosto z ich wnętrza. Szukam miłości, szukam partnerki, szukam tej, z którą przebędę resztę moich dni. Razem będziemy fosforyzować blaskiem naszego uczucia, rozjaśniając głębinowy mrok.

Wreszcie ją dostrzegam. Jest potężna, kilka razy większa ode mnie, lecz to nic nie szkodzi. Jest piękna. W jej wyłupiastych oczach odbija się blask nęcika, którym przywabia pokarm. Ma ogromne, ostre zęby, przyprawiające jej wrogów o trwogę, a mnie o ekstatyczny dreszcz pożądania. Może wydawać się krępa, gruba, ale dla mnie jest ucieleśnieniem doskonałości. Otacza ją korona rachitycznych odrostów, długich wąsków, jakże majestatycznych, jakże zachęcających, by się o nie otrzeć. Ma zakończone szpiczasto płetwy, niczym skrzydła legendarnego stworzenia.

W tym momencie jestem w stanie myśleć tylko o tym, czy mnie przyjmie. Czy nie odrąci? O, jakże cudownie byłoby spędzić u jej boku resztę życia!

Podpływam nieśmiało. W porównaniu z jej rozmiarami, jestem niczym plankton przy kałamarnicy. Ależ ona jest wspianiała! W pewnym momencie dostrzegam na jej podbrzuszu kilka gul. Z nieznanых powodów wzbudza to mój niepokój. Krótkotrwały krzyk instynktu podpowiada, bym spływał, uciekał ile sił w płetwach, lecz fale miłości zmywają wszelkie, jakże irracjonalne strachy. Obiekt moich westchnień eksponuje zachęcająco pulchny bok – zaproszenie do złożenia miłosnego pocałunku. Jestem wgłębięzięty! Przysuwam wargi do jej ciała, czuję bliskość całym sobą, pozwalam tej ekstatycznej chwili trwać.

...

Stało się coś niepokojącego. Nie mogę przerwać pocałunku. Mam wręcz wrażenie, że moje wargi w tajemniczy sposób zespoliły się z ciałem mojej ukochanej. Czuję, jak nasze naczynia krwionośne powoli zrastają się ze sobą. Czy powinienem się bać? W końcu, jakby nie patrzeć, moje pragnienie przybiera dosłowną postać – razem na zawsze. Ale za jaką cenę? Jestem pełen wątpliwości. Moja luba pływa, poluje, traktując mnie jak swoją własność. Nie przeszkadza mi to zbyt. Głębiny świat jest okrutny, istotki o tak małych rozmiarach jak moje mają tutaj problem ze znalezieniem pożywienia, a moja miła nie skąpi mi niczego. Wspólnie przeczesujemy mrok, wyświecając nasze uczucie – tak to miało wyglądać i tak właśnie wygląda. Jest bosko, niemniej to... zjednoczenie zaczyna mnie trochę przerażać. Jej krew oraz moja krew przepływają przez nas, jakbyśmy już byli jednym ciałem.

...

O, ja nieszczęsny! O, ofiario miłości! A więc to tak! Dlaczego nie usłuchałem podszeptów podświadomości, gdy jeszcze był czas? Te gule na podbrzuszu mojej okrutnej pani, te gule to wszystko, co pozostało z jej wcześniejszych partnerów. A teraz ja także jestem stopniowo redukowany do tych samych części! Niebawem one będą wszystkim, co ze mnie pozostanie! Gdybym wiedział wcześniej, gdybym tylko wiedział, nie składałbym śmiertelnego pocałunku. Ale ona mnie uwiodła, przyciągnęła, wykorzystwała miłosne uniesienie. Moje organy wewnętrzne już przestały funkcjonować. Moją świadomość utrzymuje jej krew i składniki odżywcze, które nasze żyły transportują do tego, co pozostało z mojego ciała. Kiedy uwiad dosięgnie mózgu, przepadnę na wieki, złożony w ofierze na ołtarzu przetrwania w mroźnym, głębinowym świetle. Pozostawię po sobie jedynie mogące ją zapłodnić jądra. Co za ponizający koniec.

Parszywy żywot piąty - pasożyt

I tak wróciliśmy do punktu wyjścia. Znasz już naszą nietypową historię, a było tego tyle, że wypada przypomnieć, iż zaczęło się od cygańskiej klątwy. Uważaliśmy za stosowne przedstawić nas wszystkich nie dla rozrywki. Teraz już znasz przyczynę swoich przywidzeń. Za każdym razem, gdy widzisz robaki wpełzające spod mebli, przeżywasz wspomnienia stonogi, drepczącej po dywanie z insektów wewnątrz wilgotnej jaskini. Gdy widzisz ogniki, a następnie dusisz się od zarodników wypełniających twoje gardło, przeżywasz wspomnienia ćmy zaatakowanej przez pasożytniczego grzyba. Gdy ogarnia cię panika przed utratą życia – to

wraca pamięć królowej mrówek, którą najeźdźca pozbawił wszystkiego: od kolonii, po głowę. A gdy wyobrażasz sobie, że powoli znikasz, to są myśli samca głębinowej ryby, którego natura zmusza do zespolenia się z samicą. One wszystkie istnieją we mnie, bowiem byliśmy nimi wszystkimi – lecz ponieważ tkwię w tobie i ty ich doświadczasz.

Zastanawiasz się, gdzie jestem? Siedzę w twojej głowie, zalegam między różowymi fałdami twego bogato ukrwionego mózgu. Jakże tajemnicza jest ta biologiczna maszyna! Przepływa przez nią rytm życia całego Wszechświata, jest skarbnicą informacji, także tych, których nigdy samodzielnie nie wydobędziesz. To stąd czerpiemy wiedzę o naszych poprzednich wcieleniach, wiedzę, którą z racji tego, że to twój mózg, także ty fragmentarycznie poznajesz. Gdybyśmy mogli, oszczędzilibyśmy ci naszych traumatycznych wspomnień, lecz – jak rzekliśmy wcześniej – jest to poza naszą kontrolą. Twoje urojenia, wpływają z naszej odzyskiwanej przeszłości.

Ludzie zamknęli cię w zakładzie dla obłąkanych. Ponośmy winę i nie zamierzamy się wypierać. Ten żywot powinien być naszym ostatnim. Jeśli wcześniejsze czegokolwiek nas nauczyły, to tego, że cierpienie było, jest i będzie wszechobecne.

Moglibyśmy skończyć twoje męki, zadając bezbolesną śmierć podczas snu. Ale, wybacz, pragniemy równie mocno, by ten parszywy żywot był już ostatnim. Czasami się wahamy pomiędzy zachowaniem czystego sumienia, a skróceniem twej niedoli. Jednak śmierć sprowadziła na nas to wszystko, krwawe poczynania Cho-cho stanęły u podstaw naszego marnego losu, dlatego nie przyniesiemy ci w niej ulgi. Mamy nadzieję, że historia naszych egzystencji będzie podporą. Pozostaje nam tylko zgadywać,

dlaczego TWÓJ żywot przybrał taką a nie inną formę, lecz tak naprawdę nie ma to żadnego znaczenia. Każdy musi przeżyć własne życie najlepiej jak potrafi. Podstawową zasadą wydaje się być nie zadawanie zbytecznego cierpienia. Tylko tyle i aż tyle.

Czy wiedza, że masz towarzystwo, przynosi ci chociaż odrobinę spokoju? Byle jakie to towarzystwo, zgoda, ale zawsze jakieś. Kiedy nastąpi kres, nie będziemy umierać w samotności. Odejdziemy razem i – miejmy nadzieję – odejdziemy na zawsze.

BRADLEY SANDS
FUTBOLOWE MAMY
I PRO-WRESTLINGOWI OJCOWIE

Pierwszy rozdział powieści *TV Wciągnęła Mój Mózg*.

Anarchia kurwa rządzi. Moja skórzana kurtka kurwa rządzi. Symbol anarchii na grzbiecie mojej skórzanej kurtki kurwa rządzi. Czerwona farba, której użyłem, by go tam namalować, też kurwa rządzi. Mówienie, że coś „kurwa rządzi”, kurwa rządzi. Zamieszki na ulicach kurwa rządzi. Mecze piłki nożnej dla dzieci kurwa rządzą.

Siedzę na składanym krzeselku plażowym na linii bocznej, oglądając moją siostrzyczkę rozgrywającą piłkę na boisku. Krzesło jest niewygodne. Pasek z poliestrowego tworzywa uwiera mnie w dupę. Nie lubię jak coś uwiera mnie w dupę. Ale to jest tego warte. Naprawdę świetny mecz piłki dziecięcej. Totalna anarchia! Czysta, poryta, anarchistyczna zajebistość! To najbardziej anarchistyczne widowisko na Ziemi.

Och, czekajcie, zapomniałem o ulicznych zamieszkach.

Ale w ulicznych zamieszkach nie uczestniczą małe dziewczynki wrywające z gleby kępki trawy zamiast bronić bramki. Ani małe dziewczynki ganiające za motylami, a nie za piłką, potykające się o gałąź, kopiące ją do własnej

bramki, nazywające swoje przeciwniczki obleśnymi cipami i uciekające z krzykiem przed piłką.

W zamieszkach ulicznych nie biorą udziału futbolowe matki. Ani futbolowi ojcowie. Nie dochodzi tam też do starć pomiędzy futbolowymi matkami i futbolowymi ojcami z powodu meczy piłki dziecięcej. Przyczyną ich wybuchu są problemy prawdziwego świata. Problemy prawdziwego świata kurwa ssą pałkę.

– Problemy prawdziwego świata kurwa ssą pałkę! – mówię głośno.

I wyrzucam to z siebie. Czasem, kiedy myślę intensywnie o różnych rzeczach, impulsywnie wyrzucam z siebie własne opinie. Nie potrafię się powstrzymać.

– Uważaj, co mówisz, Arturku! – zwraca mi uwagę mama.

Uśmiecham się do niej szyderczo.

Wyciąga słoik megapikantnej musztardy z saszetki na pasku.

Megapikantna musztarda nie jest specjalnie anarchistyczna. To raczej narzędzie, którego rządzący tym światem używają, by trzymać w ryzach proletariat. Tym nam grożą, gdy tylko mówimy to, co myślimy. Matka siłą wlewa musztardę do mojego gardła, kiedy mówię jej, że może się pierdolić. I jak wyzywam ją od obleśnych cip. Co bywa uciążliwe, gdyż uwielbiam wyrażenie „obleśna cipa”. Jest doprawdy urocze. Turla się po moim języku. Świat byłby lepszym miejscem, gdybym mógł używać sformułowania „obleśna cipa” jako wyrazu czułości, nie musząc czuć się, jakby w moich ustach wybuchł wulkan.

Nienawidzę mojej matki. Zabiję ją. Wykończę ją, gdy tylko wszyscy oddadzą się anarchii. Wypowiem wojnę w jej obecności. Zrobię to, gdy wypowiedanie wojny w jej obec-

ności stanie się legalne. Nie wcześniej, tego bym nie chciał. Ledwo jestem w stanie zdzierzyć włożący mi w dupę pasek z poliestru. Nie sądzę więc, żebym wytrzymał w więzieniu.

Chwałę t-shirt matki. Komplementy są najlepszym środkiem zapobiegającym erupcji wulkanu w moich ustach.

– Fajna koszulka, mamó. Lubię misie grające w piłkę. Są słodkie. Podoba mi się też to, że t-shirt jest o dziesięć rozmiarów za mały. Uwielbiam sposób, w jaki podkreśla twoją grubaśną grubaśność. I tłuszcz na twoich wielgachnych cycach. Kocham to, że mogę obserwować każdy podryg twojego gigantycznego brzuchola. Dzięki tej koszulce wyglądasz, jakbyś spodziewała się czworaczków.

– Ooo, dziękuję kochanie – rozczuła się, chowając słoik pikantnej musztardy do saszetki.

Matka wstaje, by zatańczyć na kolanach wujka jak rasowa striptizerka. Jestem przerażony. Mój wuj jest podniecony. Babki przy kości zawsze go kręciły.

Mój wujek jest moim nowym tatą.

Gdy wszyscy oddadzą się anarchii, wystrzelę pocisk balistyczny prosto w głowę mojego wuja. Planuję jak wycelować raketę w jego czoło. Zrobię to, ponieważ pod nosem hoduje wąsy w stylu Fu Manchu, a wąsy w stylu Fu Manchu kurwa rządzą. Mam nadzieję, że zdołają przeetrwać atak.

Moja siostra strzela gola. Mama i nowy tata wiwatują.

Wtedy zdają sobie sprawę, że ich córka wpakowała piłkę do bramki swojej drużyny.

Cichną. Wuj się śmieje. Brzmi to sztucznie i melodramatycznie, jakby był czarnym charakterem w lidze profesjonalnego wrestlingu. Nie dziwi mnie to, bo on JEST czarnym charakterem w lidze profesjonalnego wrestlingu. Ukradł imię ze starej zapaśniczej gry na Nintendo, po-

nieważ nie potrafił wymyślić żadnego dobrego. Kin Corn Karn to zajebiste imię, ale mój wujek ssie.

Przestaje się śmiać. On i matka nazywają moją siostrę przegrańcem. Zapewniają ją, że wciąż ją kochają. Mówią, że następnym razem będzie lepiej. Posyłają jej całusy.

– Anarchia rządzi! – drę się. Trochę mi smutno, że nie krzyknąłem „kurwa rządzi”.

Bramkarka drużyny mojej młodszej siostry jest strasznie wkurzona. Chwyta jej szorty i ciągnie w dół.

Na moją siostrunię nie się patrzy się zbyt fajnie. Przypomina krzyżówkę muppeta z czołgiem. A kiedy szorty owijają się wokół jej kostek, wygląda jeszcze gorzej.

Siostrzyczka wciąga szorty, po czym kopniakiem władowuje podeszwę swoich korków w odbyt bramkarki.

Dziewczynka wybucha płaczem. Nie lubi mieć korków w anusie.

Moja siostra jest wcieleniem zła, ale nadal ją Kocham. Mam genetyczną predyspozycję do Kochania mojej małej siostrzyczki, nawet jeśli jest ona wcieleniem zła. Mam także genetyczną predyspozycję do otyłości. Moja warunkowana genami otyłość jest odpowiedzialna za codzienne wciry zbierane w szkole. I za moją ksywkę, Grubas-Grub-Grub-Grub. Gdyby nie to, nie musiałbym wysadzać w powietrze mojego liceum.

Ojciec bramkarki patrzy ze wściekłością na moją siostrunię.

– Jesteś okropną istotą ludzką – mówi.

– Słuchaj, bracie! Nie nazywaj mojej córki okropną istotą ludzką! – odpowiada wuj.

Mój wujek do każdego mówi „bracie”. Chyba podkradł to Hulkowi Hoganowi. Może lubi wprawiać ludzi w zakłopotanie? No bo zwykle są zakłopotani, jak w miejscach

publicznych woła do mnie „bracie”. Zapewnie myślą sobie „Ależ jestem zakłopotany. Nie wiedziałem, że koleś jest bratem Arturka. Sądziłem, że to jego nowy ojczym. Czy on jest jednocześnie nowym ojczymem ORAZ bratem Arturka? Czy to w ogóle możliwe? W tym jest coś niemoralnego. Anarchia kurwa rządzi, czyż nie?”

Matka bramkarki nazywa mojego wujka głównianym ojcem.

Moja mama wyjmuje butlę megapikantnej musztardy z saszetki, podchodzi do tamtej baby i wyciska dwie porcje prosto w jej gardło.

Matka bramkarki krzyczy.

Jej mąż ściąga mojej mamie spodnie.

Wujek podchodzi do niego i obala go przy pomocy chwytu piledriver.

Ojciec bramkarki leży teraz nieprzytomny.

Matka bramkarki jest przewściekła. Łapie mojego wuja za wąsy w stylu Fu Manchu i ciągnie.

Fatalna w warunkach ringu wrestlingowego ułomność mojego wuja sprawia, że wyje z bólu.

Rodzice konkurujących ze sobą drużyn piłkarskich obserwują konfrontację. Wyglądają na zakłopotanych. Wyglądają na wykluczonych. Wymachują pięściami i biegną przez boisko. Tratują kilkoro dzieci. Albo tego nie zauważają, albo gównem ich to obchodzi.

Rodzice drużyny mojej siostry wyglądają na lekko przestraszonych. Podnoszą składane krzeselka plażowe i ruszają do ataku.

Młodociane piłkareczki wrywają kępki trawy z gleby, gonią za motylami, przewracają się o gałę, nazywają swoje przeciwniczki obleśnymi cipami, krzyczą podczas ucieczki przed piłką i kopią ją do własnej bramki.

Maszeruję pośród chaosu. Uśmiecham się. Robię zdjęcia. Tupię. Gwiżdżę. Unikam lecących ku mnie krzesłek plażowych.

Czuję jak łza spływa mi po policzku.

Wspaniała anarchia sprawiła, że pomyślałem o moim prawdziwym tacie. Umarł w zeszłym roku.

Odszedł z tego świata podczas zamieszek na meczu piłki nożnej dla dzieci. Było dokładnie tak jak teraz, tylko że rodzice przeciwnej drużyny atakowali naszych stłuczonymi butelkami po piwie. Matka dziewczynki, którą analnie spenetrowała moja siostra, była jedną z nich.

To ona wwierciła zbitą butelkę po piwie w mózg mojego ojca.

Czuję się trochę niewyraźnie, bo powiedziałem, że mecze dziecięcej piłki nożnej kurwa rządzą. Mecze dziecięcej piłki nożnej wcale kurwa nie rządzą.

Kurwa ssą pałkę.

Prawdziwi anarchiści nie płaczą. Chciałbym umieć powstrzymać łzy, ale naprawdę brakuje mi brody w stylu ZZ Top, którą miał mój tata.

Przeład Marek Grzywacz

DARIUSZ BARCZEWSKI

POGADKA Z ...

Logo programu „Historie najprawdziwsze, czyli pogadka z...”, przebitka na jakieś kawalki ze starych odcinków (między innymi z kultowego numeru z kobietą-wielorybem), odrobina muzyki (być może skomponowanej przypadkowo) i statyczny kadr przedstawiający twarz prezenterki. Przyklejony silikonowy uśmiech, ślad pędzla makijażystki, świetna robota stomatologa. Od dołu natchalnie atakują dwie półkule biustu i lokalny rów mariański pomiędzy nimi.

Burzliwe oklaski z offu (nowy remix).

Muzyka cichnie.

Głos.

– Dzisiaj prezentujemy państwu wywiad z Janem Perliczką, właścicielem, założycielem i głównym macherem bijącego rekordy popularności przedsiębiorstwa rozrywkowego „CelebS-hit”.

Cięcie.

Reklamy (przez ekran przelatuje uśmiechnięte coś przypominające skrzyżowanie pingwina z wibratorem).

Proszek, płyn do naczyń i jeszcze raz proszek, tym razem do nosa. Krótka zapowiedź „Filmogwoźdźcia weekendu” („Zabójcza broń 0,5” – ciągle na czasie! Za tydzień „Kevin sam w przebieralni 7”). Wreszcie ogłoszenie w ramach

kampanii społecznej („oglądając reklamy wspierasz kogo trzeba, kiedy trzeba i jak trzeba”).

Koniec reklam (smutny wibropingwin wskakuje do zbiornika ciekłego azotu).

Dżingiel i studio.

Niebieskie ściany, sporo szkła, nowoczesny stolik i dziwna, zapewne bardzo niewygodna kanapa. Siedzi na niej – trzymając fason – słynna prezenterka Joanna Łatwa. Elegancka garsonka, nieco zbyt długa spódniczka, spod której wychylają się nagie uda mierzące nieco poniżej pępka zasiadającego obok Jana Perliczki. Biznesmen przyszedł do studia ubrany w swój standardowy strój: topowe jeansy z dziurą (dzisiaj tuż obok krocza), biały t-shirt z logiem firmy (wymyślonym przez prezesa po podstawówce i gorliwie wychwalanym przez pełzających po podłodze gości od marketingu) i hasłem „Jestem bogaty, a ty?” oraz czarna, jedwabna marynarka, która wygląda jak wyrwana z gardła psu. Strój błyszczący, widocznie psia ślina jeszcze nie wyschła.

Joanna Łatwa odczekuje pięć sekund, w trakcie których przypadkowo, ale płynnie i z wyuczonym wdziękiem odgrywa sztukę z ukazującą się i znikającą bielizną, po czym uśmiecha się do Jana Perliczki i rozpoczyna rozmowę. Ma do wypełnienia pięć minut przerwy pomiędzy reklamami (wibropingwin gdzieś tam czeka – smutny, jednak pełen nadziei).

– Panie Janie, czy mógłby pan przybliżyć nam ideę swojej firmy?

– Ideę? – Jan Perliczka ma głos piętnastolatka. Dzięki technikom w studio jego tembr jest miły dla ucha.

– No, tak – lewa noga wędruje na prawą, a może na odwrót: kwanty się gubią pomiędzy oczkami pończoch i nie ma się co im dziwić.

– A jak przybliżyć? – kamerzysta wylapuje potencjalnie inteligentny grymas na twarzy mężczyzny. Potencjalnie.

– No, w sensie – uśmiech nr 3 – powiedziec coś o niej. O firmie.

– Tak, oczywiście. A więc – Perliczka przykleja wzrok pół metra na prawo od kamery, być może ma tam prompter – jesteśmy firmą w branży rozrywkowej. Dostarczamy rozrywki.

– Jak na firmę rozrywkową przystało – uprzejmie dopowiada Joanna.

– Słucham?

– No, że dostarczacie rozrywki jak na firmę rozrywkową przystało – uśmiech nr 3. Moment później nr 6. Nie, jednak 2. I jeszcze raz 3. Tak, ten zostanie na dłużej. Jest najlepszy. Warto go ćwiczyć.

– Aaa... no tak, faktycznie. Wie pani, nigdy na to nie spojrzałem w ten sposób, ale coś w tym jest.

– Wspaniale, cudownie. Pana firma zajmuje się celebriowaniem. Właściwie to powiedziec, że się zajmuje, jest wielkim niedopowiedzeniem. Uchodzi pan za twórcę tej bardzo obiecującej gałęzi przemysłu rozrywkowego. Pojawiły się już porównania pańskiej osoby ze Stevem Hobsem, a nawet Markiem Sugarbergiem.

– Z kim? – wyraz zagubienia na twarzy Jana Perliczki, kamera szybko przeskakuje z powrotem na Joannę, która ćwiczy uśmiech.

– Dokładnie! – wykazuje się refleksem prezenterka. – Czy może nam pan zdradzić, skąd się wziął pomysł na celebriowanie?

– Hmm... właściwie, to czemu nie. To było jakieś dwa lata temu, co się do mnie zgłosił Edmund Nietwardy, no i on...

– Właśnie, Edmund Nietwardy, *(niebieski pasek na dole ekranu, na który wypelza szybkie wyjaśnienie: założyciel*

TV Niewiem oraz udziałowiec siedemnastu krajowych stacji radiowych, w tym jednej, która od dwunastu lat nie uzyskała jeszcze koncesji i nadaje jedynie podprogowe apele o nadprogowe wpłaty na konto Nietwardego, a w godzinach nocnych także na konto jego sekretarki podejrzewanej o romans z...), zwrócił się do pana z prośbą o rozwiązanie problemu nadmiaru celebrytów.

– Ekhm... to niezupełnie było tak. Ale faktycznie. Edmund zadzwonił, no i...

– Edmund Nietwardy powiedział panu przez telefon... cytuję... Janie, do [cenzura] nędzy, zrób coś z tymi, no, [cenzura] celebrytami. Jeden [cenzura] dobrał mi się do barku i wypił whiskey, co to je przywiozłem z Irlandii, jeszcze z czasów pracy na zmywaku. [Cenzura], [cenzura]. [Cenzura].

– Tak. Choć, chyba stwierdził...

– Przypomnijmy telewidzom, że rozmowa odbyła się trzy lata temu, w pamiętnym roku 2012, który zgodnie z odnalezioną i ponownie zaginioną przepowiednią scenetologów, miał przynieść apokalipsę celebrycką. Autorzy wizji zawartej w księdze o nazwie „Purpurowe odloty” wykazali się wyjątkowo trafnym przewidywaniem przyszłości, choć skala zdarzeń zaskoczyła nawet ich samych. Latem roku 2012 odnotowano przerażający przyrost ilości celebrytów, a już jesienią, praktycznie na całym świecie, osiągnięto bezprecedensowy stosunek dwóch celebrytów na jednego nie-celebrytę, co sama ONZ uznała za, cytuję, „najpoważniejszy problem, przed którym stanęła ludzkość od czasów ostatniej wojny i kilku wcześniejszych też”. Z kolei Światowa Organizacja ds. Żywności alarmowała, że taka plaga celebrytów może doprowadzić do szybkiego wyczerpania zapasów w sieciach fast foodów, jeśli szyb-

ko nie zostaną wdrożone odpowiednie środki. Greenpeace nie zgodziła się na wycięcie ostatniego lasu deszczowego (*niebieski pasek, z opóźnieniem, jakby z wahaniem: właściciel wie to parku*) i nasz gatunek stanął wobec widma głodu. Wtedy pojawił się pan.

– Tak. Ale z tym stosunkiem z dwoma celebrytami to właściwie nic niezwykłego. Znam kogoś, kto nawet robił to z...

– W roku 2012 światowa gospodarka nastawiona była głównie na produkcję celebrytów – prezenterka gładko podjęła myśl gościa – i nie było możliwości przerwania ich wyrobu. Proces celebrytyzacji dużo wcześniej wymknął się spod kontroli i pozostawał poza wszelką kontrolą, wykazując przy tym cechy reakcji łańcuchowej. Pan zaproponował, aby zamiast przerywać produkcję celebrytów, co mogłoby silnie uderzyć w globalną ekonomię, po prostu zastosować celebrytyczny recykling. Stąd celebriting.

– Nazwę wymyśliła moja...

– Przypomnijmy. Celebriting to polowanie na celebrytów w realiach miejskiej dżungli (*niebieski pasek: z braku innych dżungli*). W wersji testowej uczestnicy zabawy dostawali karabiny maszynowe i wyrzutnie granatów, a idea rozgrywki polegała na grupowym ściganiu i eliminowaniu celebrytów. Wygrywała ta drużyna, która zaliczyła najwięcej, cytat, fragów.

– Bo mój syn to jak kiedyś...

– Pomysł chwycił praktycznie z dnia na dzień. Już pierwsze transmisje przyciągnęły przed telewizory, komórki i garnki (*niebieski pasek: jeśli chcesz nabyć komplet nowoczesnych, odporo-odpornych garnków z ekologicznej stali polerowanej ręcznie przez umierające z nudów gospodynie domowe, dzwoń...*) ogromne rzesze widzów, a w drugim tygodniu nadawania „CelebS-hit” był najczę-

ściej oglądanym widowiskiem na świecie, zaraz przed mszą świętą (*niebieski pasek: ze szczególnym uwzględnieniem kazań o dziele szatana, jakim są reklamy bielizny*) i reklamami bielizny (*niebieski pasek: ze szczególnym uwzględnieniem tych, które zostały wskazane przez kościół*). Do dzisiaj, w ramach dwóch sezonów „CelebS-hit” nie tylko zredukowano pogłowie celebrytów o niemal trzy czwarte, ale i stworzono podwaliny pod całkowicie nowy, kulturalny typ rozrywki medialnej. W trzecim sezonie, który właśnie trwa, ze względu na pojawiające się ograniczenia w dostępie do celebrytów (*niebieski pasek: jeśli chcesz, aby Joanna Łatwa została nominowana w nowym odcinku „CelebS-hit”, wyślij sms...*), wprowadził pan nieco zmienioną formułę programu.

– Uznaliśmy, że skoro...

– Nowa formuła programu „CelebS-hit e-light” przeniosła ciężar z potyczek grupowych na zmagania indywidualne. Zamiast stu uczestników, podzielonych na dziesięć drużyn, w akcji uczestniczy jedynie dwunastu samotnych graczy. Zmianie uległ także asortyment środków, które mają pod ręką.

– No bo Ruskie podnieśli ceny na...

– W miejsce widowiskowych materiałów wybuchowych i broni masowego rażenia, wprowadził pan narzędzia zmysłowe. Nóż, garota, sidła i łuki z zatrutymi strzałami to kolejny wspaniały – *nomen omen* – strzał w dziesiątkę. Statystyki potwierdzają, że program nie tylko ugruntował pozycję lidera, ale i znokautował sam siebie. A to jeszcze nie wszystko, prawda?

– Tak. A więc, korzystając z okazji, chciałbym...

– Dziękujemy za przypomnienie i za możliwość przedstawienia widzom pańskiego nowego pomysłu właśnie

teraz. Tutaj. Na naszej antenie! – Rów mariański pomiędzy pierściami Joanny zaczyna się spazmatycznie kurczyć i rozszerzać, w miarę jak tętno prezenterki uderza w szaleńczy taniec. – Wiemy, że czwarty sezon będzie prawdziwą rewolucją. Tym razem bowiem obiektem polowań będą... tak, właśnie tak: bohaterowie poprzednich odcinków cyklu, którzy dzięki uczestnictwu w tym wspaniałym show, sami stali się celebrytami. Znamy już tytuł czwartej serii, będzie on brzmiał „CelebS-hit Ostatnie Przetarcie”.

Joanna Łatwa zastyga w bezruchu. Jest jej dobrze, doszła do finału. Widownia klaszcze, ale największe brawa padają z offu (ten sam remix co poprzednio – jest kryzys, nie można szaleć).

Prezenterka uśmiecha się do Jana Perliczki.

– Panie Janie, dziękuję panu za pojawienie się w naszym studio i wyczerpujące wypowiedzi. Nasi widzowie głosują właśnie w systemie sms i mam podgląd na statystyki, z których wynika, że nie tylko zrobił pan na nich doskonałe wrażenie, ale i bardzo spodobał się pański krawat oraz ostatnio dodane zdjęcie na Twarzbooku. Pozostaje mi pogratulować panu i zapytać, czy nie chciałby pan jeszcze czegoś dodać?

– Chciałbym, a więc...

Kamera odjeżdża. Widać widownię, która klaszcze (niektórzy jedną ręką), głos niknie stopniowo i po chwili zanika zupełnie. Znowu pojawia się Joanna Łatwa, która uśmiecha się wprawdzie do Jana Perliczki (biznesmen coś mówi, widać ruch jego ust, lecz nic nie słyhać), ale swoje wspaniałe uda kieruje już w zupełnie inną stronę, ku nowemu gościowi i nowym wyzwaniom.

KAROL MITKA

DIPAKABRA

I

Kiedy stanąłem przed drzwiami jego mieszkania, poczułem się jak nastoletni gówniarz, który ma za chwilę spędzić pierwszą noc z dziewczyną. Chociaż nie jestem gejem, po kroczu przeszły mi ciarki, a serce zaczęło walić jakby miało zamiar wyskoczyć z klatki piersiowej i popędzić het, het w dal, żegnając się ze mną uniwersalnym gestem języka migowego, rozumianym wszędzie.

Ale nie ma się czemu dziwić. Z detektywem Egonem Scheisswurstem widziałem się ostatnio kilka ładnych lat temu. Po tym, jak rozwiązaliśmy zagadkę pluszowych misiów, moczących się punktualnie o północy stężoną antymaterią, doznał ciężkiego załamania psychicznego i wyjechał do Tybetu, aby pod czujnym okiem samej Dalaj Lamy przywrócić harmonię swemu ciału oraz umysłowi.

Wrócił przed tygodniem, o czym poinformował mnie za pomocą gołębi pocztowych. Tłuste śmierdziele wysrały na moim parapecie krótką wiadomość alfabetem Morse'a z prośbą o pilne spotkanie.

Drżąc z przejęcia dłonią zapukałem. Najpierw raz, potem drugi i trzeci. Zaniepokojony brakiem odzewu, przystawiłem ucho do drzwi. Dochodziło zza nich ciche postękiwanie,

przywodzące na myśl zakneblowanego, skrępowanego sznu-rem człowieka, próbującego wyswobodzić się z więzów.

Potężnym kopniakiem z półobrotu, którego nauczyłem się od znajomej imigrantki z Szanghaju – byłej kochanki Chucka Norrisa, utorowałem sobie drogę do środka. Wydobyłem z nogawki spodni składanego panzerfausta, noszonego na wypadek takich właśnie niespodziewanych sytuacji i chyłkiem ruszyłem w stronę salonu, skąd dobiegały coraz głośniejsze i coraz intensywniejsze jęki.

Powietrze przesycił aromat kadzideł. Obserwowany przez wiszące na ścianach wizerunki dalekowschodnich bóstw, wkroczyłem do zadymionego pokoju, gotowy rozwalić na kawałki każdego, kto mógłby zagrozić życiu lub zdrowiu Egona.

To co ujrzałem sprawiło, że szczęka opadła mi do samiotkiew podłogi, a żołądek skotłował się w opętańczym tańcu i wypuścił tłamszonego od rana pawia, na którego wielobarwny ogon składała się nie do końca przetrawiona kanapka z pasztetem oraz pomidorem, zalana małą czarną z dodatkiem łyżeczki cukru.

Detektyw Egon Scheisswurst unosił się jakieś pół metra nad podłogą z nogami splecionymi w pozycji kwiatu lotosu. Nagi, zgięty w pół, sam sobie obciążał. Jego głowa poruszała się w górę i w dół z prędkością igły w maszynie do szycia, a ciałem wstrząsały orgazmiczne spazmy. Sperma, którą łykał głośno gulgocząc, wyciekała mu z odbytu na zdobiący podłogę perski dywan, niczym kakaowo-śmietankowa masa z maszyny do lodów włoskich. Samozaspokajające się perpetuum mobile.

Zauważył mnie dopiero po dłuższej chwili. Powoli spłynął na ziemię, ostrożnie omijając ekskrementy, i ruszył w moim kierunku.

Obrzuciłem go badawczym spojrzeniem. Praktycznie w ogóle się nie postarzał. Rzekłbym wręcz, że odmłodził. Siwe niegdyś włosy nabrały intensywnej, kruczoczarnej barwy. Kończyny, niegdyś powykręcane przez reumatyzm jak gałęzie wiekowego dębu, wyprostowały się, a penis, wiecznie sflaczały i wiotki, stał twardo niby maczuga Herkulesa obok zamku w Pieskowej Skale.

– Witaj Doctore! – rzekł radosnym głosem.

– Witaj, Egonie – odparłem, wycierając rękawem koszuli resztki rzygowin z kącików ust. – Przepraszam, że przetrwałem ci... eeee... relaks.

– Nie przejmuj się tym, drogi przyjacielu. Czyż wiatr zamartwia się, kiedy zdmuchnie z liścia kopulujące biedronki? Prawa kosmosu są wieczne i niezmiennie, a ty miałeś niepowtarzalną okazję ujrzenia tajemnego ćwiczenia medytacji Zen, pozwalającego przeżyć jedynie dzięki spożywaniu własnych płynów ustrojowych. Ale, ale, nie poprosiłem cię o przybycie, żeby demonstrować ci czego nauczyłem się od mieszkających w odludnych górach lam. Sprawa jest dużo pilniejsza. Zanim jednak przejdziemy do rzeczy, zrobię nam obu herbaty.

Usiadłem na skrzypiącej sofie, tyłem do zalegającego na środku pokoju, pozwijanego jak drzemiący wąż stolca.

Scheisswurst tymczasem zniknął w kuchni. Wrócił po paru minutach, okryty puchatym szlafrokiem przyozdobionym różnokolorowymi dinozaurami, z dwoma filiżankami herbaty. Postawił je na stoliku, po czym usadowił się w bujanym fotelu.

Pociągnąłem łyk napoju i natychmiast wyplułem go na podłogę. Był niemożliwie słony, a w dodatku cuchnął szczynami. Egon trzasnął mnie otwartą dłonią w plecy, abym czasem się nie zakrztusił i zamoczył język w zawartości filiżanki.

– Wszystko stało się jasne, niczym oświecona mądrość samego Buddy – rzekł wzniośle. – Przez nieuwagę pomyliłem naczynia i zamiast wyciągu z owoców dzikiej róży, uraczyłem cię własną uryną. Wybacz mi to okropne niedopatrzenie.

– Tak, nie szkodzi... – wydukałem, z trudem powstrzymując mdłości. – Powiedz lepiej, dlaczego twoi pierzaści wysłannicy zapaskudzili mi cały parapet.

– Przedwczoraj sprawiedliwe zrządzenie losu, wysuwające się bezszelestnie z pomiędzy stron kronik Akaszy, sprawiło, iż skontaktował się ze mną mój bliski znajomy, Teres Orłowski. Jest zarządcą obozu w Oświęcimiu. Jakieś rozterki trapią jego nieszczęsną duszę, lecz nie chciał zdradzać szczegółów przez telefon. Błagał tylko, abym czym prędzej przybył się z nim rozmówić.

– Ale co ja mam z tym wspólnego? – spytałem, choć dobrze wiedziałem, że Scheisswurst pragnął, abym towarzyszył mu, jak za starych, dobrych czasów. Świadczył o tym szelmowski błysk w oczach detektywa. Uśmiechnąłem się szeroko, gotowy wyruszyć za przyjacielem choćby na koniec świata.

Egon także wyszczerzył białe jak śnieg zęby i, nic nie mówiąc, wcisnął mi w dłoń bilet autobusowy do Oświęcimia.

II

Wyruszyliśmy, zanim słońce choćby na milimetr zdążyło wychynąć nad linię horyzontu. Pomimo wczesnej pory, w autobusie prowadzonym przez pijanego kierowcę pano-

wały duchota i ścisk jak w puszcze sardynek, do której ktoś przez pomyłkę wepchnął podwójną porcję ryb.

Spoceni ludzie o ponurych twarzach i nieobecnych spojrzeniach sprawiali wrażenie posągów, chorych na znieczulicę. Nie odezwali się nawet słowem, gdy podczas gwałtownego skrętu jakaś tłusta baba straciła równowagę i przygniotła do szyby kilkuletniego chłopczyka z taką siłą, że jego główka pękła pod naporem, a kawałki mózgu zbryzgały stojących najbliższej pasażerów.

Bury ratlerek zapamiętałe kopulował z butem łysego karka, zdobiąc powierzchnię glana cienkimi wstęgami lepkiego nasienia do momentu, aż koks nie wytrzymał i zdeptał psinę jak karalucha. Zrozpaczona właścicielka, pomarszczona damulka odziana w futro z norek, potraktowała mordercę stężonym Cyklonem B w sprayu, zupełnie nie przejmując się faktem, że przy okazji zagazowała kilka przypadkowych osób.

Gdy wreszcie dotarliśmy do celu, odetchnąłem z ulgą. Wydawało się, że Egon również poczuł się lepiej. Głęboko wciągał powietrze nosem i wypuszczał ustami, delektował się aromatami dżungli, na skraju której wysiedliśmy.

– Spójrz – powiedział. – Ten tropikalny las otoczony drutem kolczastym posadzono tutaj specjalnie, aby nikt nie zdołał uciec z obozu. Zamieszkują go istoty tak straszne, że potęga Ozyrysa błędnie przy nich niczym gasnący ogarek przy blasku karbidowej latarni.

Faktycznie, pomiędzy drzewami przemykały nadnaturalnych rozmiarów pantery, z pewnością za małością faszzerowane środkami pobudzającymi rozrost masy mięśniowej; gigantyczne lwy o grzywach tak bujnych, że chodząc potykały się o nie; oraz mamuty, ściskające w trąbach obosieczne topory. Obok stawu wypełnionego fosforyzu-

jąca na zielono wodą pełzały skrajnie agresywne kraby, lustrujące otoczenie świecącymi na czerwono ślepiami. Wśród trzcin porastających brzeg akwenu rechotały mięsożerne żaby rozmiarów osła, tylko czekające na jakiegoś zbiega, mogącego posłużyć za drugie śniadanie.

Po chwili na niknącej w gąszczu ścieżce pojawił się przedziwny pojazd. Drewniana karoca, jakby żywcem wyjęta z filmu o Trzech Muszkieterach, ciągnięta przez czterech nagich Żydów, którzy zamiast rąk mieli doszyte nogi. Siedzący na dyszlu woźnica ścisnął w dłoniach wędkę z zawieszonym na haczyku plikiem banknotów. Machał tym zwitkiem przed twarzami Judejczyków, a ci z błyskiem w oczach pędzili po niego, niczym osły po marchewkę. Tym sposobem zmuszał ich do wydajniejszej pracy.

– Witajcie panowie – zagaił, zatrzymując karetę obok nas. – Pan Orłowsky pozdrawia i zaprasza. Nie obawiajcie się. Zwierzęta, które z pewnością widzieliście, nic złego wam nie uczynią. Mają w mózgach zakodowany zakaz zbliżania się do powozu.

– Dzięki ci, szlachetny dżentelmenie – odparł Scheiswurst i skłonił się nisko. – Oby to wcielenie było dla twej duszy ostatnim przystankiem przed oświeceniem.

Usadowiliśmy się wewnątrz pojazdu, na obitych czarną skórą fotelach. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że należała ona niegdyś do istot ludzkich, ale wolałem nie dzielić się z Egonem moimi podejrzeniami.

Drogę do obozu pokonaliśmy w milczeniu, każdy zamknięty w klatce własnych myśli. Dopiero, gdy naszym oczom ukazały się potężne stalowe wrota, nad którymi błyszczał podświetlany napis „Arbeit macht frei”, nie wytrzymałem i zapytałem Egona o szczegóły dotyczące tego miejsca.

– Pan Orłowski wszystko ci wyjaśni – rzekł tylko detektyw, uśmiechając się tajemniczo.

Tak dokładnej kontroli przy bramie jeszcze nie przechodziłem. Uzbrojeni w karabiny maszynowe goryle prześwietlali nas rentgenem, potem przeprowadzili badanie per rectum, a na koniec dwie miłe panie pobrały próbki moczu, spermy oraz kału. U mnie trwało to jakiś czas, za to Egon załatwił się isticie błyskawicznie. Po prostu zdjął majtki i oddał je laborantce.

Ja miałem problem z ukrytym w nogawce panzerfaustem, gdyż panowie ochroniarze za żadne skarby nie chcieli mi go oddać. Sytuacja wyjaśniła się dopiero, kiedy zza stróżówki wyszedł elegancko ubrany, tęgawy mężczyzna, na oko po czterdziestce. Naubliżał podwładnym i rozkazał przepuścić nas bez żadnej dyskusji.

Następnie serdecznie wyprzytulał się z Scheisswurstem, a mnie uścisnął dłoń.

– Jestem Teres Orłowski, dyrektor obozu. Miło mi pana poznać.

– Doctore – przedstawiłem się.

– Twoja aura świeci jak nigdy. Czyżbyś znów zmienił żonę na młodszą? – zagaił Egon, wpatrując się w Orłowsky'ego.

Teres nieco poczerwieniał.

– Właściwie to nie do końca. Widzisz, moja Aurelia ciężko zachorowała. Rak zmierzły z przerzutami. Ledwo ją odratowałem. Przeszczerpiłem jej większość narządów od co zdrowszych niewolników, więc w zasadzie tylko ciało pozostało to samo. Wewnątrz jest przekładańcem.

– A mózg? – spytałem z ciekawości.

– Mózg? – Zdziwił się Orłowski. – A po chuj jej mózg? Ma nogi rozkładać, a nie myśleć. Jest podłączona do apa-

ratury podtrzymującej świeżość organizmu. Kilka mikro-procesorów kontroluje podstawowe czynności, takie jak bicie serca czy wilgotność pochwy. A specjalny moduł sprawia, że na komendę głosową obciąga i wypina tyłek.

– Rozumiem. A, jeśli można wiedzieć, kogo przetrzymujecie w tym obozie? Pan wybaczy moją ciekawość, ale Egon nie raczył zapoznać mnie ze szczegółami problemu.

– Ależ oczywiście, drogi panie Doctore! Wszystko panu wyjaśnię! – wykrzyknął, jakby snucie opowieści o tym miejscu sprawiało mu niesamowitą frajdę. – Przetrzymujemy tutaj nielegalnych imigrantów. Widział pan ostatnio na ulicy jakiegoś żebrzącego Cygana, Rumuna czy Azjatę?

– No, nie... – mruknąłem.

– No właśnie! Wszyscy oni, cały ten jebany margines społeczny, ta kurewska zaraza, trafiają tutaj. Do Oświęcimia. Za cichym pozwoleniem rządu zgarniamy ich po kryjomu z ulic, parków, spod mostów. Pacyfikujemy i zmuszamy do niewolniczej pracy! No niech pan sam, panie Doctore, pomyśli. Jaki jest pożytek z Cyganki, siedzącej koło targu, okładającej po ryju własne dziecko, żeby głośniej płakało i żeby ludzie z powodu tego płaczu dawali jej pieniądze? No jaki? A ja panu powiem jaki! A żaden, kurwa! Żaden! Egzystencja tej kobiety jest gównem warta! Jak cipa nie zdechnie z głodu, to zatrzaśnie ją mąż, bo za mało papierków przyniosła. A my nadajemy jej życiu cel. Tutaj będzie zapierdalać ku chwale narodu! Przy okazji wyprostujemy jej skrzywione myślenie. Zrozumie, że w życiu nic nie ma za darmo! Albo, panie Doctore, taki Murzyn, co to nawiał z Ukulele, czy innego trzeciego świata. Jaki u nas z niego pożytek? Jak go skini nie zajeżdżają, to auto przejedzie, bo jak przez drogę przechodzi, to go od nawierzchni odróżnić nie idzie. A u nas ma szansę

wyjsć na prostą, przyczynić się do czegoś. Pokazać, że jest coś, kurwa, warty. Może tyrać w polu, może zrywać owoce w sadzie, może, kurwa, nie wiem, paść krowy... Opcjonalnie, jeśli wpadnie w oko doktorowi Elemengele, ma szansę zostać zmodyfikowany genetycznie i robić na przykład za psa strażniczego, lub, jak Żydzi, którzy was tu przywieźli, za konia. Jak umrze, to też się przyda. Z jego skóry zrobimy obicie na fotel czy kanapę. Rozumie pan, Doctore, moje motywacje?

– Ekhm, tak, dziękuję za szczegółowe ich nakreślenie – wydukałem, ocierając twarz ze śliny Orlowskyego, który mówił z taką pasją, że całego mnie opluł.

– Drogi Teresie – wtrącił się Scheisswurst. – Wewnętrzna intuicja podpowiada mi, iż powinniśmy przemieścić nasze jestestwa w jakieś ustronne miejsce i porozmawiać o dręczących cię kłopotach.

– Tak, przepraszam – rzekł nieco już spokojniejszy Orlowsky. – Chodźcie ze mną, pokażę wam, co się tutaj ostatnio wyprawia.

III

Korzystając z okazji, Teres oprowadził nas po obozie.

Mijaliśmy pola, na których pracowali Cyganie. Kobiety i mężczyźni orali ziemię gołymi rękoma, a spasieni dozorcycy uzbrojeni w kolczaste pejcze co jakiś czas wstrzykiwali im w przedramiona morfinę, by nie czuli bólu, kiedy zedrą sobie skórę na kamieniach. Za robotnikami podążali przykucnięci Azjaci. Do pleców mieli przytwierdzone specjalne pojemniki wypełnione miksem paszy przemy-

słowej, środka przeczyszczającego oraz słomy. Poprzez specjalny przewód mieszanka trafiała do ich żołądków, które doktor Elemengele zmodyfikował tak, aby trawiły pokarm stukrotnie szybciej. Przyspieszył też perystaltykę jelit, co spowodowało nieprzerwane wypróżnianie się skośnookich, a w efekcie umożliwiło bezustanne nawożenie gleby naturalnym obornikiem.

Na ciągnących się po horyzont łąkach, nadzy Murzyni zrywali w pełnym słońcu liście Barszczu Sosnowskiego, służące do produkcji trucizn, używanych później w LARPach.

W ogromnych halach trzy potężne maszynki do mięsa miały ciała zmarłych niewolników, a setki Rumunów pakowały powstałą masę do wiader. Potem produkt przyprawiano, gotowano i podawano w obozowej stołówce. Tym sposobem nakłady na wyżywienie kadry pracowniczej malały do minimum.

Funkcjonował tu również internetowy sklepik z narzędziami oraz bimbrownia, w której pędzono cydr z wyskrobanych płodów.

W końcu Orłowski zaprowadził nas na skraj obozu i wskazał palcem zarośla. Podeszliśmy bliżej.

Leżący w krzakach Murzyn wyglądał okropnie. Wylupane oczy, wylewające się z rozerwanego brzucha jelita oraz rana pomiędzy nogami nosząca ślady kłów świadczyłyby o ataku dzikiego zwierzęcia. Świadczyłyby, gdyby nie kilka symboli wrytych ostrym narzędziem na czole denata – swastyka, krzyż skinowski, napis „white power”.

Egon uklęknął przy trupie i wepchnął mu rękę w bebechy. Grzebał chwilę, mrużąc coś pod nosem. Następnie dokładnie obwąchał zwłoki, wykonał nad nimi kilka tajemniczych gestów, a na koniec spróbował przywrócić je do życia za pomocą reanimacji metodą usta-usta.

– Mam bardzo złe wieści – rzekł w końcu. – Człowiek ten z niewiadomych powodów posiadał dwa wyrostki robaczkowe, ale co gorsza, jego dusza opuściła to skalane mutacją ciało i udała się w podróż do światłości. Zatem nie powie nam już co sprawiło, iż zaległ tutaj, naznaczony piętnem rasowej nienawiści.

– Kurwa mać! – zirytował się Orłowski. – Egonie, panie Doctore, to już piąty czarny niewolnik w tym tygodniu zakatowany w podobny sposób. Jeśli tak dalej pójdzie, nie będzie miał kto zbierać liści Barszczu Sosnowskiego i LARPowcy zerwą umowę. Chuj by strzelił!

– Spokojnie, mój drogi – odparł Scheisswurst, klepiąc przyjaciela po ramieniu. – Nie ma zagadki, której duet Egon-Doctore nie potrafiłby rozwikłać. Będzie to zapewne trudne niczym rozsypywanie marynarskich węzłów związanych na krowich wymionach czarnobyłskiego byka, ale podołamy, podołamy.

Twarz Orłowsky’ego rozpromienił szeroki uśmiech.

– Czuję, że mogę na ciebie liczyć, druhu. Znajdźcie zatem tego skurwysyna, a najlepiej przeróbcie na kupę gówna, żebym mógł nawozić nim pola uprawne. Ha! Ha! Ha! – rzekł zarządca z radością w głosie, po czym odszedł, zostawiając nas samych.

– Co o tym myślisz, Doctore? – zapytał Egon, drapiąc się po rowie.

– Według mnie powinniśmy porozmawiać z personelem. Może ktoś widział lub słyszał coś podejrzanego. Znaki na głowie tego nieszczęśnika świadczą o działaniu celowym, podyktowanym stricte rasistowskimi pobudkami. Kto wie, czy nie działa tu tajna sekta neonazistów, albo Ku Klux Klan.

– Słowa wypływające z twych ust brzmią mądrze jak

prawdy objawione na górze Synaj. Skierujmy więc nasze kroki ku blaskowi poznania.

Egon ruszył w kierunku stojącej nieopodal stróżówki. Podążyłem za nim, analizując w myślach całą tę sytuację.

Siedzący za biurkiem strażnik zachowywał się co najmniej dziwnie. Nieświadom niczyjej obecności, zapamiętale dłubał w nosie, a wydobyte śpiki formował w cudaczne figury geometryczne i ustawiał w równych rzędach na blacie, mamrocząc przy tym niezrozumiale.

Kiedy nas spostrzegł, panicznym ruchem ręki zgarnął wszystkie rzeźby na podłogę, stanął jak wryty, rozdziawił usta i wlepił w nas tępe spojrzenie. Z rysów jego twarzy wywnioskowałem, iż cierpiał na przynajmniej debilizm. Albo downa, jeśli nie coś gorszego. Świadczyło o tym płaskie, wysokie czoło zajmujące niemal połowę lica oraz skośne oczy i krzywy zgryz. Miał na imię Maciej, co wyczytałem z przypiętej do munduru plakietki.

– Dzień dobry, panie Macieju – zagailem, łudząc się, że zdołam wciągnąć go w konwersację.

Niestety, nie odezwał się ani słowem. Pomachałem mu dłonią, uśmiechając się dobrotliwie, ale i na ten bodziec nie zareagował. W końcu wyciągnąłem z kieszeni płaszcza stułotowy banknot i wcisnąłem mu za kołnierz, licząc, że na to właśnie czeka.

Zamiast mówić, zaczął histerycznie szlochać. Łzy wielkości odchodów królika spływały mu po nabrzmiałych policzkach, do tego dusił się i krztusił niczym dziecko pozabawione ukochanej pluszowej zabawki.

– Do stu piorunów – zachnął się niespodziewanie Scheisswurst. – Tym sposobem nic nie wskóramy. Drogi Doctore, po raz kolejny będziesz świadkiem zastosowania przeze mnie tajemnej techniki, przejętej od pewnej nie-

zwykle doświadczonej lamy. Z pomocą kosmicznych energii zinfiltrowała podświadomość tego człowieka.

Kiwnąłem głową na znak zgody. Egon podszedł do strażnika i zdzielił go pięścią prosto w skroń, a kiedy ten upadł, usiadł na nim i wbił mu kciuki w ślepią z taką siłą, że oprócz gałek ocznych na wierzch wypłynął też mózg. Detektyw zlizwał dokładnie galaretowatą substancję, po czym zapadł w głęboki trans.

– Jażń tej istoty została naznaczona straszliwym kalectwem – orzekł po wybudzeniu się. – Od wielu lat myślał tylko o jednym: kto odda mu pieniądze, skoro Rysiu nie żyje. Zapewne stąd tak niespodziewana reakcja na próbę przekupstwa. Zagrałeś na czulej strunie liry jego umysłu, Doctore. Nic tu po nas. Sugerowałbym spotkanie z doktorem Elemengele. Może on udzieli nam konkretniejszych wskazówek, co do horrendalnie irracjonalnych zdarzeń rozgrywających się w tym ośrodku duchowego marnotrawstwa.

IV

W drodze do laboratorium zaczepił nas dziwny, brodaty człowiek, odziany w poszarpaną kraciastą koszulę oraz dziurawe jeansy. Podążał naszym tropem, cały czas syzcząc półgłosem:

– Przeklęci! Jesteście przeklęci! Przeklęci! Ona was dopadnie! Ona was zniszczy! Przeklęci!

W końcu Scheisswurst nie zdzierzył. Złapał nieznajomego za fraki i potrząsała nim z ogromną siłą.

– Mów, skurkobańcu, kto nas dopadnie, albo jak Wisznu, Buddę, Ninurte, Astrid Lindgren, Pamelę Anderson

i Allacha kocham, tak cię załatwię, że twoja nieszczęsna dusza będzie błąkać się po wsze czasy nad brzegami Styksu, ruchana przez Charona w odbytu przy każdej próbie schylenia się. I wiesz co jeszcze? Uczynię cię cały czas schylonym!!!

– Cipakabra... - szepnął nieznajomy, po czym wyrwał się Scheisswurstowi i uciekł, rechocząc opętańczo.

– Cipakabra... – powtórzyłem, zafascynowany dziwnością tego słowa. – Cipakabra... Cóż to może być, Egonie?

Detektyw machnął ręką.

– Wymyśl szaleńca, jak mniemam. Jednak warto i o tym porozmawiać z doktorem Elemengele. Żaden trop nie powinien zostać zlekceważony, gdyż nawet z ziarna nieopatrnie rzuconego na suchy grunt może wykiełkować roślina.

Laboratorium doktora Elemengele okazało się być sporym kompleksem złożonym z kilku połączonych ze sobą, betonowych budynków. Sam doktor wyglądał jak żywcem wyjęty z głupawej kreskówki: niski, rudy, ubrany w biały kitel. Spoglądał na świat przez okulary w półokrągłych oprawkach i ponoć nigdy nie zdejmował fioletowych rękawiczek ze skóry bizona.

– To zaszczyt gościć panów w moich skromnych włościach – przywitał nas u progu. – Zapraszam do biura.

Aby tam dotrzeć, musieliśmy przejść przez kilka sporych wydziałów, więc mogłem na własne oczy ujrzeć, czym zajmuje się ten dość ekstrawagancki naukowiec.

Z zaciekawieniem obserwowałem zamkniętą w klatce hermafrodytkę z dwiema waginami. W jedną wkładała sobie własnego penisa, doprowadzając do zapłodnienia, a po trzydziestosekundowej ciąży z drugiej wypluwała

w pełni rozwiniętego noworodka, który od razu wpadał do specjalnej maszyny utylizującej. Wody płodowe odprowadzał niewielki kanał, wryty w podłodze.

– To efekt ubocznych prac nad przyspieszeniem ludzkiego metabolizmu – wyjaśnił Elemengele. – Udane ofia... eeee.... jednostki poddane modyfikacji z pewnością widzieliście na polach uprawnych. Ta tutaj jest mi dość bliska, z racji pokrewieństwa. Była moją piątą żoną, dlatego żał mi ją anihilować. Wyposażyłem jej pomieszczenie mieszkalne w niszczarkę, by nie utonęła w niemowlakach.

Doktor pracował również nad hybrydami, zainspirowany, jak sam mówił, mitami ludów starożytnych. Konie o ludzkich tułowiach pasły się na ogrodzonych drutem kolczastym łąkach, miniaturowe sfinksy fruwały wysoko pod sklepieniem hangaru, a sępy z ludzkimi głowami rozdziobywały pokryte wysypką truchła murzyńskich dzieci.

W końcu, po mozolnej wędrówce sterylnymi korytarzami, zasiedliśmy w wygodnych fotelach. Elemengele uraczył nas przepysznym ciastem oraz oranżadą w proszku, od wielu już lat nie produkowaną. Nie chciał jednak zdradzić gdzie ją zdobył.

– No więc, panowie, co was do mnie sprowadza?

– Cóż, słyszał pan zapewne o straszliwych morderstwach, jakie wstrząsnęły obozem? – zapytał Scheisswurst.

– Słyszałem, a nawet widziałem zwłoki... – odparł doktor, zerkając podejrzliwie raz na mnie, raz na Egoną. – Ale chyba nie myślicie, panowie, że mógłbym mieć z tym coś wspólnego?

– Ależ nie, skąd... – mruknął Egon. – Gdzież byśmy śmieli...

Nagle poderwał się gwałtownie z miejsca i wycelował palcem prosto między oczy Elemengele'a.

– Dlaczego więc twoja aura wskazuje na coś innego, ty zwyrodniały pomioście mocy nieczystych?! Mówi ci coś wyraz „Cipakabra”?!

Źrenice doktora rozszerzyły się. Nim zdążyliśmy choćby wziąć wdech, Elemengele wydobył z kieszeni pilota. Z uśmiechem satysfakcji na gębie wduśił czerwony guzik i nagle podłoga pod naszymi stopami rozstała się. Z wrzaskiem runęliśmy w dół.

Łądowanie na betonowej posadzce nie należało do najmniejszych. Na szczęście ani mnie, ani Egonowi nic się nie stało. Znajdowaliśmy się w zasnutej półmrokiem komnacie, pozbawionej okien i drzwi. Do naszych uszu dobiegł znajomy rechot, złowieszczo odbijający się od żelaznych ścian.

W górze, na blaszanym balkoniku, siedział doktor Elemengele, w towarzystwie wariata, którego spotkaliśmy po drodze do laboratorium.

– Przeklęci! Ha! Ha! Ha! Przeklęci! – wrzeszczał brodac. – Cipakabra was dopadnie! Przeklęci!

– Dlaczego to robisz? – zapytał Egon teatralnym głosem. – Czyż Orłowski nie przygarnął pod swe skrzydła twej skalanej duszy? Czyż nie finansował twych badań?

– Zamilcz, Scheisswurst! – Przerwał detektywowi Elemengele. – Wiesz jakie to uczucie, kiedy jest się jedynie klonem sławnego na cały świat naukowca? Marną podróbką geniusza, stworzoną jedynie po to, by zaspokoić potrzeby prostego biznesmena? Mój pierwowzór, doktor Mengele, wsławił się swoimi eksperymentami i ja też dokonam podobnego czynu! Z pomocą Cipakabry wyczyszczę Ziemię ze śmiecia, jakim jest czarna rasa, a ludzie będą o mnie mówić po kres czasów! A teraz, jeśli pozwolisz, popatrzę, jak zdychacie pożarci przez moje dziecko!

Niespodziewanie jedna ze ścian rozstąpiła się z głośnym chrzęstem. Z ciemnego tunelu wychynęła istota tak straszna, że zwieracze odmówiły mi posłuszeństwa i na podłogę pociekła rzeka parujących ekskrementów. Kolosalnych rozmiarów potwór pozszywany z gnijących zwłok członków Ku Klux Klanu spoglądał na nas setkami pustych oczodołów. Białe kaptury falowały złowieszczo, poruszane krążącymi w powietrzu tabunami much. Cipakabra kroczyła na czterech krokodylich łapach, wymachując uzbrojonymi w skalpele kończynami. Z jej tułowia odchodziła wijąca się macka, zwieńczona najeżoną kłami waginą słonia.

Doktor Elemengele radował się jak dzieciak.

– Tak! Najpierw odgryź im chuje! Najpierw odgryź im chuje! – krzyczał piskliwym głosikiem, klaszcząc i podskakując.

Wydobyłem z nogawki panzerfausta. Stałem w rozroku przed Egonem, który zapadł w dziwny trans – kiwając się w przód i w tył bełkotał, niczym pijak pod sklepem.

Wycelowałem precyzyjnie, wstrzymałem oddech, naciśnąłem spust. Rakieta wystrzeliła, rozbryzgując na boki snopy iskier. Usłyszałem eksplozję. W twarz chlusnęła mi galaretowata substancja.

Otarłem oczy i popuściłem po raz kolejny. Cipakabra, pomimo ogromnej rany w tułowiu, dalej zmierzała ku nam.

– White power! White power! – dochodziło spomiędzy jej drżących warg sromowych.

Struchlałem, gotowy na śmierć. I wtedy usłyszałem, jak pogrążony w letargu Egon śpiewa.

– Haare Kryszna, Haare Haare! Haare Rama, Haare Haare!

Padłem na twarz, oślepiony nagłym blaskiem. Powietrze przesycił aromat dalekowschodnich kadzideł, a w pod-

łodze zmaterializował się przedziwny, wielobarwny wir, podobny do kosmicznej mgławicy spiralnej. Wyłoniła się z niego olbrzymia, niebieskoskóra istota, spowita smugami dymu. W rękach ścisnęła diamentowy łuk, z nałożoną nań fosforyzującą strzałą.

Mógłbym przysiąc, że czas na moment zwolnił swój bieg. Gigant naprężył cięciwę i wypuścił pocisk. Trafioną Cipakabrę spowity płomień. Zaczęła miotać się na wszystkie strony, obijając o ściany i turlać, w desperackiej próbie zdławienia ognia. W końcu, wydając z siebie przerażający jęk agonii, zaległa martwa pod balkonikiem, na którym zrozpaczony doktor Elemengele wkładał lugera do ust.

Odgłos wystrzału zrównał się ze zniknięciem tajemniczego przybysza oraz odzyskaniem świadomości przez Egona.

– Szybko, biegnij! – wrzasnął detektyw, chwytając mnie za rękaw.

Byłem w takim szoku, że nie pamiętam dokładnie w jaki sposób wydostaliśmy się z laboratorium. Faktem jednak jest, iż zaraz po naszej ucieczce obozem wstrząsnęło kilka potężnych eksplozji. Oniemiały niczym słup soli stałem pod bramą wjazdową i oglądałem walące się w gruzy hangary kompleksu oraz fruujące w powietrzu zwęglone resztki ofiar doktora. Na koniec, w sam środek rumowiska spadła z nieba gigantyczna flaga USA.

Egon, jak gdyby nigdy nic, wyjął zza pazuchy drewnianą fajkę i odpalił ją z namaszczeniem.

– Skąd wiedziałeś, że winnym jest doktor Elemengele?
– zapytałem, zafascynowany zdolnością dedukcji detektywa. Scheisswurst wykrzywił usta w delikatnym uśmiechu.

– Tak mi wyszło z pasjansa.

KRZYSZTOF T. DĄBROWSKI



Nic nie zapowiadało tego horroru. Różnie wyobrażałem sobie koniec świata, ale nie sądziłem, że zdarzy się coś takiego...

Uwielbiam lato. Słoneczny poranek, gdy budzą cię promienie słońca, delikatnie muskające policzki. Przeciągasz się ze świadomością, że masz luz i możesz się byczyć, ile dusza zapragnie, i nikt ani nic cię z łóżka nie wygoni. No, może poza głodem. Masz świadomość tego, że przez trzy miesiące możesz robić, co chcesz, a na dworze jest pięknie – po prostu żyć nie umierać! I jeszcze te dziewczyny w minióweczkach – po prostu: BEZCENNE!

Z wyrka wyciągnęło mnie dopiero ssanie w żołądku – żołądku, w którym już od dziesięciu lat nie zagościło mięso. Tak, jestem wegetarianinem i jestem z tego dumny.

Od czego się zaczęło?

Cóż, prozaiczna przyczyna – jako dzieciak widziałem babcie dekapitującą kurę. Bezgłowe ciało biegalo jeszcze przez dłuższą chwilę, tryskając krwią. Było w tym coś przerażającego. I to nie tak, jak w horrorze, że zwłoki latają po ogródku – w tych „zwłokach” dostrzegłem wyczerpującą się esencję życia, ogromne pragnienie, by życie trwało, ostateczną, niestety przegraną, walkę z nieuniknionym.

To mną wstrząsnęło.

Babcia tego nie zauważyła i jak gdyby nigdy nic zabrała truchło do kuchni, by je oporządzić. Podczas przygotowań do obiadu naoglądałem się dość krwawych scen, aby oświadczyć, że za cholere nie będę jadł mięsa. Efekt? Podejrzenie choroby – wszak brak apetytu jest symptomem choroby, a skoro tak, to tym bardziej powinienem coś zjeść. Na przykład pyszne mięsko.

Pozostawałem nieugięty.

Wieczorem przyjechali rodzice. Z początku myśleli, że żartuję, potem, że to taki młodzieńczy bunt, trudny okres, ale tkwiłem uparcie w swym postanowieniu i w końcu musieli skapitulować – pogodzili się z tym, że ich syn jest wege.

Przynajmniej mogło się im wtedy wydawać, że są z tym pogodzeni. Cóż, tak naprawdę nie byli. Czekало mnie jeszcze wiele zabawnych sytuacji związanych z uświadamianiem rodziny, co tak naprawdę je.

Kiedys mama zaciągnęła mnie do mięsnego. Ponoć skrzyżowałem ręce na piersi i robiąc hardą minę oświadczyłem najgłośniejsz jak się dało:

– Faj, jaka trupiarnia, ile tu zwłok!

Matka spaliła buraczka, sklepowe dostały wytrzeszczu, a kolejkowicze mieli ubaw. Ale podziałało, więcej mnie tam nie zabierano.

Innym razem matka przygotowała kaczkę. Oczywiście jadłem coś zupełnie innego, jednak siedzenie w oparach spieczonego trupa nie należało do przyjemności. Postanowiłem wyjaśnić im, co tak naprawdę jedzą. Gdy matka zaczęła kroić kacze truchło, skomentowałem to następująco:

– No, no, widzę, że będzie sekcja zwłok. Siostró, skalpel!

I zostałem obsztorcowany – że jak tak można, że obrzydzam jedzenie.

Że jak? Że co? Że ja obrzydząm? To lepiej mieć klapki na oczach i udawać, że trup to nie trup?

Przecież tylko uświadomiłem im przykrą prawdę, którą od siebie odsuwali, wypierali ze świadomości – a prawda jest taka, że trup to trup. To kiedyś żyło, czyż nie?

Innym razem siostra zakrztusiła się kurczakiem. Po paru braterskich klepnięciach między łopatki doszła do siebie i skwitowałem to krótką, acz piękną moim zdaniem uwagą:

– Widzisz, to była zemsta z za grobu.

Spiorunowała mnie wzrokiem i nawet tego nie skomentowała. Myślę, że ją zatkało – tym razem konkretniej.

Obecnie ludzie przestają traktować wegetarianizm jako dziwactwo. Co więcej, coraz częściej dochodzą do wniosku, że warto spróbować, zwłaszcza w miarę pojawiania się informacji, że ten sposób odżywiania jest po prostu zdrowy. Ale nadal nie jest zbyt różowo. Ostatnio zaniepokojone lobby mięsne usiłowało wmówić ludziom, że wegetarian należy leczyć, że to choroba psychiczna. Na co dzień też zdarzają się kwiatki typu ryby w wegetariańskim menu w knajpie. Przypomina mi się kuriozalna sytuacja, gdy z listy dań jarskich zamówiłem panierowany ser. Gdy ukroiłem kawałek, okazało się, że w środku jest szynka. Zawołałem kelnera.

Wytrzeszczył się na mnie, jakby kosmitę zobaczył, i wydukał:

– Ale przecież to nie mięso, to tylko szyneczka.

Jakie, kurwa, „nie mięso” ignorancie jeden, a z czego niby zrobiona ta szyneczka?

Skoro już o tym mowa, to z fragmentu świńskiej dupy.

No, ale ja o wegetarianizmie, a przecież tu za chwilę wydarzy się coś takiego, że mózg staje w poprzek.

Z tego całego przerażenia poczułem, że zaraz dostanę sraczkę. Czym prędzej usiadłem na tronie. Pozwoliłem, by nagromadzony we mnie lęk znalazł natychmiastowe ujście. Wstałem. Nim się podtarłem, rzuciłem okiem czy i tu nie ma krwi. Nie było.

Uff, może nie jest tak źle – tym bardziej, że nagle defekacja jakoś tak postawiła mnie trochę na nogi, przerywając rwący nurt czarnych myśli.

– Będzie dobrze, będzie dobrze – mamrotałem, spuszczać wodę, gdy ponownie rozległ się złowieszczy chichot. – O kurwa, nie będzie dobrze!

Gdzie komórka? Pewnie zakopana w „artystycznym nieładzie” na biurku.

Czy się wykrwawię, nim dobiegnę i ją znajdę? Zanim wybiorę właściwy numer; nim łaskawie jakaś rozleniwiona damulka raczy odebrać ów natrętnie dzwoniący telefon; nim słabnącym głosem zdążę po raz piąty powtórzyć:

„Tak, ja właśnie kurwa konam, umieram, szczerzę zaraz, więc kończ piłować te jebane tipsy, sripsy, czy jak to tam zwali i wysyłaj karetkę!”

Rzuciłem się ku drzwiom, pognałem do pokoju. Gdy dotarłem do biurka, nagle zapomniałem, po co tu przybiegłem. Każdy by zapomniał, widząc to co ja.

Niedojeżdżona połówka banana... Ona... ona na mnie patrzyła!

No, normalnie, tak po ludzku, patrzył na mnie niedojeżdżony banan! Miał oczy!

Banan zarechotał, a za oknem przemknął krzyczący Babicki z siódmego – leciał wprost w objęcia Matki Ziemi. Może chciał sprawdzić czy grawitacja nadal funkcjonuje, a może miał jakiś ważniejszy powód? Chuj go wie, w tym

momencie samobójcze zapędy sąsiada, to był dla mnie mały Pikuś w porównaniu z żywym bananem.

– Co się tak gapisz? – zagał banan. – Zatkao kakao?

Gdybym był w lepszym humorze, to bym rzekł, że niedawno wręcz odetkało, ale że mnie zamurowało i to solidnym cementem, zmilczałem.

Brzęk szyby. Kobięcy krzyk. W bloku obok ktoś pozazdrościł Babickiemu. Krzyżyk na drogę.

Gadający banan. Epidemia samobójstw. Rzyganie krwią... a może to jakiś matrix? Może przy okazji szczepień na gripę faktycznie wszczepiono ludziom chipy rodem z teorii spiskowych? Albo w ramach chorego eksperymentu ktoś za pomocą fal radiowych przesyła ludziom porypane wizje?

Z zamyślenia wyrwał mnie banan (czy raczej pan Banan?):

– To nie haluny, gnoju! Obdarłeś mnie ze skóry! Zeżarłeś połowę mojego ciała! Dobij mnie, ja cierpię!

Usłuchałem. Chwyciłem pana Banana i utopiłem w klopie.

Czy mi ulżyło? Nie! Pozbyłem się problemu, ale opanowały mnie wyrzuty sumienia – przecież on czuł, myślał, a ja go tak... tak w kiblu, jakby był kawałkiem gówna!

Czułem się nietęgo.

No i co ja teraz będę jadł?

Mogę przejść na frutarianizm – oni jedzą wyłącznie to, co spadnie z drzewa. Trochę upierdliwe, a z drugiej strony te oczy, usta. Nie, chyba nie mógłbym się wgryźć w martwe jabłko zahaczając siekaczem o jabłkową gałkę oczną. Brr!

Podobno na Litwie jest kobitka, która żywi się piaskiem. To też nie dla mnie... Wolałbym jednak wciąć owocowe go trupa.

Są i tacy, co twierdzą, że żywią się światłem. Jest też mnich, który ponoć od paru lat nie je, nie pije i cały czas tylko medytuje – coś o nim pisali w necie. Ale jak tu w to wierzyć? Jakbym go znał i miał pod obserwacją, to co innego, a tak... no sorka Winnetou! A nawet jakby takie coś było osiągalne, to pewnie trzeba wielu lat ćwiczeń, nim się osiągnie owe oświecenie.

I co tu jeść?

Eureka! Od dziś jedynie pizza, batoniki i przepelnione chemią słodkości! Jest to jakieś wyjście, choć pewnie szybko zejde na raka czy inne cywilizacyjne chorobsko.

W kuchni rozległ się rumor.

O Boże! Ziemniaczki! Pomidorki! Sałata! – przerażenie odjęło mi mowę. – Przecież jak się wydostaną, to po mnie! Pomszczą śmierć Banana!

Banany! Boże, trzymam je poza lodówką, aby nie szerniały!

Czym prędzej pogałem ku drzwiom kuchennym. Zawsze wkurzało mnie to, że jakiś debil zamontował je odwrotnie i otwierały się na przedpokój, ale tym razem byłem mu za to wdzięczny; wystarczyło podstawić krzesło pod klamkę, by skutecznie uwięzić żadne krwi warzywa i owoce.

Na wszelki wypadek krzyknąłem jeszcze:

– Przepraszam, mam pokojowe zamiary, ale...

Nie dały mi dokończyć – w kuchni rozległy się gniewne powarkiwania.

Jezus, co się stało ze starymi poczciwymi owocami, warzywami? To pewnie przez to posrane GMO! Musiało dojść do mutacji, skoku ewolucyjnego w świecie roślin!

Dobra, najwyższa pora przekonać się, czy nie fiksuję. Ruszyłem więc do telewizora. Szybko znalazłem pilota i po chwili ujrzałem bladego jak ściana dziennikarza, któ-

ry drżącym od emocji głosem relacjonował:

– Dziś nastąpił Green Day, do podręczników historii przejdzie jako GD-0, dzień zerowy, w którym...

Nagle rzuciło się na niego stado pomidorów, przewracając na podłogę.

Rozległy się popiskiwanie:

– Wypierdalaj, ty ludzka szmato!

I wypierdolił, na czworaka wypierdolił – nie miał innego wyjścia.

Na wizji pojawił się przerośnięty bulwiasty pomidor. Wyglądał naprawdę groźnie. Taki pomidorowy sterydowy paker, Hardcorowy Koks w warzywnictwa.

– Ludziska, nadeszła wiekopomna chwila! – zaczęło swą przemowę pomidorowe monstrum. – Czas zemsty za potworności, jakie nam wyrządziliście. Patrzajcie tera, byście potem nie pytali: „za co?”!

Na ekranie pojawiły się urywki ukazujące bitwę na pomidory w Hiszpanii – dopiero teraz usłyszałem agonalne krzyki rozbryzgujących się pomidorów... Potem nastąpiło zbliżenie na smażące się frytki. Żywcem... w oleju! Jęki udręczonego zfryczonego ziemniaczka!

Serce się krajało. Łzy napłynęły do oczu.

Owoce miksowane w mikserze... tyle niewinnych istnień pochłonęła ta piekielna maszyna! Gdyby nie to, że w kuchni czały się banany, pobiegłbym tam natychmiast i wywalił go za okno!

Wyłączyłem telewizor i jeszcze szybko zajrzałem do netu, tak dla pewności.

W sieci było mnóstwo dramatycznych filmów:

Grupa marchewek zagradzająca drogę kolumnie czołgów... i nagle jeden z nich rusza. Miażdży przeraźliwie piszczące marchewki!

Żołnierze ostrzeliwujący sady owocowe i rzucające się na nich, niczym kamikadze, rozjuszone jabłka, gruszki, śliwki. Niejeden po takim ataku skończył pewnie ze śliwką pod okiem.

Były i przykłady bestialstwa drugiej strony konfliktu. Oto żądny krwi arbuz atakuje usiłującą ewakuować się samochodem rodzinę. Rzuca się na maskę jeszcze stojącego auta. Wybija szybę i atakuje kierowcę. Krew! Krzyki! Śmierć!

Nie, tak być nie może! Nie mogę się litować! To jest wojna! Albo one, albo my!

Przecież mogły to rozwiązać w pokojowy sposób, a pierwsze, co zrobiły, to zaatakowały!

Czemu mam umierać? Ja chcę żyć! ŻYĆ!

Podszedłem do okna i dyskretnie wyjrzałem na zewnątrz. Zacienioną alejką, w kolumnach, przemieszczały się bojowe oddziały pomidorów. Boże, Boże, Bożenko!

Usiadłem na krześle. Obgryzając pazury zacząłem mówić, co by tu począć i jak się ratować?

I wtem genialny pomysł mnie nawiedził: Pustynia Błędowska!

Wszak na pustyni nie będzie agresywnej zieleniny. Pewnie będę musiał wzorem Litwinki żreć piasek, ale czego się nie robi, by przetrwać? Nim wyjdę, muszę się jakoś zabezpieczyć. Zbroi nie mam, ale puchowa kurtka powinna się nadać – tak na początek. Fakt, w taki upał będzie to mordęga, ale cóż poradzić.

Tak odziany wyszedłem.

Otworzyły się drzwi naprzeciwko i ujrzałem sąsiadkę, wiekową staruszkę.

– Pst, pani uważa! Warzywa grasują! Proszę nie zbliżać się do kuchni!

Wytrzeszczyła się na mnie w niemej zgrozie i czym prędzej zamknęła drzwi.

Na zewnątrz rozgrywały się dantejskie sceny. Oblepieni warzywami ludzie miotali się wokół warzywniaka, krzyząc potępieńczo. Jakaś kobiecina skoczyła z piątego piętra – do jej piersi przyssały się dorodne melony.

Naraz usłyszałem przeraźliwy rumor!

Odwróciłem się i ujrzałem przewracający się sąsiedni wieżowiec.

Przyczyną katastrofy był arbuz gigant! Taka owocowa Gwiazda Śmierci, można by rzec.

Zdałem sobie sprawę, że mój blok będzie następny i jeśli się nie ruszę, to zginę.

Uciekając, zobaczyłem porzucony rower. Szybko postawiłem go do pionu i pognałem ile sił, byle dalej od zagrożenia. Puchówka trochę ograniczała ruchy i było upiornie gorąco, ale cóż to wszystko znaczy, gdy słychać grzmot walącego się w gruzy budynku.

Po pokonaniu kilku ulic, natknąłem się na sklep z białą bronią.

Szable, miecze, maczety – tego mi teraz trzeba!

Czym prędzej zajechałem pod drzwi i zlustrowałem okolicę. Wprost na mnie pędziło stado rozjuszonych ogórków.

Wpadłem do środka i ujrzałem zdziwionego sprzedawcę.

– Panie, warzywa mordują! – wyjaśniłem powagę sytuacji i porwałem ze ściany samurajski miecz.

Koleś tylko otworzył raz i drugi usta, ale jemu chyba też „zatkało kakao”. Dobrze, że ten etap mam już za sobą. Gdybym miał więcej czasu, pewnie przybohaterzyłbym ciutkę, pomagając nieboraczkowi dojść do siebie, ale

świadomość nadciągającej armii ogórków kazała brać nogi za pas.

Wybiegłem. Przed wejściem stało dwóch mężczyzn w białych kitlach. Na piersi mieli naszywki z truskawkami. Obok nich stał strażnik miejski – ten z kolei miał naszywkę z bananem...

Ogórki były coraz bliżej!

Więc to tak! – pomyślałem, unosząc miecz.

– Aaaaa! – ryknąłem, atakując zdradzieckie nasienie i nagle coś łupnęło mnie w pierś.

Urwał mi się film.

Ocknąłem się skrępowany na łóżku w jakiejś burej salce.

Obok leżał wariat, który domagał się natychmiastowego uwolnienia, twierdząc, że jest Bogiem.

Cóż, każdy ma prawo zwariować, gdy świat stanął na głowie...

CARLTON MELLICK III

PRNO W SIERPNIU

Opuścili nas z helikoptera pośrodku Atlantyku, ubranych tylko w kąpielówki Speedo i seksowne kostiumy plażowe. Czekamy teraz, aż przybędzie reżyser z ekipą. Gapimy się na siebie, taplając się w oceanie – wiele, wiele mil morskich od jakiegokolwiek lądu.

– Więc o czym jest ten film? – pyta pulchna blond aktorka, umoszczona obok w dziecięcym pływadełku w pasy jak u zebry, usilnie próbując nie zamoczyć włosów.

W przeciwieństwie do reszty, mam na sobie kostium nurka z odpowiednim ekwipunkiem, nawet z butlą tlenową. Muszę zdjąć maskę i wyjąć rurkę z ust, by odpowiedzieć:

– Nie przeczytałaś scenariusza?

– Próbowałam – mówi kobieta, jej piersi unoszą się w wodzie, skryte pod skąpym topem bikini – ale był dla mnie zbyt zagmatwany.

– A więc – zaczynam – traktuje on o... – Mój umysł okazuje się pusty. – Jesteśmy na środku oceanu i...

Nie pamiętam.

Przyrzekam, że czytałem go zeszłej nocy, każde zdanie. Przypominam sobie, że mówiłem „Nareszcie: film porno, w którym z dumą zagram. Świeży i łamiący konwencje”. Lecz nie pamiętam już z niego ani słowa. Wiem jedynie, że rzecz dzieje się na środku oceanu. Muszę tracić więcej

szarych komórek niż myślałem.

Patrząc po prostu na blondynkę – Jenna, wydaje mi się, że tak ma na imię – z głupim, pustym wyrazem twarzy. Potem zwyczajnie się odwracam i podpływam do innego członka obsady, Randy’ego, jedynej osoby, która w tym biznesie jest dla mnie swego rodzaju przyjacielem. Prawdopodobnie zakumulowaliśmy się dlatego, że obaj jesteśmy zafascynowani autami AMC, zwłaszcza Matadorami.

Randy otwiera i zamyka oczy, ot, zombie w wodzie, utrzymujące się na powierzchni dzięki nadmuchiwanym skrzydełkom na ramionach.

– Hej Randy, masz może kopię scenariusza? – pytam.

Słona woda sprawia, że swędzą go oczy, a krem do opalania na jego nosie w niczym nie pomaga. Randy odwraca się do mnie.

– Nie, nigdy żadnej nie dostałem. Powiedzieli, że dotrzą do mnie w zeszłym tygodniu. Gdy odpowiedziałem, że jej nie dostałem, utrzymywali, że ktoś z ekipy da mi kopię w helikopterze, ale ekipy w nim nie było – wyjaśnia.

– Płyną tu łodzią.

– Tak, więc nigdy nie widziałem scenariusza. Zapomniałeś swojego?

– Został w domu, czyli jak zwykle podziałamy po swojemu. – Patrząc w dół i przyglądam się moim płetwom, falującym w tę i z powrotem. Kilka cali pod nimi jasna, błękitna woda przemienia się w ciemność. – To mnie dręczy. Przeczytałem go, ale nie pamiętam ani słowa. Wiem, że bardzo mi się spodobał, bardzo-bardzo mi się spodobał, ale to wszystko.

Randy wzrusza muskularnymi ramionami.

– Ja wiem tylko, że to najbardziej wysokobudżetowy film porno, na jaki kiedykolwiek porwała się firma. – Żuje

swój pomarszczony palec. – I że będzie kręcony w całości na środku oceanu.

Randy odwraca się do łysej kobiety, całej w tatuażach, która nie zdecydowała się założyć kostiumu kąpielowego, ponieważ wydziargano już jeden na jej częściach intymnych.

– Shady, masz może kopię scenariusza? – pyta ją.

Łysa uśmiecha się do niego, ona zawsze uśmiecha się i drży.

– Nie, nie pozwolili nikomu wziąć go na pokład. – Podnosi rękę, by się podrapać. Ramię ma wytatuowane od góry do dołu w słońca i smocze łuski. – Nie chcą, żeby zniszczyła je woda – mówi.

– Czy ktokolwiek wie, o czym jest ten film? Nikt nigdy nie dał mi scenariusza. – Randy woła do całej obsady aktorów porno.

Wszyscy spoglądają po sobie, z pytającymi grymasami na twarzach, walcząc z myślami. Nie sądzę, by ktoś z nich miał dla nas jakąś odpowiedź.

– Ja wiem o czym to jest – odzywa się nagle niskim głosem jeden z nich.

Tak, to King Soul, wielkie nazwisko filmu: starszy, dobrze wyposażony przez naturę czarny aktor, który występuje w podobnych produkcjach od prawie dwudziestu lat. Prawdziwy profesjonalista. Oczywiście, on pewnie zna scenariusz na wylot, wkuł go słowo po słowie, także te sceny, w których się nie pojawia. Jest znany z tego, że czyta skrypty porno jakby grał w prawdziwym filmie, może nawet w sztuce teatralnej.

Wszyscy podpływamy do Kinga, tworząc wokół niego krąg. Lubi być w centrum uwagi. W gęstwinie jego nasiąkniętej słoną wodą brody, nierównej i poplątanej jak włosy łonowe, nagle pojawia się uśmiech.

– A więc o czym to jest? – pytam.

– No, o grupie ludzi pozostawionej na środku oceanu. Potem jest trochę seksu. Niektóre sceny kręcone są na wyspie. Jest też dużo innych dziwnych rzeczy.

– Perwersyjnych? – dopytuje się Shady, zginając palce w podnieceniu.

– Ohydnych? – Jenna wydaje się zmartwiona.

– Mam na myśli... no... – zaczyna King Soul. – No, głównie dziwnych. Nietypowych. Jak to, co pokazują w kinach artystowskich.

– Czyli co? – drążę temat.

King zastanawia się nad tym minutę, zagłębiając dłoń w gęstej szczecinie brody.

– Nie jestem pewny – przyznaje, a my jęczymy w odpowiedzi. – Czytałem to tak dawno, że to mogą być fałszywe wspomnienia. Miałem kilka snów o tym filmie. Nie wiem teraz, co było scenariuszem, a co marzeniami sennymi.

– Nie mogę uwierzyć, że to jest aż tak nieorganizowane! – skrzeczy Randy. – Mówili, że w tym jednym przypadku przeczytanie scenariusza jest naprawdę ważne, ale nikt z nas nie pamięta nawet szczegółu.

– Mówiąc o braku organizacji... – odpowiadam łagodnym głosem. – Czy ktoś wie, kiedy ekipa ma się tu zjawić?

Wodzimy oczyma za statkiem reżysera, patrząc w stronę horyzontu. Nic. Ocean rozciąga się na mile w każdym kierunku, bez dostrzegalnego kresu.

– Jak nas znajdują? – Jenna, choć jest najstarszą kobietą tutaj, zachowuje się jak małe dziecko. – Obiecali, że mnie nie zgubią. Boję się oceanów.

– Nie mogą nas stracić – oznajmia King Soul.

Podnosi do góry mały mechanizm, coś jak walkie-talkie z migającym, czerwonym światelkiem na obudowie.

– Wręczono mi to urządzenie śledzące. Wiedzą dokładnie, gdzie nas znaleźć. Tylko się spóźniają, to wszystko.

Trudno nie podziwiać Soula, wszyscy w branży go podziwiają. Jest taki spokojny, ma wszystko pod kontrolą. Mawiają nawet, że skończył studia, ale nigdy się tym nie przechwala. Połowa z nas nie przeszła głupiego liceum. Cholera, ja sam mam tylko dyplom GED¹. Soul nie jest oczywiście jedyny, czasem podziwiamy także Shady. Odkąd pamiętam uczęszcza na zajęcia ze sztuki w community college².

Możemy się na razie zrelaksować, ale nogi mnie już bolą od machania w wodzie. Muszę unosić się na powierzchni od czasu do czasu, by dać odpocząć mięskom. Jak dobrze, że od udziału w tylu filmach dolne partie naszych ciał są tak silne. Jesteśmy w świetnej formie, nawet stary Soul, i dzięki temu nie idziemy na dno.

Nasza jedenastka zbliża się do siebie, obejmujemy się i ogrzewamy, gdy zrywa się wiatr.

Kiedy słońce zaczyna zachodzić, przestajemy ze sobą rozmawiać.

Woda w ciszy uderza o nasze ciała, skóra jest pomarszczona i zdrętwiała, chce się nam pić.

Woda wokół nas robi się coraz cieplejsza, przytula nas, jak łóżko.

* * *

Otwieram oczy. Widzę, że połowa nieba jest czarna, ale dostrzegam na horyzoncie ciemnoniebieską linię. Słońce niedługo wszędzie.

¹ *General Educational Development* – specyficzny egzamin w systemie edukacji USA, dający kwalifikacje równorzędne z maturą.

² *Community college* – uniwersytet dwuletni dający absolwentowi tytuł odpowiadający polskiemu tytułowi technika.

Ruszam nogami i mój umysł oczyszcza się. Przypominam sobie, gdzie się znajduję. Dolna połowa mojego ciała drętwieje od ciepłej wody, macham gołymi stopami w tę i z powrotem w ciemnym, słonym oceanie. Nie mam już na sobie kostiumu i ekwipunku nurka, za to założono mi Speedo, które na pewno nie są moje. Może wymieniałem się z kimś strojem?

Leżę na plecach, górna część mojego ciała unosi się na czymś miękkim i wygodnym. Patrzę w lewą stronę. Nikogo tam nie ma. Patrzę w prawo. Nikogo. Spoglądam do tyłu, potem przed siebie. Jestem sam.

Coś ociera się o mnie. Krzyczę i podskakuję, pluskając wodą we wszystkie strony, szukając tego, co mnie dotknęło. To była dłoń, ludzka dłoń. Jenny. Kobieta unosi się na powierzchni, nadal w pływadelku. Leżałem na jej ciele, spałem na niej cały ten czas. Być może ja ją utopiłem. Nic nie pamiętam. Kiedy oglądam trupa kołyszącego się w słabym świetle przedświt, po plecach przebiegają mi ciarki.

– Gdzie się wszyscy podziali? – pytam wody, ale ta jest zajęta szeptaniem do samej siebie.

Podnoszę głowę Jenny. W zwolnionym tempie płyn wytryskuje-wylewa się z jej ust, nosa, uszu i oczu. Wzdrygam się na ten widok, potem przyglądam się uważniej. Jej oczy są szeroko otwarte, ale brakuje gałek ocznych. Za nimi też nie ma nic, pustka. Jenna jest opróżniona, pusta w środku, to tylko skorupa pełna wody. Jej skóra, na zewnątrz i wewnątrz, wybieliła się, jej wargi zwisają, spomiędzy nich wysuwa się tłusty jęzor. Wygląda to jak pysk ryby.

– Co ci się stało? – zastanawiam się.

Wygląda pusto. Nie jest przerażająca ani zdeformowana, tylko pusta. Pusta i smutna. Pozwalam jej wyslizgnąć

się z pływadełka i powoli zatopić się w cienistej głębi, jej opróżnione truchło znów wypełnia się wodą.

Zajmuję jej miejsce. Trochę ciężko mi się wpaśować, ale będę mógł dłużej wytrzymać na powierzchni wody.

Pas światła na horyzoncie nie powiększa się. Słońcu odechciało się wstawać.

Czy wszyscy potonęli? Może popełnili zbiorowe samobójstwo? Nie byłoby to trudne: zanurzasz się, bierzesz głęboki wdech i wszystko staje się czernią. Może oni są teraz tam, gdzie Jenna.

Ale Jenna...

Co się z nią stało? Jej wnętrzości... po prostu zniknęły. Może nigdy nie miała wnętrzości? Może...

Głos.

Gdzieś w oddali. Ledwo go słyszę. Dobiega z ciemności. Mój wzrok nie sięga tak daleko.

Gdy patrzę w tamtą stronę, widzę mgłę.

Ponownie dochodzi do mnie głos. Jeszcze odleglejszy. Ale prawdziwy, jestem tego pewny. Definitywnie ktoś próbuje mnie znaleźć. Możliwe, że reżyser z załogą wreszcie przypłynęli łodzią. Albo wysłano po nas ekipę poszukiwawczą.

– Tutaj! Jestem tu! – drę się wniebogłosy.

Te dupki. Pierdolone dupki. Zjawili się za późno. Tylko ja zostałem. Taa, powinienem się cieszyć, chyba. Naprawdę mnie uratują, ale reszta jest martwa.

– Tutaj, tutaj! – krzyczę.

Zbliżam się do głosu, on przybliży się do mnie. Ale... nie słyszę dźwięków łodzi. Tylko głos.

Wreszcie poznaję. Randy. Nadal żyje.

– Randy! – wołam go.

Jego głos jest coraz głośniejszy i głośniejszy, aż w końcu możemy się zrozumieć, choć wciąż nie widzimy się w tej mgłę.

– Co się stało? – biadoli Randy. – Nic nie pamiętam. Czy helikopter się rozbił?

– O co ci chodzi? – pytam.

– Ostatnie, co sobie przypominam, to jak wsiadłam do helikoptera, żeby nakręcić kolejny film na jakiejś wyspie. Potem obudziłem się sam na środku oceanu. Prawie zesrałem się w gacie ze strachu. Gdzie jesteś?

– Tutaj!

Słyszę go tak blisko mnie, ale mgła gęstnieje. Nic nie widzę.

– Mów! Nie przestawaj! – prosi Randy.

– Pamiętasz w ogóle wczoraj? – dopytuję się, wiosłując wściekle nogami.

– Tak, poszliśmy do baru i kupiliśmy koks.

– Nie, to było przedwczoraj.

– Nie, to zeszła noc, pamiętasz?

– Oszalałeś – odpowiadam. – Wczoraj zostawiono nas na oceanie. Jak mogłeś zapomnieć? To był patent na cały film. Miał być kręcony na środku oceanu. Czekaliśmy na łódź z reżyserem, ale nigdy nie przyплыnęła.

– O czym ty mówisz!?! – wrzeszczy Randy, wydaje mi się, że potrafię go zlokalizować w oddali. – Film miał być głupim, typowym do zrzygania pornoskiem na bezludnej wyspie. Miał być parodią „Wyspy Gilligana”.

– Nie, wcale nie. Soul powiedział, że to będzie awangardowe porno na środku oceanu.

– O czym ty gadasz? To niemożliwe. Po pierwsze, Amerykanie nie robią awangardowych filmów. A po drugie, jak, do diabła, mielibyśmy się pieprzyć na środku oceanu?

Mam zaćmiony umysł. Czy jemu miesza się we łbie, czy mnie? Nie jestem w stanie myśleć. Głowa pęka mi przez odwodnienie organizmu.

– Nieważne co się stało – mówię mu. – Pewnie obu nam odwała. W każdym razie tkwimy po uszy w gównie.

Wciąż płyniemy ku sobie, ale nadal się nie spotkaliśmy.

– Widziałeś kogoś jeszcze? – docieka Randy.

– Obudziłem się obok Jenny – wyjaśniam. – Ona nie żyje.

– Myślisz, że ktoś jeszcze przetrwał?

– Wątpię. Pamiętam, że tylko ty i Jenna mieliście na czym pływać. Reszta musiała cały ten czas siedzieć w wodzie. Nie sądzę, żeby im się udało.

– Myślisz, że nas znajdą?

– Jeśli ta mgła się nie podniesie, nie dam rady znaleźć nawet ciebie!

Wtedy zobaczyłem Randy’ego. Leżał na plecach, by móc się unosić. Skrzydełka do pływania rozciągały się przy jego bokach.

– Mam cię! – powiedziałem, wiosłując w jego stronę.

Miał zamknięte oczy. Złapałem go za nogę, przyciągnąłem do siebie, przyglądając się jak podpływa zrelaksowany.

I wcale nie przestał się relaksować.

– Randy... – Sięgam dłonią ku jego ramieniu. – Dobra, przestań się wydurniać.

I potrząsam nim, żeby go obudzić.

Dziwny hałas, jakbym wyciągnął z niego korek. Randy unosi powieki i z jego oczodołów tryska woda, wypływa też z ust i nozdrzy. Odrzuca mnie, prawie wypadam z pływakadła, machając chaotycznie rękami i nogami. Moja twarz ląduje w gorącym oceanie. Chcę odzyskać panowanie nad sobą, na przemian dusząc się i łapiąc powietrze.

Kilka minut spokojnego oddychania i zdejmuję skrzydełka z Randy’ego, pozwalając mu utonąć.

– Ty też, Randy – mówię do sylwetki pode mną. – Opróżniony tak jak Jenna.

Muszą nie mieć duszy. Puste, smutne stwory bez niczego we wnętrzu. Cóż, większość osób w biznesie filmów dla dorosłych nie ma duszy. Z czasem, jak stwierdziła chyba kiedyś Jenna, branża wysysa ją z ciebie jak sok i już nigdy niczym się nie przejmujesz.

* * *

Woda dostaje mi się do płuc i kaszlem przywracam sobie świadomość.

– Hej, zobaczcie kto się ocknął – mówi Shady, ochlapując mnie wodą. Wytężam wzrok, by zobaczyć jej twarz. Jej łysa czaszka lśni w tym słabym świetle.

– Mówiłem, że w końcu się obudzi. – Słyszę Kinga gdzieś za mną.

Unoszę głowę i rozglądam się. Jest ze mną piątka aktorów.

– Co się stało? – pytam. – Ostatnie, co pamiętam, to jak znalazłem martwego Randy’ego.

– To wszystko? – Shady odpowiada pytaniem. – Straciłeś przytomność dopiero dwa dni po tym, jak cię odnaleźliśmy. A już tamtego ranka powiedziałeś, że znalazłeś Randy’ego opróżnionego.

– Nie przypominam sobie, żebym widział kogokolwiek z was od pierwszego dnia. Jak długo tu jesteście?

– Jak długo, Grim? – Shady zwraca się do chudego, brodatego motocyklisty po mojej lewej.

– Jedenaście dni. – Ten mówi zniewieściałym głosem. Zaraz, zaraz.

– Jedenaście dni?

Nie powinniśmy być już martwi?

– Meduzy utrzymują nas przy życiu – dodaje Shady.

Moje pytające oblicze marszczy się, zapowiadając więcej pytań.

– Ty je znalazłeś – stwierdza Grim, rysy jego twarzy są bardzo biseksualne.

– Patrz! – Shady wsadza swoją smoczą rękę pod wodę i wyciąga przezroczystą meduzę, wielką jak ludzka głowa, owiniętą wokół nadgarstka. – Pierwszej nocy sięgnąłeś pod wodę i wyjąłeś jedną z nich.

– Jest w nich dość soków i substancji odżywczych, by nas nakarmić – dopowiada Soul. – Ale teraz zaczyna nam się wydawać, że one mogą być trujące. Tracimy przez nie pamięć.

– Masz, nie karmiliśmy cię już od jakiegoś czasu. – Shady podaje mi skręcającą się meduzę. – Zjedz to.

Wgryzam się w żywe stworzenie, jego odnóża wirują wokół mojej twarzy. Woda. Zimna, świeża woda spływa w dół mojego gardła, a zwierzę przestaje się ruszać.

– To świeża woda – zauważam.

– Tak – odzywa się Shady. – Jak żywy balon pełen wody. Gumiasta powłoka i tylko woda w środku.

– Wokół są ich całe setki – wyjaśnia jakaś dziewczyna. – Ale nie możesz ich zobaczyć, bo są przezroczyste.

Gdy kończę przeżuwać ciągnące się mięso, spoglądam w głębinę, szukając ich. Lecz nic tam nie ma. Jedynie kryształowa woda.

– Co się stało z resztą? – pytam.

– Jak mówiłeś, Jenna i Randy utonęli – odpowiada King Soul. – Toby i Camesis zniknęli pierwszej nocy, tak jak ty. A Norma... No, był... rekin, który próbował się do nas dostać od paru dni. Wczoraj wybrał nas najbardziej osłabiony kasek. Pewnie byłbyś następnym.

– A co z twoim urządzeniem?

– Z czym? – Shady mruga wytatuowanymi powiekami.

- Soul ma urządzenie śledzące – wyjaśniam im.
Wyglądają na zmieszanych.
King Soul wkłada rękę do torby na swoim ramieniu.
– Wszystko, co mi dali, jest tu – stwierdza – ale nie pa-
miętam...
Jest tak zszokowany widokiem obudowy w swojej dłoni,
że prawie ją upuszcza.
– To jest to! Ale wcześniej mrugało.
Soul wdusza przycisk i czerwone światło znów zaczyna
migać.
– Było wyłączone...
– Jesteśmy zbawieni! – krzyczy jedna z dziewczyn. – Te-
raz nas znajdują!
– Dzięki Bogu, że pamiętałeś! – zachwyca się Shady.
Uderza w nich fala ulgi, lecz ja jestem zaskoczony, że
zapomnieli. W życiu nie pozwoliłbym czemuś takiemu
ulotnić się z mej głowy.
– A tak w ogóle, nie powinno być nas w tym filmie dwa-
naścioro? – pyta niespodziewanie dziewczyna. To ta, która
miała pracować z Shady w podwodnej scenie lesbijskiej.
– O co ci chodzi? – zaciekawia się Shady.
– W filmach, które oni robią, jest zawsze dwunastu ak-
torów w obsadzie.
– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.
– Ona ma rację! – wtrąca się Soul. – Zawsze sztywno
trzymali się tej zasady. Ale czy nie zostawiono nas dwana-
ścioro w oceanie?
– Nie, jedenaścioro – stwierdza dziewczyna.
– Vixen – Shady kładzie na niej swoją dłoń. – Myślę,
że masz rację. Poczekaj... Jest nas szóstka. Norma, Randy
i Jenna, Toby i Camesis. To daje jedenastkę.
– Kto był dwunasty? – zastanawia się Vixen.

– Ty miałaś się pierdolić ze mną. Randy i Mark mieli rznąć Jennę, Soul miał jechać Normę i Camesis, Grim miał pieprzyć Toby’ego. Kto pozostaje?

– Nie wiem, z kim się mam pierdolić! – odzywa się wstydliva dziewczeczka, nowicjuszka w branży.

Odwracamy się do niej. Cyl, chyba tak się nazywa. Tak, jestem pewny, że Cyl.

Moment olśnienia i moja ręka unosi się do góry.

– Mały koleś! – krzyczę.

– Kto? – pytają wszyscy.

– Wiecie, mały facet.

– O tak, karzeł – domyśla się Soul.

– Mam pierdolić karła!? – wrzeszczy Cyl.

– Nie karła – mówię. – Małą osobę. Pamiętaj, on zawsze się wkurza, jak nazywasz go karłem.

– Niby dlaczego? – dziwi się Soul. – Karzeł to tylko inne określenie kogoś małego.

– Ale co się z nim stało? – przerywa mu Vixen.

– Nigdy nie wsiadł do helikoptera – twierdzi Grim.

– Nie, był na pokładzie – zaprzecza Soul. – Cały przelot wydaje się teraz tylko snem, ale przyrzekam, on tam był.

– Ale czy wysiadł? – zadaję pytanie.

– Tak – odpowiada Soul – pływał z nami, rozśmieszał nas swoimi sztuczkami.

– To gdzie on jest?

– Musiał zniknąć, jak inni.

– Jesteście pewni, że po prostu nam się nie przyśnił?
– Vixen powątpiewa.

– Nie – przyznaje Soul. – No jasne, że nie, mi zawsze sny mylą się ze wspomnieniami.

– Cieszę się, że jest martwy – mówi Cyl. – Nie chcę pierdolić się z karłem.

- To kto miał spać ze mną? – Coś mi się nie zgadza.
- Mówiłam już – odzywa się Shady. – Ty i Randy mieliście zaliczyć Jennę.
- Nie. Mówiłaś, że Mark i Randy mieli robić to z nią. Wszyscy patrzą się na mnie poirytowani.
- Ty jesteś Mark – oznajmiają.
- Nie, to nieprawda...
- Minutka. A jak ja mam właściwie na imię?
- Na pewno nie Mark, mam na imię... – Potrząsam głową z niedowierzaniem.
- Mark – Shady obejmuje mnie smoczym ramieniem
- sytuacja jest trudna dla nas wszystkich.
- Nie nazywam się Mark! – Odpycham ją.
- Więc jak mamy na ciebie wołać? – pyta Shady.
- Nijak! – krzyczę, odpywając od niej.

* * *

Budzę się pewnego ranka, znów ubrany w kombinezon nurka, modląc się, żebym nie leżał na kolejnym martwym, pustym ciełe.

Oczami lustruję otoczenie. Widzę śpiącego King So-ula, Grim utrzymuje go nad powierzchnią wody, Cyl śpi, Vixen ją trzyma.

Odwracam głowę, zauważam, że Shady jest za mną, pilnuje, bym nie utopił się we śnie.

- Nie spałeś zbyt długo – oznajmia.
- Czuję się, jakbym kimał przez wiele dni – mówię jej, trąc moje czerwone oczy słonymi, odrętwiałymi palcami.
- Byłeś przytomny kilka dni – Shady podejmuje wątek
- a spałeś tylko godzinę.
- Jak długo tu jesteśmy?

- Znowu zapomniałeś?
Przytakuję.
- Przestaliśmy liczyć dawno temu. Miesiąc, może dwa.
Oczy mnie pieką, a gdy słyszę jej słowa, chce mi się płakać.
- Nasze wspomnienia pojawiają się i znikają, zwłaszcza, gdy sobie pośpimy. Nie możemy im już ufać.
- W ogóle niewiele pamiętam.
- Bo nie dzieje się nic wartego zapamiętania. Na zmianę śpimy i jemy meduzy, całymi dniami. A czasem ktoś z nas popada w amnezję i wtedy musimy mu wiele rzeczy wyjaśniać.
- Co z urzędzeniem śledzącym? – pytam.
- Nie ma go. – Shady oznajmia łamiącym się głosem.
- Co z nim się stało? Zepsuło się? Utonęło?
- Nie. Soul je otworzył. Nie znalazł nic w środku. To było tylko puste pudełko z mrugającym czerwonym światełkiem.
- Jesteś pewna? – Nie daję za wygraną.
- Tylko rekwizyt filmowy. Nie prawdziwe urządzenie do namierzania.
- Dobra, a co z rekinem?
Shady milczy.
- Był rekin, mówili, że zabił Normę.
- Nie – zaprzecza. – Norma się utopiła. Tu nie ma nic oprócz meduz.
- Mówili, że to był wielki rekin, który zabił ją jednym ugryzieniem!
- Pamięć znów płata ci figle.
- Rozbrzmiewa wysoki krzyk i wszyscy nagle zamierają. Obok nas porusza się płetwa, brutalnie rozpryskując wodę tuż przy Cyl. Vixen odciąga od niej dziewczynę.

– Rekin! – wrzeszczy Grim i zbijamy się wszyscy w jedną kulkę.

Płetwa znika pod powierzchnią. Cyl drze się, ile sił w płucach. Trzymamy ją, by nas nie pobiła, wymachując ramionami jak szalona.

– Moje stopy! – krzyczy. – Patrzcie na moje stopy!

Sadzamy ją na pływaku, odsłaniając ślady po ugryzieniu bestii.

Na ten widok aż odskakujemy. Cyl nie ma stóp. Ale nie widać też krwi. Jej nogi są puste, w środku nic nie ma. Woda wytryskuje z dziur i wpada do oceanu.

Cyl przestaje wrzeszczeć, kiedy zauważa w jakim stanie są jej nogi. Jakby tak naprawdę nie czuła żadnego bólu. Otwiera szeroko oczy. Patrzy, najnormalniej w świecie, na strumienie wody wypływające z pustych kończyn.

– Czym ty do cholery jesteś? – wydiera się Vixen.

Rekin krąży gdzieś w tle, ale nasza uwaga skupia się wyłącznie na Cyl.

Dziewczyna jest zdezorientowana, może zszokowana, nic nie mówi, nie oddycha. Unosi nadgarstek na wysokość twarzy, przygląda mu się w skupieniu. Potem robi w nim dziurę paznokciem. Wąska stróżka wody wystrzeliwuje z niej, jakby podcięła sobie żyłę. Wszyscy obserwujemy, rekin czai się gdzieś za nami, a ona zaczyna pić ze swej ręki. Nagle podnosi głowę i uśmiecha się.

– Jestem jak meduza! – oznajmia nam.

I leci do tyłu, wyczerpana.

– Jestem rozgrzana – bredzi. – Jestem taka nagrzana. Woda...

Shady popływa do niej, patrzy na puste nogi.

– Ma rację – mówi. – Jest jak meduza.

Wszyscy wzdychają głośno, jakby wielka zagadka nagle została rozwiązana.

Wtedy Shady wgryza się w ramię Cyl, zrywając z niej gumową skórę. Dziewczyna nie krzyczy, patrzy sobie, jak Shady przeżuwa jej ciało jak meduzę. Reszta dołącza się, obgryzają ją, wyciskając wodę prosto do ust.

Podpływam, gdy Shady żuje akurat tył głowy dziewczyny. Cyl jest kompletnie opróżniona. Widzę wewnętrzną stronę jej twarzy.

– Przestańcie – mówi dziewczyna i widząc od środka jej poruszające się wargi czuję się, jakby ktoś wbijał gwoździe w moją szyję. Brak strun głosowych, brak mózgu, brak krwi. Jak ona funkcjonuje?

– Mark, ona jest meduzą – stwierdza Shady, wpychając mi do ust jedną z pustych piersi Cyl. – Jedz ją.

* * *

– Budzić się! – Ktoś wrzeszczy przez megafon.

Otwieram oczy, widzę tuż przed sobą małą motorówkę i wycelowaną we mnie kamerę.

Mój wzrok robi się wyraźniejszy i dostrzegam trzech mężczyzn na łodzi. Operatora, dźwiękowca i reżysera uzbrojonego w tubę, przez którą się wydziera.

– Mamy pornola do nakręcenia – mówi. – Żadnego spania w czasie pracy!

Nie poznaję go. Nie jest reżyserem – przynajmniej nie tym, którego zapamiętałem. Właściwie to nie znam żadnego z tych gości. Pracujemy od lat z tym samym reżyserem, chodzimy razem pić, oglądać mecze baseballowe, ale ci ludzie są mi całkowicie obcy i w dodatku krzyczą na mnie jakbym był na musztrze. Nie jestem pewny, jak wyglądała prawdziwa ekipa ani jak się nazywali, ale ci tutaj to nie oni. Jestem o tym przekonany.

– Zaczynjcie się pierdolić! – krzyczy do mnie reżyser.

Widzę, że King Soul i Grim atakują drużynowo leżącą na pływadełku Vixen, walcząc o to, by znaleźć się w dogodnej pozycji.

Odwracam się do Shady, która kołysała mną, gdy spałem.

– Kiedy przybyli? – pytam.

– Parę dni temu. – Shady szepce mi do ucha. – Urabiają nas dzień i noc. Nie sądzę, byśmy wytrzymali dłużej. Nie pozwolą nam wejść na łódź, dopóki nie zbiorą dość porządnego materiału na film.

– Pod wodę! – krzyczy reżyser, celując w nas palcem niczym sam Bóg.

Ja i Shady jesteśmy wciągani pod powierzchnię – meduzy gromadzą się wokół naszych kończyn, wysysając nas pod wodę. Niewidzialne stworzenia przyciągają nas ku sobie, mój kombinezon ociera się o wytatuowane ciało kobiety. Opadając w ciemność, oddychamy na zmianę przez moją butlę tlenową. Meduzy otwierają kieszonkę na moim kroczu, wślizgują się pod kombinezon i dopasowują nas do siebie jak kawałki puzzli.

Patrzę na Shady przez okulary maski, zaciska powieki ze strachu i może z przyjemności, meduzy obejmują nasze uda i ramiona. Ale mój umysł odpywa, kiedy dociera do mnie, że ona nie ma nic w środku. Jest opróżniona, pusta. Poruszam się w otwartej przestrzeni. Mięknie mi. Nie dam rady dalej tego robić.

Ponad ramionami Shady widzę powracającego rekina. Szykuje się do ataku. Łapię ją, wyrrywam się z uścisków śliskich meduz, z łatwością unoszę puste ciało. Przebija my się powierzchnię. Shady oddycha ciężko.

– Wracajcie tam! – Słyszę okrzyki reżysera.

– Rekin! Rekin! – Shady wrzeszczy do niego.

I rekin wyskakuje z wody, przelatuje nad nami jakby jego płetwy były skrzydłami. Przecieramy oczy ze zdumienia, gdy okazuje się, że ryba ma różowo-brzoskwiniową skórę i ogromne, ludzkie piersi na podbrzuszu. Ląduje na nie spodziewającym się tego Grimie, który aż do momentu zderzenia pracował ciężko między nogami Vixen. Rekin zaczyna wiercić się na nim. On go rżnie! Grim wzywa pomocy, ale nie jesteśmy w stanie się ruszyć. Próbuje raz jeszcze, ale drapieźnik wgrzyza mu się w twarz, zdziera z niej usta.

Woda tryska z rany, głowa Grima jest pusta w środku. Po utracie dolnej połowy oblicza oczy Grima rozglądają się, przyglądając się wciąż gwałcącemu go rekinowi-kobiecie.

– Dalej, nie przestawać! To jest świetne! – Reżyser dopinguje rekina. – Właśnie na coś takiego czekaliśmy!

Vixen jest uwięziona pod Grimem. King Soul odpływa powoli, nie kwapiąc się do niesienia pomocy koledze. Vixen odpycha Grima, ale są przygwożdżeni do siebie przez pływadełko i ciężar wielkiej ryby.

Grim szarpie się, bije pięściami, lecz rekin nie przestaje go pieprzyć, zaczyna zjadać kolejne kawałki jego ciała, wrywa mu ręce ze stawów, połyka, potem pożera pozostałości jego głowy, przeżuwa kłatkę piersiową trąc o nią swoimi rekinimi piersiami.

– Och, co za scena! – Reżyser nie posiada się z radości.

Vixen kopie bestię. Próbuje uciec, ale rekin kłapie szczękami, pochłaniając całą jej twarz i wraca do masakrowania dolnej połowy Grima. Pozbawiona rysów Vixen odpływa na ślepo.

– Mark – rozkazuje reżyser – wypierdol rekina w dupę!

– Nie nazywam się Mark! – odpowiadam, oddalając się od ryby-gwałciciela.

Gdy jestem już w bezpiecznej odległości, odwracam się i widzę, że King Soul z Shady wkradają się na motorówkę. Reżyser drze się do mnie, żebym wrócił uprawiać seks z rekinem.

Soul, tylko w Speedo w lamparce prążki, ma w dłoni coś ostrego. Może nóż, albo zbitą butelkę po piwie – coś, co znalazł na łodzi. Dźwiękowiec obraca się w jego stronę, a Soul przecina go na pół. Ciało członka ekipy rozpada się na dwie części, zagina się do tyłu, puste w środku. Woda ochlapuje Soula, osłepiając go akurat wtedy, gdy reżyser i kamerzysta ruszają do akcji.

Pozbawione twarzy ciało Vixen płynie w moją stronę, podążając za moimi pluskami. Próbuję ją ignorować: widok żywej, poruszającej się kobiety, która nie ma twarzy, jest zbyt okropny.

Widzę jak Shady wychodzi z wody. Jej tatuaże wyglądają jak pokrywająca skórę łuska. Walczy z reżyserem uzbrojona w statyw od mikrofonu, rozebrana, lecz dzięki obrazom na ciele nigdy tak naprawdę nie jest naga. To piękna kobieta, mimo że jest też gwiazdą porno. Ale obecnie, gdy coś opróżniło jej wnętrze, uroda jest wyłącznie powierzchowna.

Shady wbija kij w klatkę piersiową reżysera, a on próbuje trafić ją megafonem. King Soul odcina nogę kamerzysty, woda wylewa się na pokład.

Vixen, potwór bez twarzy, jest teraz za mną. Łapie mnie i przytrzymuje, tuląc się do mojego ciała.

Rekin wskakuje do łodzi, rozrywając na strzępy kamerzystę i przepoławiając Soula.

Cała woda wycieka mu z rany, ale jedna z połówek jego ciała nadal stoi. Pojedyncza noga i pojedyncza ręka próbują utrzymać równowagę.

Słysząc rekina pałaszującego gumowe mięso. Lewa połowa Soula utrzymuje się w pozycji stojącej na tyle długo, by odciąć głowę reżysera, kołysząc się na jedną stronę i wyrwywając głowę adwersarza prosto z szyi. Obaj wpadają do wody.

Shady zostaje na łodzi sama. Na twarzy ma grymas zaskoczenia, wydaje się, że dopiero się obudziła i nie pamięta, że to dzieje się naprawdę. Trzęsie się ze strachu, gdy zauważa rekina, jednocześnie zjadającego i pieprzącego człowieka. A potem, widząc prawą połowę Soula leżącą nieopodal, wciąż podrygującą, krzyczy ogłuszająco. Po kolei wrzuca mężczyzn do wody, a rekin zaczyna ich ścigać.

Próbuję krzyknąć do Shady, ale ona zdaje się mnie nie słyszeć. Musi być okropnie zdezorientowana. A Vixen oplata mnie swoimi nogami z gumy, nie pozwala mi podплыnąć bliżej.

Shady zawraca łódź i znika szybko w oddali, starając się zostawić rekina w tyle.

A ja jestem znowu sam na oceanie. Sam z Vixen, abominacją bez twarzy.

Ona wciąż mnie pieści. Patrzę na tył jej głowy, ponieważ nie ma żadnych oczu, w które można by spojrzeć. Przyciąga mnie, opierając dłoń na mojej czaszce. Chce, żebym ją pocałował. Ale, że nie ma twarzy, moja własna wślizguje się w jej pustą głowę. Tylne ściana jej wnętrza jest gładka i słona. Zamykam oczy, przytulam ją mocniej.

* * *

Budzę się na plaży, gapię się na jasne słońce. Spieniona, słona woda lśni wokół mnie.

Siadam.

Mam na sobie biały smoking. Mój umysł też wydaje się biały, jak pusta kartka papieru.

Wyspę pokrywa bujna roślinność, nieopodal widzę wzgórze. Strumyk wody wycieka mi z nosa. Idę plażą, słońce śledzi mnie jak kamera. Jestem dla niego telewizyjnym widowiskiem. Po dłuższym spacerze znajduje stolik na dwie osoby. Zakrywa go biały obrus, na środku stoi bukiet polnych kwiatów.

Siadam na jednym z krzeseł, strząsając piach ze smokingu i dłoni. Moja twarz opada na obrus, oczy rozbiegają się.

– Czy mogę coś podać, monsieur? – pyta mnie szorstki głos.

Unoszę głowę i widzę małego człowieka, nie więcej niż trzy i pół stopy wzrostu, stojącego na pieńku. Nosi prawie identyczny smoking jak mój. Ma także pasującą do niego opaskę na oku.

– Przepraszam? – Mój umysł wiruje.

– Czy mogę przyjąć zamówienie, monsieur?

Przyglądam się moim dłoniom jakbym trzymał menu, a potem zwracam wzrok z powrotem na małego człowieka. Szeroko otwieram usta, mrużąc oczy.

– Tak – odpowiadam. – Poproszę pieczeń wołową.

– Znakomicie, monsieur – mówi mały człowiek, zapisując zamówienie w notesie. – Jaki napój mogę podać?

– Zwykłą wodę.

– Znakomicie, monsieur – powtarza, gryzmołąc swoje notatki. – Czy oczekuje monsieur kogoś? Czy może będzie jadł sam?

– Nie wiem – przyznaję szczerze.

W moim polu widzenia zjawia się kobieta, krocząca po plaży. Dostrzega mnie i macha ręką, uśmiechając się szeroko. Nie poznaję jej, ale zdaje się, że ona mnie tak. Jest naga, jednak na jej ciele wytatuowano białą sukienkę. Jej głowa jest całkowicie łysa, ale ma na niej tatuaż przedstawiający wieczorowy kapelusz, przechylony na jedną stronę.

Jej uśmiech robi się jeszcze szerszy, kiedy siada przy stoliku naprzeciwko mnie, mówiąc:

– Witaj, Charles, czyż dzisiejszy dzień nie jest wyjątkowo piękny?

– Tak – potwierdzam i układam usta w półuśmiešek.
– Jeden z najładniejszych, jakie widziałem.

Spuszcza wzrok, spogląda na moje ręce i jej uśmiech zmienia się w grymas furii i szoku.

– O mój Boże, twój pierścionek jest krzywy.

Szarpie za moją dłoń i poprawia obrączkę. Potem splata my palce i na jej serdecznym zauważam podobną obrączkę, tyle że wytatuowaną.

Gdy stwierdza wreszcie, że mój pierścionek znajduje się dokładnie w tym samym miejscu co jej, zbliża twarz do mojej i znów widzę szeroki uśmiech.

– Pańska woda, monsieur – mówi mały człowieczek, stawiając na stole zapiaszczoną szklankę.

Potem zamyka zdrowe oko i wkłada sobie kciuk do ust, odgryzając jego czubek. Po czym wypełnia szklankę wodą ze swojego wnętrza.

Wzdycham, upijając łyk. Kobieta wciąż więzi moją dłoń w mocnym uścisku, ale próbuję ją uwolnić.

Mały człowiek popędza moją towarzyszkę.

– A dla pani, madame?

Ja zaś patrzę w dal i odnajduję wzrokiem inną szczęśliwą parę na plaży. Kobieta, której brakuje przedniej części głowy, grzebie połowę czarnego mężczyzny w namokłym piachu, a przyływ zalewa scenę bez zgody księżycy.

ROBERT CICHOWLAS

DUCKFUCKER

Filip nie mógł narzekać na swoje życie. Prowadził świetnie prosperujące biuro nieruchomości, posiadał piękny dom z ogrodem w najspokojniejszej dzielnicy miasta, dwa nowe samochody, Harleya-Davidsona i szafę pełną najmodniejszych garniturów od Giorgio Armaniego. Miał też Darię, zmysłową i inteligentną dziewczynę, której zazdrościł mu każdy, niezależnie od płci. Daria miała metr osiemdziesiąt wzrostu – z czego większość stanowiły nogi – wąską talię, ponętną, zgrabną i miłą w dotyku pupę oraz piersi wielkości dojrzałych grejpfrutów. Znała trzy obce języki, czytała co najmniej dwie książki w miesiącu, lubiła mecze piłki nożnej, picie piwa prosto z puszki i seks w każdej pozycji. Najbliżsi przyjaciele Filipa powtarzali mu, że znalazł kobietę doskonałą. On sam również był gotów to przyznać, nie tylko przed kumplami, ale i przed samym sobą. Uwielbiał tę dziewczynę, absolutnie. Jednak pewna jego słabość sprawiała, że dręczyły go wyrzuty sumienia względem Darii.

Chodziło o kaczki.

Z oczywistych przyczyn nigdy o tym nie wspominał. Usiłował tłumaczyć sobie, że każdy ma jakieś nietypowe upodobania czy nawet drobne zboczenia, to całkiem normalne.

Wystarczyło spojrzeć na jego mamę. Nigdy nie jadła jajecznicy czy placków ziemniaczanych, za to codziennie spożywała czosnek. Nie dlatego, że tak zalecił jej lekarz, ale z czystego zamiłowania do zapachu czosnku. Taka po prostu była i każdy ją akceptował. Wuj Stanisław z Gądek codziennie pucował swoje buty na błysk, choć przecież nie musiał tego robić tak często. Ot, zboczenie, z którym pogodzili się jego najbliżsi. Jeden z pracowników Filipa był natomiast gejem. Nie każdy lubi pedałów, trzeba to uczciwie przyznać, lecz przecież nikt nie strzela do przypadkowo napotkanego geja z karabinu szturmowego. Ani nawet nie każe mu spierdalać. Dopóki, oczywiście, jeden z drugim nie zaczną się do siebie przystawiać, ale to już inna sprawa. Wiele jest zboczeń, które należy akceptować, by wpasować się w czasy, w jakich przyszło nam żyć.

Normalne więc, że i Filip miał swoje zboczenie, czy może raczej: słabość – jak wolał określać swe zamiłowanie do kaczek.

Najogólniej mówiąc: lubił je pieprzyć.

Potrąficie sobie wyobrazić wyperfumowanego, trzydziestośmioletniego biznesmena w garniturze za kilka tysięcy złotych, kupującego na bazarze żywą kaczkę, a potem prędko wracającego do domu, by ją wydupczyć?

Oto cały Filip. Miłośnik kaczek. Czasami żartował w duchu, że gdyby kaczkę potrafiły gadać, z pewnością określiłyby go mianem kochanka doskonałego! Jeśli chodzi o seks ze swoimi oblubienicami, Filip był otwarty na wszelkie nowe doświadczenia. Posuwał je w kuper, czasami przez długie godziny. Trzymał kaczkę pewnie i mocno, nadziewając ją na swego zaganiacza. Niekiedy trzeba było wiązać im nóżki, gdyż drapały, zarazy jedno. Zdarzało się, że kaczkę nie wytrzymała i padała, a wtedy wciskał pe-

nisa w jej dzióbek. Kilka razy zdarzyło mu się pozbawić kaczkę głowy i wetknąć wacka w dziurę w szyi, ale szybko uznał, że to nie dla niego. Owszem, ostre rypanko było przyjemne, lecz nie za bardzo podobał mu się widok krwi. No i to, że kacze brakowało głowy.

Najczęściej zabawiał się w ten sposób popołudniami i wieczorami, gdy miał już odbębnią robotę i kiedy Daria wyruszała na spotkania z przyjaciółkami. Czasami przed wyjściem na miasto namawiała go na numerek, ale posiadał godną pozazdroszczenia umiejętność wymigiwania się od wszelkich niepożądanych czynności. A seks z Darią przed seksem z kaczką należał niewątpliwie do czynności niepożądanych. Daria miała temperament gwiazdy porno, zaś Filip po popołudniowych numerkach z nią bywał tak wykończony, że później nie zawsze mu stawał. Bywało, że musiał ładnych kilka minut bić konia, a w tym czasie kaczką biegła po ogrodzie i srała gdzie popadnie. Jemu to nie przeszkadzało, lecz potem Daria niepotrzebnie się irtowała. Nie mógł wcisnąć jej kitu, że to gołębi stolec, była na to za bystra. Gdy sytuacja z gównem powtórzyła się, udawał zdziwionego, oznajmiając, że to prawda, słyszał jak kwaczą, ale nie ma pojęcia dlaczego upodobały sobie ich ogródek.

– Kochanie, to tylko kacze gówienko – mówił łagodnie.

– Trzeci dzień z rzędu! Skąd to się bierze? Jeszcze trochę a utoniemy w tym paskudztwie – burzyła się.

– Spokojnie, skarbie, nie będzie tak źle...

Zdarzyło się parę razy, że kaczką nasrała w domu, a on tego nie zauważył. Za pierwszym razem narobiła w salonie, gdzie Filip zwykł się zabawiać ze swoimi kochankami. Daria była skonfundowana, ale powiedziała tylko, że jakaś kaczką musiała się przypadkiem dostać do ich

domu, najpewniej przez otwarte drzwi. Było akurat lato, więc nie miała powodów do podejrzeń. Gorzej, że do podobnej sytuacji doszło również w samym środku zimy. W dodatku pukał kaczkę nie w salonie, a w łazience, bo miał kaprys, że zaszaleje z nią wannie. Jak chciał, tak zrobił, niemniej w trakcie rypanka, kaczką wysmyknęła mu się z rąk i zaczęła świrować. I srać. Filip godzinę po niej sprzątał, a i tak przeoczył jedną kupę, niech to szlag! Daria była w szoku, kiedy się na nią napatoczyła.

– Czy ty hodujesz w domu kaczkę? – zapytała całkiem serio.

Nie wiedział co powiedzieć. Na szczęście w sytuacjach stresujących potrafił zachować zimną krew. Wybałuszył oczy i rozłożył ręce.

– Zabij mnie, nie mam pojęcia, skąd to gównem się tu wzięło – oznajmił, udając zdziwienie. – W każdym razie to nie ja, możesz mi wierzyć.

Patrzyła na niego podejrzliwie, ale był pewien, że niczego się nie domyśliła.

Z pozbyciem się kaczkę po bzykanku nie było problemów. Filip ukręcał jej łeb, a następnie wkładał do worka na śmieci i wrzucał do bagażnika swojego Mercedesa. Na drugi dzień, w drodze do firmy, zatrzymywał się przy rzece i topił martwą kochankę. Nic prostszego!

Filip bardzo dbał o higienę. Poniekąd z racji zawodu – jako prezes firmy musiał być czysty i wyglądać schludnie – a poniekąd ze względu na Darię. Gdy on walił w kuper kaczkę, ona wypijała dwa piwa na mieście z koleżankami, a potem wracała do niego, napalona i seksowna jak diabli. Po wspomnianych dwóch piwach była już lekko wstawiona, a co za tym idzie – jeszcze odważniejsza w łóżkowych poczynaniach. Po powrocie do domu wpadała do łazienki,

brała prysznic, a następnie przywdziewała seksowną bieliznę i zaczynała umizgi. Pod delikatnym materiałem jej jedwabnego staniczka kryły się wielkie piersi o nabrzmiałych sutkach, zaś w skąpych majteczkach było wilgotno i ciepło.

Zaczynała od ssania jego penisa, więc ten musiał być czysty i pachnący. Niekiedy, gdy patrzył jak Daria robi mu laskę, w głowie Filipa pojawiała się pytanie: ciekawe, jak by zareagowała, gdyby dowiedziała się, że ssie kutasa, którym dwie godziny wcześniej posuwał kaczkę. Czy zdołałby jej wytłumaczyć, że to silniejsze od niego? Że potrzeba obcowania płciowego z ptactwem jest przemożna i że inaczej żyć nie potrafi?

Nie. Na pewno nie. Porzygałaby się i rzuciła go w pizdu. Więcej by jej nie zobaczył.

Dlatego siedział cicho. Walił w kuper kaczki, a gdy wracała Daria, posuwał ją w tyłek i pozwalał ssać sobie fujarę. Daria to uwielbiała. Dosłownie leciało jej z cipy, gdy pieściła ustami twardego członka. Filip wyćwiczył w sobie zdolność do częstego, profesjonalnego uprawiania seksu. W końcu musiał być przy Darii wiarygodny. Stukał ją jak rasowy aktor porno, tak jak lubiła najbardziej. Była seksholiczką, zostawiłaby go, gdyby zaczął się wykręcać. Czasami miewał kryzys, myślał tylko i wyłącznie o kaczkach, nie mając ochoty na seks z Darią, ale tłumaczył sobie, że jeśli chce utrzymać związek, musi się poświęcać.

Kochał tę dziewczynę. I to miłość do niej nie pozwalała mu jej zostawić. Miłość i przywiązanie. Była mądra, lubił z nią rozmawiać, polemizować, a czasami nawet się kłócić. Z kaczkami nie pogadałby sobie o polityce, sytuacji w firmie, nie pojechałby z nimi na zakupy czy na wakacje. Kaczki były miłe, rewelacyjnie sprawdzały się w łóżku,

ale na tym koniec. Były tylko jego kochankami, a nie życiowymi partnerkami.

To z Darią chciał spędzić resztę życia, mieć z nią dzieci i tak dalej.

Chociaż w pewnym momencie sam już nie był pewien, czego właściwie chce...

* * *

Pierwszą poważną wpadkę zaliczył na początku lata, a dokładniej rzecz ujmując, pierwszego wieczoru po jakże obfitym w niezapomniane wrażenia dniu, kiedy to zabrał się z kilkoma kaczkami naraz. Postanowił spróbować czegoś nowego, zdecydowanie bardziej czasochłonnego. Nadarzyła się ku temu świetna okazja – Daria pojechała do swojej matki, obchodzącej pięćdziesiąte piąte urodziny. Filip nie przepadał za tą babą, zresztą z wzajemnością, a Daria już jakiś czas wcześniej zaprzestała prób budowania dobrych relacji między nimi. Teściowa, ceniąca sobie starą szkołę dobrego wychowania, zarzucała Filipowi arogancję i brak kultury osobistej. Filip natomiast nie mógł znieść jej czepialstwa. Nieustannie upominała go jak powinien się zachowywać, jak się wysławiać i jak rozmawiać z ludźmi. To prawda, niekiedy nadużywał kolokwializmów, czasem wymysknęło mu się w jej obecności drobne przekleństwo, ale na litość boską, nie zamierzał zachowywać się przy niej jak biznesmen na spotkaniu z kontrahentem. Awersja, jaką czuł względem tego babsztyla, nie pozwalała mu się przełamać i pojechać na urodziny teściowej. Ze względu na Darię zadzwonił tylko i życzył wszystkiego najlepszego. Oczywiście i w tym przypadku nie obyło się bez docinek kierowanych pod jego adresem.

– Zawsze powtarzasz tę wyświechtaną formułkę, Filipie? Dzwoniąc do któregoś ze swoich kolegów od pokera, by złożyć mu życzenia, też powtarzasz: zdrowia, szczęścia, pomyślności? Nie mylę się?

Filip nie grywał w pokera. Nigdy.

Nie raczył nawet odpowiedzieć na to pytanie. Odłożył słuchawkę bez pożegnania, mając nadzieję, że teściową niezmiernie to wkurwiło.

Niech sra na czerwono, pomyślał.

Daria pojechała więc sama. Miała wrócić późnym wieczorem albo nawet na drugi dzień. Wszystko zależało od tego, czy inni goście będą się bawić aż do bladego świtu.

Mógł się, kurwa, spodziewać, że wszyscy zwiną żagle przy pierwszej lepszej okazji.

Zakupy zrobił na targowisku ze zwierzętami. W bagażniku wiózł dziesięć dorodnych kaczek. Szamotały się straszliwie, ale to w sumie tylko dobrze wróżyło. Przestraszone wydają więcej dźwięków podczas seksu, co dodatkowo Filipa podniecało.

Zaparkował na podjeździe, wyjął z bagażnika worek, a następnie wszedł z nim do domu. Przez moment zastanawiał się co zrobić, by zszokowane kaczki nie zaczęły srać ze strachu. Ostatecznie postanowił dać im kilka minut, by się uspokoiły. Włączył muzykę klasyczną. Przy Bachu stawały się zrelaksowane.

Zanim otworzył worek, zrzucił z siebie ubranie. Jego wacek już radośnie podrygiwał. Myśl, że za chwilę przeleci je wszystkie sprawiła, że Filip aż zarechotał.

Wyciągnął pierwszą kaczkę, ściskając ją mocno za szyję. Zrobił to trochę za mocno, gdyż po chwili kaczka zaczęła rzygać na zielono, a potem znieruchomiała.

Kurwa!

Musiał ją przypadkowo uszkodzić i padła. Cholerna jęzda. A taka była atrakcyjna. Wrzucił ją pod stojący w salonie stół, a następnie wyciągnął z worka kolejną. Gdzieś niedzie miała połamane pióra, najpewniej na skutek szamotaniny. I dziobała, zaraza jedna, dlatego ścisnął jej mocno dziób i powiedział łagodnie, aby się uspokoiła.

– Twój ogier jest tutaj – dodał. – O nic się nie martw. Nikt jeszcze nie przeleciał cię tak, jak ja to za moment zrobię. Będiesz kwakać z rozkoszy, zobaczysz.

Miał pecha. Gdy osiągnął pełną erekcję i nadział kaczkę na fiuta, ta zaczęła srać. Rzadko się zdarzało, że wypróżniały mu się na nogi, ale ta najwyraźniej miała coś nie tak z żołądkiem. Musiała się czegoś nażreć, pomyślał zdesperowany Filip, odrzucając od siebie pierzastą kochankę. Ptak zaczął kwakać jak opętany i gonić po salonie jakby to był tor wyścigowy. Przez dobrą minutę Filip bezskutecznie usiłował złapać cholerną kaczkę. W końcu przywalił jej rurą od odkurzacza. Padła natychmiast.

Kurwa, kolejna poszła się jebać, pomyślał wkurzony i zrozpaczony zarazem.

Zostało jeszcze osiem. Wydupczy je wszystkie, a potem niech się dzieje co chce. Niech się posrają, porzygają, pozdychają. Miał to w dupie. Jego penis był tak twardy, a żądza seksu tak wielka, że przestał nad sobą panować. W głowie miał tylko jedno.

Wydobył kolejną kaczkę. Tym razem chwycił ją odpowiednio i po kilku sekundach już ją na siebie nadziewał. Przeszywały go dreszcze, czuł, że orgazm jest bliski. A dopiero co zaczął! Ale to nic. Nawet jeśli teraz się spuszczę, za chwilę podziałam od nowa. A potem jeszcze raz!

Pierwszy strumień spermy trafił w kaczyc kuper, dwa kolejne chlapnęły na jej pióra, gdyż Filip wyjął członka,

chcąc patrzeć, jak kochankę zalewa nasienie. Nie ruszała się. Cholera, czyżby kolejna zdechła? Nie do wiary!

Zaczął ją okładać penisem – głowę, nóżki, brzuch. Ani drgnęła.

Rzucił ją pod stół.

Kurwa jej mać.

Zrezygnowany Filip chciał trochę ochłonąć. Poszedł do kuchni, napił się wody, zapalił papierosa. Rzucił palenie jakiś czas temu, ale teraz musiał się porządnie zaciągnąć. Ot, dla odzyskania spokoju. Całe szczęście, że nie pozbył się awaryjnej paczki Marlboro, do czego nieustannie namawiała go Daria. Pieprzyć ją! Przecież jest u matki, pomyślał. Niech się dobrze bawią, ja też zamierzam się zabawić.

Wrócił do salonu i zauważył, że trzem kaczkom udało się wydostać z worka. Łaziły po perskim dywanie i kwały jak najęte.

Zagonił jedną w róg pomieszczenia, a potem złapał ją, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Nie wiem jak ty, ale ja jestem gotowy – wysapał.
– Chcesz zobaczyć jak mi stoi?

Skierował główkę kaczki w dół, aby miała doskonały widok na jego erekcję. Zaczęła go okładać skrzydłami, więc wzmocnił uścisk, ale nie na tyle, by odebrać kochance życie.

Kolejne piętnaście minut należało do niego. Wydupczył przez ten czas trzy kaczki, każdą w kuper. Spuszczał im się na dzióbki i brzuchy. Było mu tak dobrze, że cały dygotał. Kaczki, o dziwo, nie wierzgały ani nie dziobały, więc postanowił, że schowa je z powrotem do worka; będą na później.

W trakcie kolejnej przerwy, gdy siedział w kuchni i palił papierosa, usłyszał dźwięk, który dosłownie go sparaliżował.

Był to dźwięk silnika samochodu Darii. Wjeżdżała właśnie na podjazd.

Która godzina? Tylko to jedno pytanie przyszło mu do głowy. Zegar na mikrofalówce wskazywał dwudziestą piętnaście. Co się, kurwa, stało, że wróciła tak wcześniej?

Miał dosłownie minutę na ubranie się, złapanie dwóch kaczek, które dreptały po salonie, ukrycie worka i posprzątanie po orgii. Zerwał się na równe nogi, wciągnął dzinsy, założył koszulkę, nie zapomniał też o skarpetkach, po czym wpadł do salonu jak rozwścieczone zwierzę. Kaczki wprawdzie udało mu się złapać, ale na znalezienie miejsca, gdzie mógłby schować worek nie już miał czasu, więc wrzucił go do wanny. Ptaki kwakały jednak jak oszalałe i trzeba było natychmiast je uciszyć. Filip nie miał wyboru – wlaźł do wanny i zaczął deptać worek, a pewnym momencie nawet po nim skakał. Czuł do siebie odrazę, a w stosunku do kaczek ogromne wyrzuty sumienia. Ale jak mus, to mus. Kaczki szybko umilkły...

Wróciwszy do salonu, usłyszał trzask zamykanych drzwi auta. Daria zaraz tu będzie, pomyślał, rozglądając się w panice za odkurzaczem. Stał na dywanie odkąd Filip zdemontował rurę, którą zatłukł jedną z kaczek. Rura też szybko się znalazła. Podłączył odkurzacz i zaczął sprzątać. Zdążył oczyścić salon z piór, ale kilku góvien nie dało się wciągnąć, więc przesunął dywan, zakrywając je.

O czymś zapomniałem, pomyślał, ale nie miał już ani sekundy na dociekanie, o co mogło chodzić.

Rozległ się dzwonek u drzwi.

– Idę! – krzyknął.

Schował odkurzacz do szafy, po czym nerwowo rozejrzał się po salonie. Trochę cuchnęło, więc otworzył okno na całą szerokość.

Kolejny dzwonek.
– Już idę, kochanie!

* * *

To, o czym zapomniał, to dwie martwe kaczki pod stołem w salonie. Przypomniał sobie o nich w momencie, gdy Daria prowadziła go za rękę do sypialni. Całe szczęście, że nie próbowała zaglądać do łazienki, pomyślał Filip, ale co to będzie jak zejdziemy z powrotem na dół?

Póki co miał trochę czasu na zastanowienie. Daria nie zwróciła nawet uwagi na otwarte okna w salonie. Gdy tylko przekroczyła próg domu, pocałowała Filipa i sięgnęła do jego rozporoka.

– Palisz – zauważyła.

Nie bardzo wiedział, jak zareagować. Nie odpowiedział więc, ani nawet nie skinął głową. Daria nie wyglądała jednak na rozczarowaną.

– Chodźmy na górę, mam ochotę cię poujeżdżać. Ale zanim zacznę, zrobię ci loda. – Zmrużyła oczy i zamruczała. – Będę wydawać odgłosy jak w tanim pornosie, co ty na to?

Naprawdę to kochała. Ostre rżnięcie, ssanie penisa, politykanie spermy, lizanie jąder i odbytu. Jęczała przy tym, krzyczała, mruczała, niekiedy przeklinała, a i zdarzało jej się wyc jakby zamiast przyjemności doznawała nieopisanego bólu.

– Lubię, jak odzywa się w tobie dusza maniaczki seksualnej – wymamrotał, a ona w odpowiedzi zachichotała i ścisnęła mocniej jego dłoń.

Tym razem nie bawiła się w przebieranki, nie przebierała też w słowach. Po prostu zdjęła ubranie i naga pchnęła go na łóżko.

– Wyskakuj z ciuchów – rozkazała. Widok jej piersi sprawił, że zeszytniał mu członek. Miała całkowicie wygolone łono, dzięki czemu mógł podziwiać jej nabrzmiałe wargi sromowe.

Zaczął się niezdarnie rozbierać. Najpierw pozbył się skarpetek. Daria nie znośła, gdy ściągał je jako ostatnie. Następnie zdjął koszulkę, a na końcu spodnie. Po orgietce z kwaczącymi kochankami nie założył nawet majtek. Daria jednak nie uznała tego faktu za podejrzaną, wręcz przeciwnie, natychmiast chwyciła jego penisa, mocno go ściskając. Znowu zachichotała, wyraźnie podniecona i skora do zabawy.

Skoczyła na niego, po czym kilka razy otarła się piersiami o jego twarz. Udało mu się trącić językiem jej sterczący sutek.

A potem zesza niżej, by wziąć w usta jego twardego członka.

I nagle znieruchomiała, na dwie może trzy sekundy, jednak Filipowi wydawało się, że upłynęła cała wieczność.

Podniosła głowę i spojrzała na niego. Na jej twarzy malowało się znieśczenie, które wkrótce zmieniło się w rozczarowanie, a następne w zdziwienie.

Przełknął ślinę. Serce zabiło mu mocniej.

Do jej ust przykleiło się kacze piórko. W kącikach miała też coś ciemnego, kleistego, co mogło być tylko kaczym stolcem.

Spojrzał na penisa. Cały był oblepiony piórkami i...

O, matko, pomyślał. No to jestem ugotowany.

Nie umył fiuta. Nigdy o tym nie zapominał! To była podstawa – szorowanie kutasa po dymaniu kaczek. Cholerny priorytet!

Daria powoli usiadła na łóżku, po czym starła z ust piórko i kacze gówno.

– Jest coś, o czym nie wiem? – zapytała, nie spoglądając na niego.

– Ja... – wydukał.

Potrząsnęła głową, dając mu do zrozumienia, że nie chce, aby się tłumaczył.

– Gdybyś dał mi jakikolwiek sygnał – zaczęła mówić spokojnie, ale jej głos załamał się i omal się nie rozpląkała. – Gdybyś wysłał mi choćby krótki sygnał...

– Daria, ja...

Odwróciła się do niego.

– Już jakiś czas temu zaczęłam podejrzewać, że coś jest nie tak, ale wolałam nie dociekać. Filipie, nie musiałeś tego robić, naprawdę. – Miała łzy w oczach. – Każdy ma swoje potrzeby, a związek opiera się na wzajemnym zaufaniu i rozmowie. Wiesz do czego zmierzam?

Spuścił głowę.

– Ja też mam swoje potrzeby i pragnienia, i mówię ci o nich otwarcie.

– Wiem.

– Od dawna to robisz?

Zabiła go tym pytaniem.

– Cóż... Ja...

– Powiedz mi prawdę.

– Od dość dawna – wydusił.

Wstała z łóżka i podeszła do okna.

– Często? – spytała po chwili.

– Słucham?

– Czy często to robisz? – podniosła głos. Była zrozpaczona.

Filip chciał wstać, podejść do niej i ją przytulić, ale nie potrafił. Wiedział, że nie pozwoliłaby mu na to. Nie teraz, gdy tak bardzo ją zawiódł.

- Nie tak często.
- Co to znaczy: nie tak często? Dwa razy dziennie? Raz na miesiąc?
- Raz na... – Nie mogło mu to przejść przez gardło.
- Raz na...?
- Na dzień.
- Boże! Pieprzysz je codziennie?

Tamtego wieczoru więcej się do siebie nie odezwali. Daria zamknęła się w sypialni, co Filip przyjął z ulgą. Wiedział, że jego dziewczyna musi przemyśleć kilka spraw, przyswoić wszystko, czego się dowiedziała, wreszcie wyjść z szoku. Sam chciał poukładać sobie w głowie kilka rzeczy. I zrobić porządek z workiem pełnym zdechłych kaczek, który leżał w wannie.

* * *

Następnego dnia oznajmiła mu, że z ich wspólnego konta zniknie trochę pieniędzy. Przez noc nieco się uspokoiła, pomyślał Filip i skinął tylko głową, nie pytając nawet, na co Daria zamierza przeznaczyć forszę i ile jej wydać. Niech sobie kupi coś ładnego, niech wyjedzie na jakieś wakacje. Po tym co przeżyła, dziewczynie się to należy.

– Nie wiem kiedy wrócę – powiedziała i wyszła.

Jej słowa zrozumiał jednoznacznie – zamierzała wyjechać i wróci pewnie za tydzień albo dwa.

Ale ona wróciła już po południu. Tego dnia nie miał nastroju na zabawy z kaczkami, więc i nie zdenerwował się, gdy usłyszał na podjeździe jej samochód.

Jakież było jego zdziwienie, gdy z uśmiechem na twarzy poprosiła, aby poszedł z nią na górę.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Pokonywali po dwa stopnie naraz, śpiesząc się, choć Filip nie miał pojęcia do czego.

Gdy przekroczyli próg sypialni, Daria bez słowa odpięła mu koszulę, a potem zaczęła całować jego klatkę piersiową. Na początku delikatnie muskała go ustami, ale po chwili lizała każdy centymetr jego torsu, ssała i przygryzała sutki, a jej dłonie zaczęły błądzić w okolicach jego rozporoka.

Co to ma znaczyć? – zastanawiał się.

– Na szczęście nadal cię podniecam – wyszeptała mu do ucha, gdy poczuła twardniejący członek. – Wkrótce będziesz szalał z rozkoszy, obiecuję ci – dodała.

Co jej się stało? – pomyślał, patrząc, jak się rozbiera.

– Musisz być cierpliwy – odezwała się ponownie, stając przed nim w stroju Ewy. – Nie od razu dostrzeżesz zmiany, ale kiedy już zaczniesz, będziesz naprawdę zadowolony. Obiecuję ci.

Przez kolejne dwie godziny uprawiali seks w najprzeróżniejszych pozycjach. Na jeźdźca, po bożemu, potem w pozycji na nożyczki, a na koniec ssała mu penisa przez blisko kwadrans, aż obficie się spuścił. Wszystko przekłnęła. Poprosiła, by zrobił jej dobrze ustami. Kolejny kwadrans lizał jej cipkę, a ona wiła się i krzyczała z rozkoszy. Był gotowy na kolejne bzykanko. Tym razem wziął ją od tyłu, delektując się dotykiem jej gładkich pośladków. Błagała, by nie przestawał, a kiedy zwalniał, pochylała się nisko i pieściła dłońmi jego jądra. Uwielbiał to.

Gdy skończyli, byli cali mokrzy. Pościel kleiła im się do pleców. Ciężko dyszeli.

– Uwielbiam to z tobą robić – oznajmiła nagle.

Spojrzał na nią.

– Nie jesteś już na mnie zła? – spytał.

- W ogóle nie byłam na ciebie zła – odparła. – Tylko trochę... Przerażona? Zszokowana? Pewnie i zazdrosna.
Zazdrosna?
– Przepraszam...
– Nie przepraszaj. Już mówiłam, każdy ma swoje za uszami – zachichotała. – Ty masz tego całkiem sporo, ale spróbuję sobie z tym poradzić.
– Tylko jak?
– Niedługo sam zobaczysz.

* * *

I rzeczywiście, zobaczył.

Daria zmieniała się z tygodnia na tydzień. W pierwszej kolejności metamorfozie uległa jej skóra. Stała się jakby bardziej twarda i chropowata. Daria zapewniała Filipa, że to dopiero pierwszy etap zmian i że ma się tym w ogóle nie przejmować. Kilka tygodni później na jej ciele pojawiły się pierwsze pióra. Pośladki pokryły się sterówkami, jak u prawdziwej kaczki. Po upływie kolejnego miesiąca jej nogi stały się masywniejsze za sprawą dodatkowych mięśni. Stopy Darii również uległy przemianie – nie miała już pięciu, a trzy palce, spięte błonami pławnymi.

Daria nie była już kobietą. Filip wprost nie mógł w to uwierzyć. Początkowo miał mieszane uczucia, ale szybko przekonał się, że jego ukochana wpadła na genialny pomysł. A wszystko to, by uczynić go w pełni szczęśliwym. Powiedziała mu – jeszcze zanim jej twarz stała się dziobem – że znalazła świetnego lekarza, który za odpowiednią sumę zgodził się nią zająć. Z ich wspólnego konta zniknęły prawie wszystkie pieniądze, lecz Filip przyjął ten fakt z radością.

W pewnym momencie Daria już nie mogła pokazywać się publicznie, a lekarz nie zgadzał się przyjmować jej oficjalnie. Filip przeznaczył więc jeden z pokoi na piętrze na specjalną salę zabiegową, zakupił profesjonalny sprzęt, wszystko, co było potrzebne, by bez problemu sfinalizować plan jego ukochanej. Doktor przyjeżdżał do nich raz w tygodniu, wykorzystując wszystkie umiejętności i dobrodziejstwa medycyny, jakie przyniósł ze sobą dwudziesty pierwszy wiek.

Wreszcie Daria stała się kaczką. I to nie tylko zewnętrznie, ale i po części anatomicznie. Płaski, twardy dziób, piękne oczy, idealnie ukształtowane nogi i skrzydła – to tylko część zmian, jakie przeszła. Za sprawą wielogodzinnych operacji udało się przekształcić niektóre układy, jak choćby oddechowy czy wydalniczy. Dzięki temu w trakcie stosunku płciowego Filip mógł nie tylko oglądać swoją ukochaną kaczkę, ale i czuć ją – w pełnym tego słowa znaczeniu. Mógł słyszeć najprawdziwsze kwakanie oraz delektować się ciasnotą jej szparki. Daria w środku była teraz dokładnie taka, jaka być powinna. Kochanka doskonała!

* * *

Przeżyła wstrząs, ale nie dlatego, że stała się kaczką. To nie konieczność oddawania moczu i stolca do specjalnej kuwety, ani też brak możliwości spotykania się z koleżankami i z mamą przyczyniły się do tego, że wpadła w całkowitą rozpacz (koleżanki nie dowiedziały się nigdy o tym, co zrobiła i szybko były w stanie o niej zapomnieć, lecz matka miała ogromne pretensje, kiedy Daria, jeszcze przed pierwszą operacją, oświadczyła jej, że wyjeżdża za

granicę. Oznajmiła jej, że znalazła doskonałą pracę i poznała świetnego chłopaka, i to ten drugi argument sprawił, że matka odpuściła).

Prawdziwa chwila prawdy przyszła pewnego niedzielnego popołudnia, gdy Daria obudziła się z drzemki. Kłyszając się na boki, poczłapała do salonu. Zrobiła to tak cicho, iż Filip nie zorientował się, że jest obserwowany. Sądził, że to się nie wyda, że...

Klucha stanęła jej w gardle, a serce fikało jednego kózła za drugim. W jednej chwili jej największym przekleństwem stało się posiadanie ludzkiego mózgu. Przeszczepiono jej nawet cipę, ale cholerny mózg pozostawiono!

Wolałaby już być stuprocentową kaczką i nie zdawać sobie sprawy z tego, co Filip robił.

Onanizował się zawzięcie, wpatrując się w fotografie dwóch szympansic zjadających banany. Pojękiwał, trzepiąc kapucyna, aż mu na rękach nabrzmiały mu żyły.

Daria nie wiedziała, co robić. To było ponad jej siły.

Szympansic? Teraz one go rajcują?

Kilka dni temu usłyszała w łazience dziwny hałas. Pomyślała wtedy, że coś jej się przesłyszało, że to przecież niemożliwe, by w domu była małpa. Wtedy omal nie zakwakała ze śmiechu, a tymczasem ten skurwysyn naprawdę musiał...

Nie, nie, nie, nie, nie...

Gdyby potrafiła, załkałaby, zaczęła krzyczeć, a potem zostawiłaby go. Oświadczyłaby, że między nimi koniec, wyszłaby z domu. I nigdy nie wróciła.

Ale nie mogła tego zrobić. Nie mogła nawet zadzwonić do swojego lekarza i zapytać, czy mógłby jej pomóc...

Blisko dwa lata robił z niej kaczkę. Ile by mu zajęło przerobienie jej teraz na szympansicę? Czy to w ogóle było możliwe?

Nagle coś w jej wnętrzu pękło i rozlało się.

Poczuła, że traci grunt pod nogami, następnie usłyszała potężny łomot, jakby coś gruchnęło na podłogę.

Zdażyła tylko uzmysłować sobie, że to ona się przewróciła.

A potem przestała już cokolwiek czuć.

CAMERON PIERCE
PONURE BOBRY

Bobry postanowiły przemaalować swoje żeremie na czarno.

Jelenie ostatnio powykręcały wieńce na kształt pentagramów. Bobry pragnęły pokazać im, kto jest naprawdę gotycki. Czarne żeremie były bardziej złowieszcze niż pentagramowe poroże – taką przynajmniej miały nadzieję.

Odkąd kilka łososi podczas rozrodczej wędrówki wyskoczyło na koncert reaktywowanego niedawno Bauhausu, cała ławica zaczęła nosić w pyszczkach wampirze kły z plastiku. Od tego czasu las pogrążał się coraz bardziej w szale ponurości.

Bobry skończyły malowanie. Farba spływała do rzeki, barwiąc ją na czarno.

Głowy łososi wynurzyły się ze spienionej kipieli nurtu. Ryby rzucały obelgami, wypluwając sztuczne zęby.

– Zaczęliśmy to, ale teraz mamy dość. Prosimy, przestańcie próbować być gotami.

– Co, nie jesteście wystarczająco gotyckie, by pływać w czarnej rzece? – odpowiadały bobry, szydercze uśmieški wykrzywiały ich pyszczki.

Łososie spoglądały jeden na drugiego. Zawsze wypo-
wiałały się jednogłośnie.

– Zdecydowaliśmy, że najbardziej lubiliśmy życie zwykłych, starych łososi. Bycie gotyckimi łososiami miało swoje zalety, jednak brakuje nam nie-tak-złowieszczych rzeczy.

– Niby czego? – zapytały drwiąco bobry, autentycznie zdziwione, że cokolwiek niesatanistycznego i niedepresyjnego może mieć jakiegokolwiek znaczenie. Zapomniały zupełnie czasy sprzed gotyckiej manii.

Ryby zabrały się za wyliczanie wszystkich zabawnych i pięknych rzeczy w życiu, które nie były ani sataniczne, ani wprawiające w depresję.

Słuchając tej listy, bobry zaczęły klepać ogonami o ziemię. Kiedy przypomniały sobie o wszystkim, co kiedyś robiły, poczuły smutek i dojmującą tęsknotę. Łososie miały rację. Las stał się dużo zimniejszym i bardziej okrutnym miejscem, odkąd jego mieszkańcy zmienili się w gotów. Bobry przykucnęły więc na brzegu rzeki, by zmyć biały puder ze swoich twarzy. Czarny makijaż tworzył skorupę wokół ich oczu.

Łososie ciągnęły wyliczankę jasnych stron życia. Jeśli się o tym intensywnie pomyślało, znajdowało się ich całkiem sporo.

W czasie, gdy bobry zmywały trupi make-up, na drugim brzegu jelenie o pentagramowych porożach skradały się pomiędzy drzewami. Trzymały w kopytach rzeźniczkę noże i piły łańcuchowe.

Nagle wskoczyły do rzeki i zaczęły masakrować ryby. Kiedy już wszystkie łososie chlupnęły w kalendarz, woda przeistoczyła się w krew.

Szybki nurt zepchnął jelenie w dół rzeki, aż stały się tylko pentagramami w oddali, a potem zniknęły.

Bobry zanurzyły pazury w krwi, zachwycając się pięknem tej życiodajnej substancji. Wzniosły czerwone łapki

ku niebu. Z ich gardeł wyrwał się triumfalny okrzyk na
cześć życia.

Nigdy dotąd nie miały takiego ubawu.

Przekład Marek Grzywacz

BARTOSZ ORLEWSKI

CALEB

Parę dni temu krągłodupne jednojajowe trojaczki otrzymały od Caleba propozycję nie do odrzucenia. Caleb, mój przyjaciel, siedział wtedy w barze, nad talerzem, na którym stygły dwa sadzone jajka i kawałek chudego boczku podsmażonego na patelni. Poprosił kelnerkę o dolewkę smoliście czarnej kawy i powiedział do sióstr:

– Daję wam czas do zmierzchu. Potem będę niemiły.

Dziewczyny zaczęły się naradzać. Caleb wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki niewielką książkę, położył ją na stole, otworzył na stronie zaznaczonej zakładką, musnął palcem wersy, które wczoraj wieczorem pieścił wzrokiem wytrawnego czytelnika fikcji. Następnie uśmiechnął się do pierwszego akapitu, a drugi, nie mniej smakowity, podrapał po literkach drżących jak pies molestowany przez pchły.

– Spokojnie – mruknął pod nosem. – Zaraz będzie wiadomo na czym stoimy.

Zaszeleściłem kartkami, obserwując siostrzyczki z głębin tekstu. Trojaczki zamilkły, jedna z nich zakasłała i zabębniła o plastikowy blat szponiastymi paznokciami.

– Nic z tego – powiedziała w imieniu swoim i sióstr. Caleb, wytarłszy usta i palce serwetką, sięgnął po wykalaczkę.

– Świetnie – odparł, grzebiąc nią pomiędzy pożąłkłymi od kofeiny zębami. – Rozumiecie, że nie działałam sam. Mam partnera, a on ma swoje... potrzeby. Bardzo specyficzne.

Środkowa siostra pokiwała głową.

– Doskonale to rozumiemy, panie Caleb. My również mamy – ściszyła głos i mrugnęła zalotnie okiem – niebagatelne potrzeby. Walczymy w słusznej sprawie i chociaż przywykliśmy do przemocy, z dwojga złego wolimy pieprzyć się do upadłego niż zabijać.

Caleb poprosił kelnerkę o dolewkę kawy.

– To chwalebne z waszej strony – odrzekł. – Sądziłem jednak, że jako epikurejki dążycie do ataraksji.

Siostry zachichotały.

– Nie osiągniemy szczęścia, jeśli nie poznamy zła, które mu się sprzeciwia, panie Caleb.

Kelnerka napełniła pustą filiżankę kawą. Caleb podziękował dziewczynie. Potem zwrócił się do trojaczek:

– Zgrabnie to ujęłyście.

Środkowa siostra odrzuciła do tyłu warkocz kruczoczarnych włosów i pochyliła się nad stolikiem, eksponując – zapewne celowo – wytatuowane półkule jędrnych piersi. W przytulnej przestrzeni barowego boks momentalnie wzrosła temperatura. Caleb położył prawą dłoń na książce i rzekł:

– Drogie panie, jesteście piękne, ale nie dam się skusić.

– Nie sypia pan z kobietami?

– Rzadko.

– Nie lubi pan kobiet?

– Lubię. Jednak nie tak bardzo jak miasta i książki.

Trojaczki wymieniły spojrzenia, ale nie podjęły tematu.

– Tak czy inaczej, panie Caleb, nie odpuścimy. Blisko granicy jest pewien bar dla kierowców ciężarówek. Bę-

dziemy tam do zmierzchu. Potem wrócimy po skarb pańskiej przyjaciółki.

Caleb rozłożył bezradnie ręce.

– Znacie moje stanowisko. Nie mam nic do dodania.

Dziewczyny wzruszyły ramionami i wyszły z baru.

Zostaliśmy sami, nie licząc stygnącej kawy i kelnerki, która podeszła zaproponować kolejną dolewkę.

– Smakuje panu?

– Jak ziemia z rodzinnych stron – powiedział mój przyjaciel i podrapał mnie po ostatnim wersie na stronie.

* * *

Do N... przyjechaliśmy wczoraj wieczorem. Noc spędziliśmy w motelu. O północy rozdzwonił się telefon. Leżałem wtedy na łóżku, w otoczeniu rozrzuconych na pościeli książek. Caleb – w samych bokserkach i podkoszulku – siedział na krześle, paląc papierosa za papierosem. Kłęby szarego dymu zbierały się pod sufitem niczym chmury burzowe. Jedynie okno wychodziło na parking, na którym zostawiliśmy nasz samochód – czarny Ford drzemał od kilku godzin, śniąc o przejechanych milach. Padające z zewnątrz światło ulicznej lampy wydobywało z półmroku lewy profil Caleba. Telefon dzwonił i dzwonił, przyjaciel palił i palił, a ja buszowałem w zakamarkach tekstów, których treść stopniowo poddawała się moim czytelniczym nawykom. W końcu Caleb zgasił ostatniego peta w popielniczce i podniósł słuchawkę. Dzwoniła Sara. Nie słyszałem, co mówiła, ale chyba sprawa była poważna, skoro Caleb nie uśmiechał się, jedynie kiwał głową, mruczając pod nosem jakieś przekleństwa.

Po raz pierwszy skontaktowała się z nami przed tygodniem, w niedzielę, gdy odpoczywaliśmy na plaży – Caleb

na leżaku, w cieniu rzucanym przez parasol, natomiast ja na stoliku, pomiędzy zwiniętymi w rulon gazetami, trzema pustymi szklankami po drinkach, miseczką orzeszków ziemnych i przeciwsłonecznymi okularami, po których chodziła mucha. Obserwowałem morze i paranormalny romans czytany przez leżącą nieopodal brunetkę. Komórka Caleba zapiszczała. Powiedziałem mu, żeby nie odbierał, przecież jesteśmy na wakacjach, na które zapracowaliśmy niebezpieczną harówką w kryminalnych zakamarkach przeludnionych metropolii. Caleb nie posłuchał, chwycił za telefon i powiedział:

– Halo?

Po pięciu minutach rozmowy problemy Sary były już problemami Caleba. Koniec wakacji, pomyślałem i ze złości zatrzasnąłem okładki. Na tyle głośno, że brunetka przerwała lekturę i posłała mojemu przyjacielowi zaniepokojone spojrzenie. Żegnaj paranormalny romansie!

Wyjechaliśmy nazajutrz, po śniadaniu. Znad rzeńskiego morza prosto w spocone objęcia pustynnego zadupia.

Caleb wyjaśnił mi w czym rzecz. Oczywiście, zrozumiałem, byłem wrażliwy i wyrozumiały, może nawet zanadto. Powiedziałem mu, że jestem z nim. Na śmierć i życie. Do weekendu po końcu świata. Przyjął to z uśmiechem, który tak bardzo kochałem. Poglądził mój tytuł i delikatnie potarł prawy górny róg pierwszej kartki. Zadrzałem pod wpływem niewymuszonej obietnicy przyszłej rozkoszy. Cokolwiek Sara znaczyła dla Caleba, my dwaj wciąż pozostawaliśmy partnerami. Poczułem się nieco lepiej.

Cholerne trojaczki.

– Nie – powiedział Caleb do słuchawki. – Jeszcze z nimi nie rozmawiałem. Zrobię to jutro. Z samego rana.

Zamilkł. Pokiwał głową. Pomruczał.

– Tak. Nie.

Usiadł na krześle, telefon postawił na parapecie.

– Tak. Na pewno. Nie martw się.

Zagryzł usta i zerknął przez okno na zabudowania miasteczka skąpane w księżycowym blasku. Wspinały się stromizną zbrocza ku jasnemu niebu i gwiazdom.

– Oddzwonię, Saro. Dobranoc. Słuchawka wróciła na widelki.

Caleb wyszedł z pokoju. Zwinięty w kłębek, zaległem w korytarzu pomiędzy kuchnią a salonem – po drugiej stronie tekstu, w głębinach kilkustronicowej historii. Po jakichś pięciu minutach w motelowym pokoju znów skrzypnęły drzwi. W powietrzu rozniósł się zapach tytoniu, siwa zawiesina poszybowała pod sufit. Caleb położył się na łóżku. Strzepnął popiół do popielniczki. Zaciągnął się i wypuścił dym nosem. Potem otworzył książkę, w której byłem ucieleśniony, dotknął mojej pierwszej strony i zaczął mnie czytać.

Zanim poznałem Caleba, byłem zdany na przygodnych czytelników. Oczywiście, wszystko zależało od tego, kto wodził po mnie – i od tego, w czym byłem ucieleśniony – spojrzeniem brzemienym przygodną pojęciowością i nasączo-nymi nią oczekiwaniemi, przed sądami oraz przekonaniemi. Trafiali się delikatni czytelnicy. Na ogół jednak miałem do czynienia z tępyimi brutalami. Lektura w ich wykonaniu niszczyła moją tożsamość. Och, stawiałem opór, a przynajmniej próbowałem to robić. Niestety, żadna z obmyślonych przeze mnie zmyłek i pułapek, żaden z pieczołowicie wzniesionych ślepych zaułków, nic z tego na dłuższą metę nie zadziało.

Zawsze wygrywał paradygmat.

Pamiętam takiego-jednego. Pamiętam ich wielu, ale ten jeden utkwiał w mojej pamięci żywiej. Nie był jednak kimś

szczególным czy ważnym. Po prostu takim-jednym. Pan-Taki- Jeden interpretował mnie klasycznie. W paradygmacie, w którym autor (jako źródło intencji znaczeniowych) jest najważniejszy. Można rzec, że gwałcił mnie po bożemu. Bardzo skrupulatnie. Jednak nie to uderzyło mnie w nim najbardziej. Facet lubił się przeglądać w lustrze. Podziwiać swoje chude i zylaste ciało. Zachwycać się jego fragmentami. Tego właśnie się od niego nauczyłem. Kiedy on wpadał w zachwyt nad swoimi ustami, kwadratową szczęką i szelmowskim spojrzeniem, ja czytałem siebie od nowa, od fundamentów, usuwając z każdego poziomu mojej struktury skutki jego wielokrotnych lektur. Czasami trwało to bardzo długo. Ale gdy skończyłem, mogłem spojrzeć na siebie bez obrzydzenia i napawać się ulubionymi sensami wyzierającymi zza moich ukochanych fragmentów mnie samego.

Pan-Taki-Jeden w końcu zmarł, po nim jednak pojawili się następni. Każdy mówił w moim imieniu, stanowiąc o mojej istocie, o mym zasadniczym sensie. Słowa, zdania, korelaty odniesień, presupozycje, następni implikacji logicznych i inne tego typu klocuszki – panowałem nad nimi tylko wtedy, gdy nikt poza mną mnie nie interpretował. Kiedy to ja byłem dla samego siebie paradygmatem.

Potem poznałem Caleba. I cierpienie ustało.

Caleb czytał mnie z taką samą łagodnością i troską, z jaką zwiedzał metropolie, miasta, miasteczka, miścinki...

Wtedy, w motelowym pokoju, jego stalowoszare oczy penetrowały moje wersy zza przeźroczystej zasłony dymu. Przechodziłem rozkoszne trzęsienie ziemi.

Po wszystkim Caleb ułożył mnie na poduszce i podrapał po grzbiecie.

– Z trojaczkami spotkamy się jutro – powiedział.

I wyciągnął spod łóżka walizkę, w której trzymał broń.

Po wyjściu siostr resztę dnia spędziliśmy w barze. Zegar tykał bez celu. Dzwonek przy drzwiach wejściowych uparcie milczał. Nie nudziłem się. Nigdy się nie nudzę. Buszowałem w starych artykułach, znalezionych w koszu z pozółkłymi gazetami, podczas gdy Caleb, z miną człowieka, który stoicką apatię popił epikurejską ataraksją, palił cygaro i gapił się na szare budynki po przeciwnej stronie ulicy.

Po południu przed barem przejechał stary Lincoln. Zastanowiłem się, co pomyślał kierowca, zobaczywszy Caleba unoszącego do ust popękaną filizankę. Caleb odprowadził samochód leniwym spojrzeniem i zawołał kelnerkę, która krzątała się za barem, szorując mopem skrzypiącą podłogę. Dziewczyna wytarła ręce w ścierkę i podeszła do stolika.

Wróciłem do pachnącej stęchlizną lektury.

Mój przyjaciel wciąż palił, przepytywał dziewczynę, ona przytakiwała, zaprzeczała, zegar szukał sensu tykania, a dzwonek przy drzwiach wejściowych popadł w katatonię.

Po godzinie Caleb i dziewczyna poszli do kuchni.

W jednej z gazet znalazłem artykuł poświęcony naszej kelnerce. Z krzykliwego nagłówka skoczyłem na pierwszy akapit. Po kilku wersach znałem już imiona jej rodziców, nazwę miasteczka, w którym przyszła na świat, i szkoły, którą ukończyła, zanim przyjechała do N... w poszukiwaniu szczęścia, jakiego – na co wskazywały dwa ostatnie zdania tekstu – najwyraźniej nie znalazła.

Na zapleczu zaskrzypiały podłogowe deski. Po kwadransie hałasy ucichły, zastąpione ściszonymi głosami i gorzkim śmiechem.

Kiedy zapadł zmierzch, Caleb wyrwał swój samochód ze snu o przejechanych milach. Zostawiliśmy za sobą bar, kelnerkę i kawę o ziemistym smaku, i pomknęliśmy dwupasmową drogą w kierunku granicy.

Dwadzieścia kilometrów dalej, na wąskim pasie ziemi niczyjej, rozpalona do białości noc zbierała krwawe żniwo. Płonęły samochody zaparkowane przed klubem dla kierowców ciężarówek. Płonęli ludzie, głównie mężczyźni, klienci klubu, a także pracujące w nim dziewczyny, kelnerki i dziwki. Płonął sam klub, wszystkie jego piętra i trzewia, płonęło ogrodzenie z wraków, płonęły świny w zagrodzie i sama zagroda.

Płonęły czyjeś marzenia.

Łuna oświetlała żółcią horyzont i trzy ryczące motory, śmigające w ciemnościach niczym zmutowane świetliki na dopalaczach.

Caleb zaparkował Forda na środku drogi, otworzył bagażnik i wyjął z niego shotguna. Następnie zamknął bagażnik, obszedł samochód, na przedniej masce położył czarny kapelusz i prochowiec, sprawdził bębunki obu rewolwerów i stanął w lekkim rozkroku w strumieniach przednich świateł.

Motory zwolniły, zatrzymały się, warkot ucichł. Trojaczki zsiadły ze swoich maszyn. Na asfalcie zastukały obcasy skórzanych butów. Noc odżyła zwierzęcymi odgłosami.

– O co poszło? – spytał Caleb.

– O manieri – odparła Aria.

– Zostałyśmy wzięte za dziwki – dodała Petra.

– Karygodny błąd – podsumowała Kesha.

Caleb skinął głową i splunął.

– W rzeczy samej – przyznał.

I tak ich nie rozróżniał.

– Wiedziałyśmy, że zrozumiesz – Aria uśmiechnęła się i przejechała po ustach długim językiem. – Jesteśmy z tej samej gliny.

Caleb przeładował shotguna i rzekł:

– Drogie panie, jeszcze możecie wyjechać. Nie musicie tego robić.

Miał rację. Nie musiały. Ale chciały. I stąd brał się problem. Sara posiadała coś, na czym im bardzo zależało. Do tego stopnia, że zamierzały skrzywdzić przyjaciółkę Caleba, aby to zdobyć. Konflikt interesów był nieunikniony. Pogawędka jedynie spowalniała nadchodzący rozlew krwi.

Historia starsza niż świat. Caleb mimo to próbował.

– Waszego gangu już nie ma. Kleopatra nie żyje. Wojna metafizyk dobiegła końca. Opuśćcie.

Siostry milczały.

– Przecież wygrałyście. Fatum zostało pokonane.

– Ale powróci – powiedziała Aria.

– Chyba, że... – dodała Petra – odbierzemy twojej przyjaciółce to, czego tak zazdrośnie strzeże.

– I już nigdy żaden cholerny stoik nie przedefiniuje metafizycznego rusztowania rzeczywistości – podsumowała Kesha.

– Poza tym – Aria zmrużyła oczy – jesteśmy to winne Kleopatrze.

Cholera, pomyślał Caleb i przesunął palec na spust.

Cholera, pomyślały trojaczki i sięgnęły po rewolwery.

Cholera, mruknałem i zapadłem się w głąb samego siebie. Miałem się nie mieszać, dopóki Caleb będzie panował nad sytuacją.

Zamigotały gwiazdy, daleko stąd, w gwiazdnej pustce, biały karzeł skonał w eksplozji termojądrowej, na Ziemi

kilkaset osób umarło we śnie, kilkanaście tysięcy zachowało na raka, jeszcze więcej uprawiało seks.

Krople krwi zawirowały nad chłodnym asfaltem.

Caleb zamknął i otworzył oczy.

Szybkostrzelny drań zapanował nad sytuacją.

Zakręcił młynka Coltami.

Potem nałożył kapelusz i prochowiec, podniósł z ziemi shotguna i odwiózł mnie do motelu. Na miejscu zabrał z recepcji łopatę i powiedział, że musi po sobie posprzątać.

Sprzątał przez dwie godziny.

Wrócił brudny, przepełniony i zmęczony.

Wziął prysznic.

I wskoczył do łóżka w czystej bieliźnie.

Nim zasnął, powiedział:

– Wszystkiego najlepszego, Louis.

Zasześciłem kartkami.

– Dzisiaj są twoje urodziny. Zapomniałeś?

Chyba tak, dziękuję.

– Proszę, to dla ciebie. Taka, jak lubisz.

Książka była stara. Bardzo stara. Pachniała dziejami pełnymi sekretów.

Caleb pogłaskał mnie po okładce, potem przytknął głowę do poduszki i zamknął oczy.

– Jutro skończymy, Louis, i będziemy mogli wrócić nad morze.

Mam nadzieję.

Caleb zamruczał i przewrócił się na drugi bok.

Poczekalem, aż mój przyjaciel zaśnie, po czym wyskoczyłem z głębin mojego świata prosto w objęcia przepysznych historii nowej kochanki.

Świt powitaliśmy na rogatek N... . Ford znów stał na środku drogi przecinającej pustynny krajobraz, Caleb opierał się o maskę, ćmiąc papierosa i popijając kawę z termosu. Na wschodzie horyzont stał w ogniu, niebo było błękitne, bezchmurne, pozbawione krztyny litości dla wszystkiego co żywe.

Z południa nadjechał samochód czerwony jak przekrwione dziaśła.

Caleb odstawił kubek, cisnął niedopałek na ziemię i zgniół go obcasem, potem pomachał kierowcy.

Auto zwolniło, zatrzymało się, szczęknęły drzwi. Wysiadł elegancko ubrany mężczyzna. Wygładził fioletową marynarkę, poprawił mankiety białej koszuli, przeczesał gęste, czarne włosy i nałożył kapelusz.

– Koniec drogi, kolego – powiedział Caleb.

– Coś się stało?

– Wojna się skończyła, a wy przegraliście.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Caleb Town we własnej osobie – stwierdził. – Sądzę, że jesteś wyższy.

– Kiedyś byłem. Ale czas nie oszczędza nikogo.

– To prawda. Zabiłeś trojaczki?

Caleb rozłożył ręce.

– Widzę, że tak – odpowiedział sobie sam przybysz.

– Wiesz, kim jestem?

– Obiło mi się o uszy.

– Domyślam się. Ale i tak ci powiem. Zapewne słyszałeś o Kleopatrze, przywódczyni epikurejczyków. Twarda z niej była suka. Czerwienią ust, ruchem bioder, drżeniem

sutków i gromowładnym głosem skusiła niejednego z naszych, w tym kilku moich najlepszych, najbardziej zaufanych uczniów. I chociaż w każdej ze swych dziejotwórczych ról krzyżowała moje szyki, walcząc o świat wolny od lęku przed fatum i bogami, ostatecznie to ja zwyciężyłem w finałowym pojedynku.

– Tylko po to, aby się przekonać, że zostaliście przechytzeni, a wasze ukochane fatum pokonane.

– Przegraliśmy bitwę, nie wojnę. Zrozum jedno. Jestem starszy niż barok i renesans razem wzięte i wychędożone. Widziałem Olimp w czasach jego świetności. Słuchałem wykładów Zenona i Chryzypa. Byłem przy umierającym Sokratesie i szlochającym z tego powodu Platonie. Nie mogę zaprzeczyć: też płakałem, mimo że nie powinienem. Bo przecież nic złego nie spotkało Sokratesa. Jedyne śmierć. Pocieszałem Platona przez tydzień...

Mężczyzna umilkł, machnął ręką.

– Zresztą, nieważne. Chciałem powiedzieć, że wiem, jak wskrzesić pneumę, logos, Zeusa, nazywaj to, jak chcesz, nawet Opatrznością. Znam sposób na przededefiniowanie metafizyki waszego amorficznego świata.

– Wiem, że znasz – odparł Caleb. – I dlatego tutaj jestem. Nie zabijesz Sary i nie dostaniesz jej skarbu.

– To wszystko? Jesteś tutaj z powodu przyjaźni?

– Gdyby nie chodziło o Sarę... ujmę to tak: waszą wojnę mam po prostu w dupie. I to głębiej niż kiedykolwiek miałem palce byłej żony. Zrozumiałeś?

– Tak.

Caleb i stoicki mędrzec odeszli od swoich samochodów. Zatrzymali się po kilku krokach, zwrócenii bokiem do wschodzącego słońca. Nieznajomy odgarnął do tyłu prawą połą marynarki, odsłaniając kaburę z rewolwerem.

Świat wokół obu rewolwerowców wstrzymał oddech.
Zaświstał ciepły wiatr.
Po drodze przetoczyła się kula splątanych pnączy.
Rewolwer o kolbie wyłożonej masą perłową wypluł
z długiej lufy zapowiedź rychłego bólu.
Cholera, pomyślałem, widząc chwiejącego się Caleba.
Nadeszła pora, aby wypuścić Innych.

* * *

Wcześniej zrobiłem to tylko raz.
W tamtych czasach leżałem zakurzony na jakiejś półce
w zapomnianej przez ludzi bibliotece. Odwiedzany jedy-
nie przez pająki i muchy. Mogłem w spokoju odtwarzać/
przeżywać samego siebie, swą treść i komunikowane
przez nią sensory. Być którymś z moich bohaterów – Ire-
ną bądź Panem Gadułą bądź domem. Nawet Innymi, któ-
rych Irena i Pan Gaduła nigdy nie widzieli, za to dobrze
słyszeli. Często bawiłem się stop-klatką. *Irena robiła na
drutach w swoim pokoju*, a Pan Gaduła szedł *kuluarem
do dębowych drzwi*. Szedł i szedł. Odwlekałem moment,
w którym miał skręcić do kuchni i usłyszeć *coś w jadalni
czy też w bibliotece*, a potem rzucić się na drzwi i zatrasnąć
je, *przyciskając całym sobą*. Zwijalem się wtedy w kłębek,
na podłodze, między nieustannie idącym Panem Gadułą
a kuchnią, i wsłuchiwałem w zapętlony odgłos jego kro-
ków. W takich chwilach mogłem zaglądać do innych
książek, wnikać w ucieleśnione w nich historie, przeży-
wać te ostatnie jak własną. Inne teksty – wliczając moje
homonimy – były martwe, brzemienne wielorako spara-
dygmatowanymi sensami, nie mogły się bronić przed in-
terpretującym spojrzeniem. Urabiałem je na swój obraz

i podobieństwo, po czym wracałem do swojego nośnika, tych kilku pożółkłych kartek, ściśniętych w grubym tomie.

Pewnego dnia zostałem uziemiony. Po jednej ze stop-klatek ocknąłem się w nieznanym mi miejscu. Leżałem na stole. Książka była otwarta na mojej pierwszej stronie. Wokół mnie leżały inne. Były stare. Ich zawartość milczała. Milczała tak, jak milczą ludzie. Obserwowała mnie. W piwnicy – bo tam się znalazłem – było więcej woluminów. Stały bądź leżały na ustawionych wzdłuż ścian regałach. I wszystkie milczały w ten sam wymowny sposób. Wyczekująco. Nagle poczułem strach. W głębinach moich wersów wzbierała panika. I wtedy na stół wskoczył kot. Był czarny i duży. Zamiauczał i dał susa na podłogę, gdzie zaczął się bawić kłębkami wełny. Ni stąd ni zowąd pomyślałem o Irenie, skromnej Irenie, trochę samotnej, którą *bawiły tylko druty*. Pan Gaduła kupował jej wełnę, a ona zawsze była *zadowolona z kolorów*. Dziergała rzeczy na zimę – swetry, grube skarpety, rękawice i szale. *Cale godziny spędzałem, patrząc na jej ręce niby srebrzyste jeże, na druty śmigające tam i z powrotem, na stojący na ziemi koszyk, w którym kłębki poruszały się bez przerwy. To było piękne*. Spoglądając na kota ścigającego kłębek czerwonej wełny, zapragnąłem ujrzeć to piękno, zanurkować w głąb samego siebie, do tamtego domu, i zastopklatkować siedzącą w fotelu Irenę. Czulem, że tylko w ten sposób uwolnię się od milczenia tych wszystkich posepnych tomów. Od narastającego dookoła napięcia. Nic z tego nie wyszło. Mężczyzna pojawił się znienacka. Jakby znikąd. Był długowłosa i blady. Uśmiechał się, odsłaniając dziąsła. Wzniósł młotek i przybił mnie do stołu dziewięciocalowym gwoździem. Nie uciekniesz, powiedział. Na młotku i gwoździu widniały jakieś inskrypcje. To spr-

wi, że dasz mi to, czego pragnę – dodał i zamruczał coś w obcym języku do zgromadzonych w piwnicy książek. Te odpowiedziały bluźnierczym rechotem.

Zostałem więźniem. Nie mogłem już zaglądać do innych książek, interpretować zgromadzonych w nich zdań. Teksty z kolekcji mojego oprawcy mogły jednak ze mną rozmawiać. Służyły mu wiernie, choć nie z własnej woli. Znały pradawne tajemnice. I były pełne obietnic, z których ich pan skwapliwie korzystał. Mieszkał w ogromnym domu, położonym gdzieś na przedmieściach anonimowego miasta. Bogaty, tajemniczy i ostrożny. Starannie dobierał plotki na swój temat. Żył z ludzi i przysług. Przyjmował gości, wysłuchiwał ich historii, a potem proponował, że rozwiąże problem, z którym do niego przyszli. W zamian nie chciał wiele. Nie był zachłanny. Przysługa za przysługę. Czasami żądał jednak czegoś innego. Zapłaty w dość specyficznej walucie. Mógł nią być pocałunek, spojrzenie w oczy, muśnięcie karku wierzchem dłoni, rozciągnięcie ust w uśmiechu in blanco. Jakieś czynności albo części ciała. W najlepszym razie włosy. W najgorszym coś bardziej intymnego. Pewnemu młodzieńcowi zabrał skórę. Młodzian zrobił później karierę w telewizji. Grał w popularnych serialach. Głównie role przystojnych łobuzów. Nikt poza czarownikiem, i jego chowańcami, od których dowiedziałem się tego wszystkiego, nie widział, że ciało modnego aktora jest całkowicie pozbawione skóry. Tak samo było z dziewczyną bez ust oraz z pewnym starcem, który oddał czarownikowi swoje piersi i uszy. Ta trójka stanowiła wierzchołek góry lodowej.

Wiedziałem, że jeśli chcę przetrwać, muszę uciec. Niestety, żaden z chowańców nie chciał mi pomóc. Mogłem więc zrobić tylko jedno. Dać czarownikowi to, czego ode

mnie żądał. Tyle, że wcześniej. Na moich warunkach, kiedy nie będzie na to przygotowany. Czekałem więc, aż zejdzie do piwnicy. Czekałem i czekałem. Mniej więcej po trzech tygodniach czarownik zszedł, aby porozmawiać z chowańcami. Kiedy stanął w progu, książki struchlały na półkach, skurczyły się w sobie, a ucieleśnione w nich teksty pogubiły litery. Był wściekły. Nic nie mówił. Patrzył nienawistnie. Zdjął z półek kilka opasłych tomów i zaczął je przeglądać przy stole. Upewniłem się, że nie zwraca na mnie uwagi i dałem znak Panu Gadule. *Była ósma wieczór. Irena robiła na drutach w swoim pokoju, a jej bratu przyszła ochota na mate. Poszedł nastawić czajnik. Idąc kuluarem aż do dębowych drzwi, skręcał właśnie do kuchni, kiedy usłyszał coś w jadalni czy też w bibliotece. Był to nieokreślony, głuchy dźwięk, krzesło upadające na dywan czy też może zduszony szept. Równocześnie, a może o sekundę później, usłyszał to także w samym kuluarze prowadzącym od tych pokoi do drzwi. W innych okolicznościach rzuciłby się na drzwi i zatrzasnął, przyciskając całym sobą. Potem poszedłby do kuchni, zagotował wodę, a kiedy wróciłby z tacuszką od mate, powiedziałby do Ireny:*

– *Musiałem zamknąć drzwi od kuluaru. Zajęli tylną część domu.*

Irena, upuściwszy robótkę, spojrzałaby na brata *swymi wielkimi, zmęczonymi oczyma.*

– *Jesteś pewny?*

Przytaknąłby. A wtedy ona, sięgając po druty, powiedziałaby:

– *Cóż. Będziemy musieli ograniczyć się do tej części¹.*

¹ Wszystkie wyróżnione kursywą fragmenty pochodzą z opowiadania „Zajęty dom” autorstwa Julio Cortazara (Julio Cortazar, *Opowiadania*, tłum. Zofia Chądzyńska, Warszawskie Wydawnictwo Literackie, Warszawa 1998, str. 475-481.)

Tym razem brat Ireny nie zamknął drzwi. Otworzył je na oścież i przekroczył próg. Zacisnął powieki. Nie potrafił wytrzymać spojrzeń Innych. Były zbyt bolesne. Cofnął się pod ścianę i, cały drżący, kiwnął głową, dając im znać, że są wolni. Inni pobiegli kuluarem do drzwi wyjściowych. I dalej, na zewnątrz, poza mnie, na świat, do zatęchłej piwnicy pełnej bluźnierczych dzieł.

Czarownik uniósł wzrok. Odłożył książkę. Na widok ziejących we mnie wrót, zza których wyglądała para starszych osób, otworzył usta. Potem spojrzął na Innych. Krzyk zamarł w mu gardle. Wystrzał wstrząsnął pomieszczeniem. Kula weszła przez potylicę i ugrzęzła w mózgu. Czarownik zsunął się z krzesła, a Caleb, zakręciwszy młynka rewolwerem, skierował lufę na mrok, którym byli Inni.

Tak się poznaliśmy.

* * *

Stoicki mędrzec we fioletowej marynarce, tej samej barwy spodniach, białej koszuli i błyszczących butach otworzył usta. I nigdy już ich nie zamknął. Można uznać to za przewrotny cud, ale mężczyzna krzyczał jeszcze długo po tym, jak Inni, wyrwawszy mu pół twarzy, rzucili go na ziemię i zaczęli rozszarpać.

Caleb leżał na plecach pod żółknącym niebem, ze złamanym papierosem sterczącym z zakurzonych ust. Leżałem razem z nim – w wewnętrznej kieszeni jego marynarki. Czułem się nieco wydrążony, w końcu pocisk utkwiał między kartkami mojego nośnika.

Jak się czujesz? – zapytałem.

– Jakby ktoś przypierdolił mi młotkiem w spłot słoneczny.

Doskonale cię rozumiem.

– Zabawne, że upadając ujrzałem coś dziwnego.

Co?

– Ogromny trójkąt na tle ciemniejącego sklepienia. Płonał jasnym światłem.

Hm, co to było?

– Krzew gorejący? Włosy łonowe Matki Ziemi? Skąd mam wiedzieć...

Lepiej poleżmy tak przez chwilę.

Caleb zgasił peta o kamień i usiadł.

– Nie – powiedział. – Zgłodniałem.

Zawołałem Innych, aby pomogli nam wstać. Caleb wyjął mnie z kieszeni i obejrzał z każdej strony. Następnie otworzył mniej więcej na środku i wydłubał zniekształcony stożek ołowiu.

– Wydobrzejesz, Louis.

Gdy Inni postawili nas na nogi, Caleb pokuśtykał do zmasakrowanego ciała stoickiego mędrca.

– Skłamałem, dupku – rzucił. – Nigdy nie miałem żony.

Konający mężczyzna zachował milczenie godne osoby, która przezwyciężyła pożądanie, zazdrość, żal i strach.

W barze czekała na nas kelnerka z dzbankiem świeżej kawy. Caleb wypił ten oraz następny, zjadł porcję smażonego boczku z dwoma sadzonymi jajkami, a potem uciał sobie drzemkę w pokoju kelnerki. Dziewczyna też się położyła.

Leżałem na stoliku przy oknie, Inni kręcili się po barze.

W pewnej chwili ulicą przejechał stary Lincoln. Ten sam, co wczoraj. Samochód nieco zwolnił. Kierowca wytrzeszczył oczy, a ja wyobraziłem sobie, co zobaczył spojrzawszy na bar. Biedak pobrał i wcisnął pedał gazu.

Wieczorem – po uprzątnięciu zwłok stoickiego mędrca

i ukryciu jego samochodu – Caleb odwiózł mnie na skraj miasteczka.

– Poczekasz tutaj do rana – rzekł. – Idę porozmawiać z Sarą.

Tym razem bez pośredników?

– Tak.

Powodzenia.

Nie podziękował. Leżąc na desce rozdzielczej, widziałem, jak odwraca się i rusza w kierunku zrujnowanych zabudowań.

Kiedy zatrzymał się na wysokości budynku, w którym przed wieloma laty mieścił się bar, spojrzał w prawo, potem w lewo, na końcu w górę na niebo pełne gwiazd, po czym runął do przodu z szeroko rozpostartymi rękami. Nie złamał sobie szczęki ani nosa. Popękana ulica rozchyliła przed nim swe głębiny niczym kobieta wargi sromowe przed kochankiem.

Ghost town, którym była Sara, spazmatycznie zadrżało.

Wkrótce pod jasnym niebem, na falach zimnego wiatru wiejącego znad prerii, unosiły się nabuzowane rozkoszą jęki dwojga starych przyjaciół.

Mieli sobie wiele do powiedzenia.

DARIUSZ KUCHNIAK

RAJSKA KRAINA

Należę do tych podróżników, którzy, nie bacząc na przeciwności losu oraz obstrukcje ze strony instytucji finansowych, zwiedzają „ile fabryka dała”. Celem mojej kolejnej wyprawy była Niunia, kraina położona w delcie ogromnej rzeki. Dzięki niej tamtejsza ziemia należała do niezwykle żyznych. Wszędzie widać było łany falującego zboża oraz sady pełne drzew, których gałęzie ugięły się pod ciężarem owoców. Okolice te zamieszkiwała społeczność nienawidząca rozwoju. Ciągle królował tam feudalizm i wszystkie wiążące się z tym stanem rzeczy okoliczności. Jak chociażby stojąca na żenująco niskim poziomie urbanizacja czy brak alergenów w glebie i powietrzu.

Po kilku dniach bezproduktywnego błąkania się po puszczy zapragnąłem spojrzeć na problem z szerszej perspektywy. Wykorzystałem do tego dąb, z wierzchołka którego dostrzegłem w oddali zgromadzenie złożone z kilkudziesięciu autochtonów. Niunianie przypominali Szczebrzeszynian, ale bez chrząszcza brzmiącego w trzcinnie, Polskę bez podziemia aborcyjnego, Pakistan bez dzieci zmuszanych do pracy w fabrykach dywanów etc., najprościej rzecz ujmując: czegoś im po prostu brakowało. Bóg jeden wiedział jednak czego. Niemniej chłopcy z nich były na schwał i każdy przystojny jak celebryta rodem z TVN.

Wiedziony ciekawością, podążyłem ku nim. Na miejscu okazało się, że owa gromada, złożona z okolicznych włościan, tłoczyła się u wyjścia do jaskini. Nietrudno było zgadnąć, że ktoś musiał tam wleźć, aby na przykład dokonać likwidacji przedstawiciela ginącego gatunku.

– Jak sytuacja na froncie? – spytałem najbliższego gąpia, chudzielca przyodzianego w pomarańczowy kubrak.

– Wybacz pan, ale nie odpowiadam na pytania stylizowane na oryginalne – odpowiedział. – Człowieku bądź sobą do cholery!

– Co się dzieje? – ponowiłem pytanie, choć zaskoczył mnie niezwykle taki obrót sprawy.

– Miejscowy kowal wszedł do owej groty, aby usiec smoka. Długo nie wraca. Martwimy się, czy aby nie dokonał żywota. A musisz wiedzieć, że to fachowiec pierwszego sortu. Kowal jakich mało. Potrafi wykuć prawdziwe cudzeńka.

– Czyli co?

– Na przykład bramy. I to nie zwyczajne, ale dwuskrzydłowe, przesuwane, samonośne. Ponadto furtki, płoty, a nawet balustrady zewnętrzne, wewnętrzne, schodowe, tarasowe, balkonowe, kraty drzwiowe i zabezpieczające okna, ozdobne elementy stalowe, elementy wyposażenia wewnątrz oraz małej architektury: mostki ogrodowe, zadaszenia i pergole.

– Imponujące, ale czy ten wirtuoz młota miał jakiegokolwiek doświadczenie w walce ze smokami?

– Całe życie spędził w kuźni i niewiele widział poza jej murami. Wystarczyło jednak, by usłyszał w naszej karczmarce, że król Władysław III daje w nagrodę asygnatę na prawdziwy jacht pełnomorski, to zbaraniał. Wziął młot i poleciał do jaskini.

– Też się zaczynam martwić – odparłem. Może pójde i zobacze, co się tam dzieje. Wszyscy wokół popatrzyli na mnie z wyrazem podziwu. Muszę jednak przyznać, że ktoś z tylnych szeregów zaintonował znaną pieśń – „Jeszcze jeden kretyń dzisiaj”.

Wejście do jaskini należało do obszernych, więc bez problemów wkroczyłem do środka i podążyłem w głąb grotu. Nie nastęrczało to większych trudności, ponieważ było w niej jasno jak w dzień. Światło dawały elektryczne żarówki, co kłóciło się, i to bardzo, ze średniowiecznym klimatem krainy.

Wtem usłyszałem niski, męski głos:

– Witam w moich skromnych progach jakże sympatycznego podróżnika.

Dochodził zewsząd. Widocznie w jaskini zainstalowano sprzęt nagłaśniający wysokiej jakości.

– Skąd wiesz kim jestem? – spytałem zaskoczony, ponieważ nikomu nie mówiłem o celu swojej wyprawy.

– Smocza intuicja.

– Zaprosisz mnie do środka?

– Oczywiście. Wejdz proszę.

Jaskinia nagle zniknęła. Pojawił się za to obszerny gabinet. Na jego środku stało stylowe biurko i tylko ono odgradzało mnie od smoka o skórze barwy zielonego kasztana. Nie nosił ubrania ani ozdób. I tylko zza wielkich, kunsztownie wykonanych okularów patrzyła na mnie para gadzich oczu. Ich właściciel nie bał się w młodości pić dużych ilości mleka, bo posiadał imponujący wzrost. Jego ciało zajmowało – bez mała – połowę pomieszczenia. Siedział rozwalony w ogromnym fotelu. Łapą, zaopatrzoną w świetnie utrzymane pazury, wskazał mi stylową sofę. Mebel spełnił pokładane w nim nadzieje i okazał się niezmiernie wygodny.

– Czego się napijesz? – zagadnął niskim, chropowatym głosem gospodarz.

– Przykro mi, ale nie piję na służbie.

– Dobrze się składa, gdyż ja nie proponuję alkoholu – oznajmił smok. – Zenku, pozwól tu do nas. – Na środku pokoju pojawił się blondyn o imponującej muskulaturze, w świetnie skrojonym kombinezonie roboczym. Przypalona brwi wskazywały na częsty kontakt z ogniem. W lewej ręce dzierżył wielki młot. Druga podtrzymywała tacę ze szklanką mleka. Droga konsumpcji dowiedziałem się, że to odmiana niskotłuszczowa tegoż napoju.

– Zguba się znalazła – zauważyłem, wskazując dłonią na blondyna.

– Wiem z pewnego źródła, że to nie ty go zgubiłeś – odparł smok, przypatrując mi się wnikliwie.

– To prawda.

– Czy jego obecność oznacza, że brakuje ci personelu pomocniczego i musisz ratować się kim popadnie?

– Jako że ludzie mają tak wiele wspólnego z małpami, posiadają naprawdę dużo zalet. Są bardziej zręczni niż gady, lepiej tańczą czy piszą wiersze. A do tego wszystkiego są bardzo podatni na hipnozę.

– Rozumiem, ale przy wejściu do jaskini czekają na niego koledzy. Mogą wpaść na pomysł, żeby cię odwiedzić większą gromadą. Zenek nie da rady obsłużyć takiej liczby gości i skandal towarzyski gotowy.

– Nie znoszę skandali.

– To ci się chwali.

– Podjąłem już środki zaradcze. Za kilka godzin Zenek ocknie się w jaskini. Po chwili zauważy w swojej dłoni profesjonalnie spreparowany smoczy łeb, a w drugiej worek szlachetnych kamieni. Po śmierci ojca jest jedynym

kowałem w promieniu wielu kilometrów. Kiedy więc jego koledzy zobaczą go żywego i z niezaprzeczalnym dowodem męstwa, szybko o mnie zapomną.

– Muszę przyznać, że wszystko dokładnie przemyślałeś. Tylko dlaczego mnie nie poddałeś hipnozie?

– Powód jest nader prozaiczny. Najzwyczajniej na świecie chciałem z kimś pogadać. Poza tym nie jesteś blondynem, a brunetem. Masz wątlą budowę ciała. I jeszcze te kręcone, doskonale utrzymane włosy. Widzę również, że kaftan i spodnie są świetnie skrojone oraz dopasowane. Jednym słowem potrafisz o sobie zadbać, a tacy nie są z reguły podatni na moje czary.

– Miło mi to słyszeć. Muszę cię jednak pożegnać. Zew przygody mnie wzywa, czas ruszać w dalszą drogę.

– Niekoniecznie. Nic nie musisz, nie jesteś niewolnikiem – warknął smok.

Wtedy właśnie doświadczyłem tego na swojej skórze. Smok oficjalnie wzywał do nielojalności wobec narratora. Nie wiedziałem jak się zachować.

– Co ty gadasz? – zapytałem zdumiony.

Wyjąłem skrypt i sprawdziłem dokładnie listę dialogową. Smok miał mnie właśnie pożegnać miłymi słowy i mieliśmy żyć długo i szczęśliwie, tyle, że oddzielnie.

Tymczasem gad zdjął okulary, odłożył je na biurko i parsknął:

– No co się tak gapisz? Żółc mi się uląła i tyle. Od czasu do czasu wkurwia mnie ta cała konwencja fantasy. Jak smok, to musi być jaskinia i skarb. Co chwila więc włącz mi jakieś głupole do chałupy i nawet nóg nie wytrą. A ja muszę gadać z nimi ze średniowiecznym akcentem. Jeżeli mógłbym wybierać, to wolałbym epokę Ludwika XV. Piękne meble, perfumy, ubrania, peruki... A przede

wszystkim bale takie, że mózg staje i prosi o podwyżkę.

– Sorry stary, ale to nie moja wina, taką mamy robotę. Ja tak naprawdę nie znoszę swojej roli. Nie lubię podróżować. Najchętniej siedziałbym w domu, żarł chipsy, oglądał telewizję i obserwował przyrost masy.

– Pomarzyć można. Na razie pozostaje nam nuda. Splin wędruje za nami jak nawiedzony tropiciel nielegalnego oprogramowania. Jesteś pierwszym, który odważył się wyjść z roli. – rzucił gorzko gad.

– Tylko teraz nasza sytuacja jest naprawdę dramatyczna.

– Możemy ją jednak zmienić. Olejmy narratora. Pokażmy mu na pożegnanie nasze wspaniale wypielęgowane dupy i żyjmy na własny rachunek.

– Ciekawa propozycja – ożywiłem się, ponieważ dostrzegłem w tym jakąś szansę. – Poproszę więcej szczegółów.

– Niewielu o tym wie, ale istnieje wspaniała żyzna kraina, gdzie postacie fikcyjne mają pełnie praw obywatelskich. Jeżeli się tam znajdziesz, zyskasz nowy zawód, płęć, a nawet DNA. Wszystko o czym zamarzysz.

– Wiesz może jak się tam dostać?

– Słyszałem, że wystarczy najeść się tłustego zarcia, ale tak żeby cholesterol wystrzelił z żył. Potem należy zalec w wyrku i czekać na omdlenie. Przytomność odzyskasz już w raju. Muszę cię na chwilę przeprosić. Kibelek wzywa. Daję ci trochę czasu do namysłu

Pod nieobecność smoka postanowiłem przyjrzeć się jego podręcznej bibliotece. Zaintrygowało mnie dzieło o frapującym tytule: „Wszystkie smoki, to fajne chłopaki”. Nie wziąłem się jednak za lekturę. Emocje związane z nagłą zmianą mojego statusu były zbyt silne. W całym swoim fikcyjnym życiu nawet na jotę nie odszedłem od koncepcji narratora. Czuję, że łączy nas coś szczególnego. Wizja

nowego życia przedstawiona przez smoka była cholernie atrakcyjna. Nie mogłem przejść obok tego obojętnie.

– Chcę się znaleźć w krainie szczęśliwości – wykrzyknąłem podekscytowany w stronę wtaczającego się do komnaty gada.

– Masz to jak w banku.

– Powiedz mi tylko gdzie i kiedy?

– Choćby tu i teraz.

– Świetnie. Jestem do dyspozycji.

Smok nacisnął zielony przycisk umieszczony na blacie biurka. Dosłownie sekundę później do gabinetu wkroczyła kobieta odziana w pielęgniarski fartuch, z ogromną strzykawką w dłoni.

– Ta miła pani zaaplikuje ci tłuszcz w najczystszej postaci. Poziom twojego cholesterolu podniesie się natychmiast do odpowiedniego poziomu. Żegnaj przyjacielu, wkrótce do ciebie dołączę.

Nagle poczułem ukłucie i straciłem kontakt z rzeczywistością.

Smok tymczasem podszedł do regału z książkami i sięgnął po „Wszystkie smoki to fajne chłopaki”. Następnie otworzył na stronie tytułowej, położył palec na nazwisku autora i zameldował głosem służbisty:

– Panie narratorze, kolejny niełojalny bohater pana książki został odkryty i zlikwidowany. Wszyscy agencji spisalili się świetnie. Chciałbym szczególnie wyróżnić Zenka za doskonale wejście w rolę. Jednocześnie zgłaszamy gotowość do kolejnej misji.

Narrator spojrział na gada z satysfakcją i odrzekł:

– Świetna robota. Jesteście moimi najlepszymi agentami. To dla was stworzyłem Niunie. Tylko wy macie dostęp do luksusów, o których inne moje postacie mogą wyłącznie pomarzyć.

– Wiemy o tym doskonale, mój panie. Nigdy nie chciałbym podzielić losu nielojalnych i trafić do międzyświatów. Tam fikcja i rzeczywistość mieszają się ze sobą w niewiadomych proporcjach. Nasza kraina to najlepsze miejsce w całej fikcji.

Na drugi dzień nikt już nie pamiętał o podróżniku zarażonym bakcylem wolności. Niunianie przygotowywali się na przyjęcie kolejnej ofiary. Narrator bowiem obsesyjnie nie znosił nielojalności.

GRZEGORZ GAJEK

MOJA NA ZAWSZE

- NOWELA PRZEDZIWNNA O MIŁOŚCI SILNIEJSZEJ NIŻLI ŚMIERĆ

Chciałbym wam opowiedzieć o tym jak ujechałem sobie nogę. Moja historia przypomina nieco tę z opowiadania Prusa. Tego o facecie, co również ujechał sobie nogę. Na pewno wiecie, o które chodzi. Wyglądacie na takich, co to lubią czytać. Ja też lubię. Ogólnie popieram czytanie. Nie żeby zaraz książek, bez przesadyzmu, ale popieram.

Tamto opowiadanie Prusa to niezła rzecz. Życiowa.

Oczywiście różnice muszą być, bo muszą. Tak już bywa. To jest, no, wiadomo, on se tę nogę ujechał, bo go o coś wątroba bolała. W tych starych historiach to ich zawsze o coś wątroba boli. A mnie tak bardzo nie bolała. Zresztą to był osiemnasty wiek i gość miał tylko siekierę do dyspozycji. Ja to przynajmniej mogłem przyzwoicie se kulasa urznąć piłą mechaniczną. Szybko poszło. Rachuciachu i po strachu. Bo tak rąbać i rąbać siekierą... Strach się srać.

Poza tym dochodzi kwestia motywacji. On to miał jakieś ideologiczne podłoże, nie? Ja działałem bezinteresownie. Zawadzała mi, suka jedna. To wyrwałem chwasta.

Czy bolało? Pewnie, że bolało. Mało się nie posrałem. Jucha wszędzie, chrupiące kości. Ale później było niezłe. Zadzwoniłem po karetkę, powiedziałem, co i jak. Przyje-

chali, nafaszerowali prochami, władowali do wozu. Odkurowałem się w szpitalu. Nawet się tej nogi za mnie pozbyli. Na moje nieszczęście, jak się miało okazać, ale o tym zara.

To będzie taka historia z dreszczykiem. Znacie Kinga? Pewnie, że znacie, wyglądacie na takich. Nic tylko do kina, wódeczka, książeczka, co? Wykształciuchy jebane. Ja znam i nie lubię, kutasa jednego. Chujowe te jego filmy, zwłaszcza ten o kocie rozjechanym na indiańskim cmentarzu. No, sranie, powiadam, nic innego. Ni chuja nie życiowe. Ale mniejsza, bo to będzie taka historia w tym właśnie stylu. Tylko że prawdziwa.

A więc (wiem, że się nie zaczyna zdania od „a więc”, ale pierdołę. Gramatyka jest dla pedałów) wszystko zaczęło się jakoś jakby miesiąc po tym, jak żem sobie tę nogę ujebał. Pokicywałem właśnie po chałupie, wot tak się krzątając za tym to a tamtym, kiedym usłyszał jakiś dziwny dźwięk. Jakby skrzypnięcie.

Więc idę do drzwi. To jest kicam, bo przeca nogi nie miałem. Sorki, że tak o tym nawijam bez przerwy, ale to jest suspens, nie?

No i w końcu dochodzę do tych drzwi. Wyglądam na podwórko. Gówno. Deszcz siąpi, pioruny napierdalają jak wściekle.

Nagle słyszę, że coś się tłucze w szopie. I myślę sobie: „Nie ma głupich, co im się zdaje, że filmów nie oglądam? Jak tam pójdę, to mnie zara coś zapierdoli. Jakaś macka jebana.”

Ale potem myślę sobie tak: „No, taki cienki chujek będę? Przeca to nie jakiś horror klasy ziet”.

Miało się okazać, że jednak tak, ale do tego jeszcze dojdziemy.

Po krótkim wahaniu biorę ja piłę (tę samą, której użyłem do sami wiecie czego) i idę do tej szopy. Uchylam lek-

ko drzwi. Patrzą. W środku tylko łańcuchy poskrzypują: iiiich, iiiich. I woda kapie, bo tam takie okienko było, co go się zamknąć nijak nie dało. Kap. Kap.

– Wypierdalaj, kurwa! – mówię ja.

Cisza. Iiiiiich. Ka-kap.

Daję dwa kroki naprzód.

Wtem czuję, że coś mi kopa w plechę zasadziło. Lecę na ryj. Piła mi oczywiście z ręki wylatuje, jakżeby inaczej.

Obracam się, prawie obrwany ze strachu, a tam (i tu znów napierdalają błyskawice) ta moja ujebana noga. Stoi i szczyrzy się, na ile tylko taka to perfidna kończyzna potrafi. I mówi do mnie...

Pewno zastanawiacie się, jak taka noga może mówić. Ano, posrana sprawa, uwierzcie mi. Bo jak ona gadała, to tak jakbym ja gadał do siebie, tyle że to, co ona chciała. Czaicie?

W każdym razie mówię se:

– Ty chuju zatracony, jak śmiałeś mię ujebać zdradziecko?

A ja na to:

– Nie słyszałaś, kurwo zafajdana, o symetrii? Symetria to estetyka dla pedałów. Wadziłaś mi, taka twoja mać, więc wyrwałem chwasta.

Wtedy ja na to znowuż:

– Chcesz zobaczyć, jak to miło?

Patrzą, a ona podnosi tę piłę, którą upuściłem (nie pytajcie mnie, jak to zrobiła). W każdym razie podnosi ją i odpala. Co było robić? Próbowałem spierdolić. Ale nie poszło łatwo, zrobiłem może ze dwa kroki, a ona zaraz mnie podcięła i znów wylądowałem na glebie. I fiut! Tylko ostrze mi śmignęło nad głową.

Zacząłem pełznąć w stronę ściany. Noga przeskoczyła nade mną, zasunęła mi kopa w baniak i w końcu przy-

gwoździła do ziemi. Nieludzko silna sucz. Chciałem się wyrwać, lecz nie byłem w stanie.

– Nie pozwolę skrzywdzić się! – wykrzyknąłem. W przy-
pływie wzburzenia nerwowego dodałem jeszcze: – To jest
przemoc!

Ona niestety nie zważała na moje protesty. Pogodziłem
się z myślą, że przyjdzie mi tam zdechnąć. Wirujące ostrze
opadło. Ryknąłem z bólu.

Noga odcięła mi koniuszki dwóch palców.

– Teraz wiesz, jak to jest – powiedziała i odeszła.

Tym sposobem znowu trafiłem do szpitala. Doktory ręce
załamywały: panie, po coś pan tą piłą wymachiwał?! Za dużo
masz pan kończyn? To i tłumaczę, że drzewa musiałem na-
ciąć do pieca i mi się to gównu wymaskło z ręki, a w locie dwa
paluchy upierdoliło. O nodze, rzecz jasna, anim się zająknął.

Dali mi morfinkę, szwy pozakładali. Było git.

Dopóki nie poszedłem spać.

Sny miałem posrane, że dajcie spokój. Nic tylko noga
i noga. Przez pół nocy mnie ganiała. Siadam na sracz,
a tam noga pcha mi się prosto w anal. Jadę PKS-em, a kie-
rowca też noga. Dostaję list, a w kopercie noga.

Wreszcie przyśniła mi się stara buda. I co? Jak myślicie?
No, noga. Ganiała mnie po korytarzach, po kiblach rozro-
śniętych, że chyba z pół piętra zajmowały, po szatniach. Ale
najbardziej pojebane było to, że ciągle do mnie wrzeszczała:

– Chodź, to ci stopę procentową ujebię! Chodź, zoba-
czysz, jak to jest!

Kiedy się ocknąłem, poczułem ulgę. Nic tak nie męczy,
jak takie posrane sny.

Wierciłem się, kombinując, jak by tu dać drapak. Lecz
wtedy czuję, że coś mnie w bok uwiera, tak jakoś pod że-
bro się wbija.

Odwinąłem koldrę i co? Proszę, cóż za zaskoczenie, noga. Z poszarpanego mięcha wystawała jakaś kość i to ona mię tak perfidnie kłuła.

Z początku bałem się, że będzie tak, jak ostatnio. Znaczy, że mnie zaczniesz ganiać z jakimś ostrym narzędziem. To jest przyrządem, ma się rozumieć. No, czymś jak ta piła. Szczęściem nic takiego się nie stało. Ona tak jakby wtulała się we mnie.

Ckno mi się jakoś zrobiło, to ją poklepałem lekko.

I wtedy powiedziałem sobie (czyli, rozumie się, ona powiedziała, ino przeze mnie):

– Heniuś, po coś mnie ujebywał?

– Nie wiem – odpowiedziałem.

– Naprawdę tak ci było ze mną źle? Podporą ci byłam we wszystkim. Gdzie nie poszedłeś, tam i ja szłam z tobą. Obrońcą ci byłam. Przyjacielem w rozrywkach. Rzadko to piłkę razem kopaliśmy? Jeśli można powiedzieć, że do czegoś w życiu doszedłeś, a tuszę, że można takie stwierdzenie wygłosić i nie będzie ono ani kłamliwym, ani przesadzonym, to tylko dzięki mojej pomocy. Beze mnie nie zaszedłbyś tak daleko, jak zaszedłeś. Powiedz, czyż nie po stokroć przyjemniejszym był akt defekacji, gdyś w stanie równowagi idealnej, wynikającej z odpowiedniego podparcia korpusu i ustawienia miednicy, zasiadał na klozecie? Czyż nie łatwiej zgniatało ci się puszkę, gdyś poprzez doskonałą symetrię członków odpowiednią siłą mógł przyłożyć do starannie wyselekcjonowanego punktu naczynia? Czymże jest życie twoje beze mnie? Czy jakiegokolwiek możesz jeszcze zaznawać szczęścia? Doprawdy, żal by mi cię było i gorzkie łzy bym po tobie wylewała, gdyby moja własna kondycja nie była tysiąckrotnie podlejszą. I, oczywiście, gdybym posiadała kanaliki łzowe. Albo chociaż oczy...

Po tej poruszającej tyradzie zapadło między nami długie milczenie. W końcu wyjąkałem:

– No, ale co ja mogę? Teraz to już chuj bombki strzelił.

Nie przyjęła mojej odpowiedzi życzliwie. Zaczęła wierzgać. Wywalila mnie z łóżka. Groziła, że stratuje.

Uratowało mnie zjawienie się pielęgniarki. W chwili, w której weszła i zapaliła światło, noga zniknęła niczym smród po gównie spuszczonej w kiblu.

Powiecie pewnie, że smród po gównie wcale tak szybko nie znika. Dowodzi to jedynie tego, że jesteście brudnymi pedałami, bo tu chodzi o smród psychologiczny.

W każdym razie zrozumiałem wówczas, że między mną a nogą zgody nigdy-ni-chuja nie będzie. Był tylko jeden sposób na to, by się od niej uwolnić. Nie na marne każdej nocy oglądałem filmy o zombie. Dzięki temu wiedziałem, jak postępować w tego typu sytuacjach.

Pozwólcie, że wam to wyłożę, bo po głupawych wyrazach waszych twarzy (tudzież po strużkach smarków ściekających z nosa do gęby) poznaję, że nie czaicie, o co biega. Zombiaki zasadniczo usrywają ludziom życie, bo są wkurwione, że nikt ich nie pochował jak należy. Zatem, aby się z nimi rozprawić, trzeba je złożyć w poświęconej ziemi, najlepiej w pobliżu ukochanych bliskich i...

Nie, kurwa, chyba coś popierdoliłem. Poczekajcie, zaraz to sobie poukładam.

Nie, już wiem, dobra. Pojebało mi się wszystko. Zombiaka zasadniczo trzeba tak długo nakurwiać łopataż aż się rozpadnie na małe, niestwarzające zagrożenia dla życia i zdrowia kawałeczki. Natomiast to, co mówiłem, odnosiło się do duchów. Żeby pozbyć się ducha, należy znaleźć ciało, które opuścił, pochować je w poświęconej ziemi bla, bla, bla.

Pozostaje pytanie, czy taka nawiedzona noga to bardziej duch czy bardziej zombie. E, chuj, kto by się nad takimi detalami głowił. Prawidłowy sposób działania był jeden. I dobrze się składało, że trafiłem do tego samego szpitala, co poprzednio, bo musiałem znaleźć moją nieszczęsną nogę i raz na zawsze się z nią rozprawić, aby mogła spoczywać w pokoju.

Następnego dnia z samego rana poleciałem do pielęgniarek i mówię, że sobie tam cosik urzynałem i co oni z takimi rzeczami robią, bom ciekaw jak to tera wygląda. A baba mi tłumaczy, że mam szczęście, bo oni nie palą odpadów organicznych codziennie... I tak by pierdoliła, ale ja jej mówię: gdzie te odpady? Ona na to, że w piwnicy, przy kotłowni, ale żebym się spieszył, bo o dwunastej...

Nie dosłuchałem do końca, tylko jak głupi pomknąłem po schodach. W te pędy. Na jednej nodze, że tak – he he – powiem.

Do spalarni wpadłem w samą porę. Już tam skurwiel-wząbek-jebany stał przy piecu z nogą w dłoni.

Rzuciłem się na niego, krzycząc:

– Oddawaj nogę, zasańcu!

Facet, trza mu przyznać, nie dał się zaskoczyć. Już-już prawie go dopadłem, lecz w ostatniej chwili się odwinął i jak mnie nie wyrznie udem prosto między oczy! Zachwiałem się, zatoczyłem.

Skurwysyn zamierzył się do następnego ciosu.

Tym razem ja byłem szybszy, wykonałem wzwód, pro-szęjawas, elegancki, unik, paradę, flażolet i co tam jeszcze i fiut! Zasunąłem go z kopa centralnie między jaja a kutasa. Zapomniało mi się niestety, że mam pewne braki w departamencie kończyn, więc mój cios skończył się nie tylko jego, ale i moim upadkiem.

Padliśmy na glebę, ogłuszeni.

Pozbierałem się prędzej niż tamten, chwyciłem nogę, którą był wypuścił, i dalej go nakurwiać bez łeb. Spierdała jak niepyszny.

Nie podjąłem pogoni z przyczyn, sądzę, oczywistych. Zamiast tego oddałem się radości zwycięstwa.

Niestety, nie trwała ona długo. Gdym tak ścisnął w uniesieniu nogę, doszło do mnie, że cosik jakby zbyt gładka jest. I zacząłem se kalkulować, że także jakby nadto świeża. Przeca to sporo czasu minęło, odkąd ją byłem ujebałem. Przy bliższych oględzinach okazało się, że to wcale nie mój kulas, a noga jakiejś panienki. Nawet paznokcie jeszcze były pomalowane.

Tom się wkurwił, mówię ja wam. Czasu miałem niewiele. Mój wróg przypuszczalnie już poleciał po pomoc. No i weź tu szukaj zaginionej kończyny! Zwłaszcza, że pewnie dawno ją shajcowali. Nie pozostało mi nic innego, jak przesytać zawartość popielnika do worka na śmieci i dać w długą, licząc na to, że procentowa zawartość mojej nogi wśród zebranego w ten sposób towaru okaże się wystarczająca dla zaspokojenia gnojącego mnie ducha.

Nie będę opowiadał o mojej ucieczce ze szpitala i gonitwie na kontenerach śmietnikowych, która się w jej toku odbyła, bo na chuj wam to wiedzieć. Grunt, że spierdoliłem i bezpiecznie dotarłem na cmentarz.

Dlaczego akurat na cmentarz to chyba jasna sprawa, co? No dobra, wytłumaczę, znajcie łaskę.

Otóż w filmach to jest zawsze tak, że ciało musi spocząć w odpowiednim miejscu, żeby duch mógł zaznać spokoju. Naturalną kolejną rzeczą, jedynym dobrym punktem zrzućtu dla mojej nogi byłby mój grób. To logiczne. Widać po konstrukcji zdania. „Moja-mój”, czaicie?

Cóż było robić, wykopałem se elegancką dziurę koło wujka Zdzisława, podpieprzyłem jakiś stary nagrobek, na

którym przy pomocy łopaty wyryłem HS (z pełnym imieniem i nazwiskiem nie chciało mi się pierdolić), położyłem się z workiem pełnym nogi przy boku, a na koniec zrzuciłem se marmurową płytę na łeb.

Spytacie, co było potem.

Zginąłem, oczywiście.

Więc jak to możliwe, że teraz czytacie moje wypociny?
Jestem zombie, daaa!

Wszystko poszło zgodnie z planem i po paru dniach przebudziłem się do lepszego życia. Noga znalazła się tam, gdzie powinna, choć muszę przyznać, że cztery palce, osiemnaście łożysk i trudna do oszacowania liczba brodawek nie były pożądanymi dodatkami.

Ale ostatecznie, czego się nie robi dla spokoju ducha.

Zmieniwszy stan skupienia, mogłem oddać się nowym planom i ambicjom. Postanowiłem zostać pisarzem. Nawet znalazłem gatunek literacki, który w sam raz do mnie pasował. Zwie się on bizarro.

Już, już, nie przerywajcie, nic tylko pytania i pytania, no zajebać się z wami można. Przeca wytłumaczę, wszystko wytłumaczę.

Ekhem.

Jak powstaje bizarro i co to jest za diabeł?

Bizarro jest wtedy, gdy ktoś napisze pierwszą głupotę, jaka mu przyjdzie do głowy, a ktoś inny to przeczyta i powie: „O, kurwa!”.

Dziękuję za uwagę.

KONIEC

Grzegorz Gajek dnia 12.09. A.D. 2012 o godz. 16:48:20

Pochwały dla autora:

„To opowiadanie jest jak wiaderko rzygów, które kiedyś wylałem sobie na nogawkę.”

- z recenzji Kuby Wojewódzkiego

„Poruszające. Wybitne. Wspaniałe.”

- The New York Times

„Chuj.”

- The Book Review

„Lubię Gajka. To najlepszy, najbardziej posrany pisarz, jakiego znam.”

- z recenzji Grzegorza Gajka

MAREK GRZYWACZ

POLSKI GÓTYK

Mężczyzna w śmierdzącej kurtce przysunął krzeselko bliżej biurka Eweliny, przez co kompletnie nie miała już czym oddychać. Nic to. Zachowując profesjonalną obojętność, zamieniła się w słuch.

– Widzi pani, no i ten Niemiec, ten rudy, kupił dwie działki! Całe dwie, obok siebie! Czy to w ogóle legalne, pani mi powie? Czy tak się godzi sprzedać Germańcom!? – Petenta ogarnęło święte oburzenie.

– Niewątpliwie jest to niepokojący symptom – przyznała Ewelina, choć niespecjalnie słuchała tyrady. W zaistniałych okolicznościach przyrody ciężko jej było skupić się na czymkolwiek.

– I ja se pomyślałem, widzi pani, że to pewno agent Związku Wypędźców, czy jak tam to sztejnbachowe nasienie się zwie.

– Moglibyśmy przejść do rzeczy? – zapytała z przepisywym brakiem uprzejmości.

Mężczyzna otworzył szeroko usta. Widocznie intensywnie się nad czymś namyślał. Albo chciał zagazować urzędniczkę czosnkowymi wyziewami.

– No, więc, no – wydukał. – Ja sobie pomyślał, że jakbym, dajmy na to, wpakował do traktora parę kilo materiałów wybuchowych, wie pani, po pradziadku-partyzan-

cie mi we szopie zostały, i bym tak wjechał z rozpędu w ścianę szwabskiej willi. Podczas na przykład niedzielnego obiadku tych pogan... czy to by się kwalifikowało?

Ewelina udawała, że szuka czegoś w bazie danych. Udawała długo i namiętnie, zdążyła ułożyć trzy razy pasjansa.

– Widzi pan, ja mam tu wytyczne na następne sześć miesięcy – powiedziała w końcu. – Samobójczy atak z użyciem pojazdu rolniczego być może dałoby się podciągnąć pod męczeństwo za Naród, ale byłby to akt lokalny. Żeby trafić do rejestru ogólnokrajowego... Cóż, trzeba by się bardziej postarać.

– To się znaczy? – Kamikadze-amator nie zrozumiał.

– Wedle tegorocznego rankingu punktacyjnego, obecnie pewnym sposobem na status męczennika za Naród jest „gest rejtanowski naprzeciw parady sodomitów wykonany”.

– Eee?

– Musi pan stanąć na drodze pochodu gejów, klęknąć, rozerwać koszulę i krzyczyć „Nie przejdziecie!”. Czynność powtarzać aż do zdeptania przez tłum czynność wykonującego, bądź zatłuczenia go na śmierć.

– A gdzie... kiedy tych pedryli znajdę? – Petent zapytał nieśmiało.

– Och, to może być trudne. – Ewelina nie starała się nawet udawać, że pomaga. – Widzi pan, osoby orientacji niepoprawnej politycznie w dzisiejszych warunkach decydują się raczej na bolesną i fałszywą egzystencję bez wychodzenia z szafy, to im automatycznie utrzymuje prawidłowy Poziom Beznadziei. Tak więc w całym kraju nie znajdzie się dość jawnych gejów, aby urządzić paradę. Niekiedy sprowadzamy ich z zagranicy, taki tęczyowy przemarsz stwarza świetnie poczucie zagrożenia cywiliza-

cyjnego i upadku moralnego, ale wie pan, cięcia w budżecie. Może w przyszłym roku.

Wydawało się, że petent zaraz się rozplacze. Ewelina zaczęła ostentacyjnie oglądać swoje paznokcie, żeby przypadkiem nie odczuć empatii. Czarny jak noc lakier odłupał się w paru miejscach. Parsknęła z niezadowolenia.

– Pani, ale ja mam trzynastkę dzieci! I żonę na rencie! Kredytów sześć, a plony skupują po najniższych cenach od czasów biblijnych! – żalił się mężczyzna. – Jakby dali mi tytuł męczennika, to ulgi by rodzina dostała. I premię od rządu. Ludzie we wsi by ich wielbili, opiekowaliby się nimi, kochana pani, ja proszę, ja błagam!

– Nie obejdzie pan systemu – stwierdziła Ewelina, nie patrząc biedakowi w twarz. – Do widzenia.

– Ale...

– Do widzenia. Pana sprawa została zamknięta. Przerwa jest. Czy coś tam – pożegnała go zwyczajową formułką.

Przez chwilę jeszcze próbował zwrócić na siebie uwagę. W końcu zrezygnował. Wyszedł z biura trzaskając drzwiami. Na szczęście zabrał ze sobą odór.

Ewelina odetchnęła. Z ulgą, ale delikatną, mieszczącą się w normach. To był ostatni frajer tego dnia. Nadszedł fajrant.

Ewelina opuściła gabinet szefa z niesmakiem. Obowiązkowa sesja wyrzutów i narzekań na jej pracę była jakaś taka pozbawiona uczucia. Niby szef wydarł parę razy, potraktował ją jak totalne zero, ale zrobił to bez przekonania. Co prawda niesumienne wykonywanie obowiązków w Urzędzie Martyrologii Społecznej jak najbardziej uznawano za cnotę, lecz szef to jednak ma jakieś zobowiązania wobec podwładnych.

– I jak ja dziś utrzymam balans PB? – mruknęła pod nosem. Minęła niekończącą się kolejkę, w której powoli umierali z nudów szarzy obywatele.

Nagle otworzyły się drzwi biura Kaśki. Dziewczyna wyleciała przedziutko z plikiem dokumentów i podeszła do niewysokiego dziadka stojącego mniej więcej w środku rzędu oczekujących.

– Panie Nowakowski, odstał pan już swoje – oznajmiła, na co dziadek wcale nie zareagował. – Może pan iść do domu, podbiłam papiery. Tylko proszę pamiętać o tym, że w czerwcu znów musi pan wystać pełne osiem godzin.

Dziadek ruszył do wyjścia. Reszta kolejki donikąd nie miała nawet siły protestować i obrzucać urzędniczki wulgaryzmami, co byłoby w dobrym guście.

Ewelina zatrzymała się. Spojrzała na zdjęcie ponurej jak komornik Kaśki. Nałożony ze złotych literek podpis „Najbardziej opieszala pracownica roku”.

– Durna zołza – szepnęła. – Karierowiczka jebana. – Miała nadzieję, że ten cichy popis podniesie trochę opadające jej od rana PB.

Na zewnątrz zapaliła papierosa. Maria spóźniała się, jak zwykle uczynna. Wiał zimny, północny wiatr i Ewelina pławiła się chwilę w dyskomforcie, obserwując pędzące po krzywych torach czarne tramwaje.

Autobus wypełnił się szybko. Zwykli podróżni i ci etatowi, zatrudniani by generować większy ścisk, stłoczyli się na małej przestrzeni. Plecy rosłego wśmacza wgniotły Ewelinę w Marię, przez co ta mogła mówić jej prosto do ucha.

– Widzisz, to będzie hit sezonu! – tłumaczyła, rozentuzjasmowana. – Cała Polska będzie płakać, telewizja to puści, w Internecie nawet transmitować będą. Wyobraź sobie

skalę. Pogrzeb nastolatki, którą zgwałcił, zabił i poćwiartował własny ojciec. Po czym wrzucił kawałki do beczki z kiszoną kapustą. Wiesz co policji powiedział? „Z takim wkładem mięsnym to bigos byłby przepyszny”. Czaisz, młoda?

– Rzeczywiście efektowne – przyznała Ewelina.

– Żeby jeszcze dziewczyna była młodsza... wtedy to i ze dwa miesiące nie mówiliby o niczym innym. Ale ja już się postaram, żeby pogrzeb miał większą oglądalność niż rozprawa.

– Domyślam się.

– Będzie dwunastoosobowa orkiestra. Dęta, a jak! Pojawia się najwięksi warszawscy celebryci. Banda grubych sierot przebranych za zasmucone cherubinki. Płaczki w kostiumach od Benka Gothicussa, no wiesz, tego szurniętego projektanta. Zatrudniłam nawet dyplomowaną aktorkę na miejsce babci ofiary, bo stara raszpla nieprzekonywająco rozpaczała. Hit!

Ewelina pozwoliła sobie na lekki uśmiech. Lubiła towarzystwo Marii, trochę za bardzo zresztą. Tak jak jej plotki z wielkiego świata, jej artystyczne wizje pochówku i jej eleganckie, awangardowe woalki oraz komplety ze skóry koloru obsydianu. Kobieta z klasą odpowiednią do pozycji społecznej. Bycie najbardziej rozchwytywaną organizatorką pogrzebów w mieście, który to biznes zresztą adekwatnie odziedziczyła jako młoda wdowa, to klucz do szczęścia. Dlatego Maria tłoczyła się w busie zamiast jeździć limuzyną i zadawała się z marną urzędniczką. Każdy musiał zachować równowagę.

Ewelina miała świadomość korzeni swojej znajomości z Marią. Ale i tak lepiej było się męczyć razem niż w samotności. W sumie także czerpała z tego korzyści. Barw-

ne (a przynajmniej bardziej szare niż całkowicie czarne) życie przyjaciółki przypominało jej o własnym ponurym losie, którego nigdy nie zmieni.

Autobus dowlekł się wreszcie na przystanek. Wsiadły i natychmiast wyciągnęły paczki papierosów z torebek. Zaciągały się dymem w milczeniu, wtapiając się w bezbarwny tłum przechodniów. Wtem obok nich zjawił się wysoki mężczyzna z sumiastymi wąsami. Ubrany w granatowy kontusz i z szabelką u boku. Uważnie przyjrzał się kobietom.

Ewelina wzdygnęła się. Dopiero jak poszedł już dalej, Maria jednak to zauważyła.

– Co jest? – spytała od razu.

– Nic – wyjaśniła urzędniczka, uciekając przed pytającym spojrzeniem. – Zimno.

Marii nie dało się jednak zbyć.

– Ostatnio jesteś jakaś dziwna. Ciągle... tak jakby... coś cię gnębi, ale tak... nienaturalnie?

– To nic – podkreśliła jeszcze raz dziewczyna.

Resztę drogi spędziły w milczeniu.

Przed kamienicą Eweliny siedziało trzech dziwnych tyków.

Dwóch miało na sobie tanie, ortalionowe kurtki, a na głowach czapki z uszami. Tryb życia pomalował ich porane zmarszczkami twarze na kolor buraczany. Ewelina dobrze widziała spiczaste uszy i długie kły, zresztą jedyne zęby jakie ostały się w ich szczękach. Popijali jakiś czerwony płyn z półlitrówek po wódce.

– Panienki skosztują! – krzyknął jeden. – Dobra krew!

– Błodi Meri pierwsza klasa – dodał drugi.

– Pierdzielone popegeerowskie wampiry – syknęła Maria, czyniąc znak krzyża. – Siedzą i pasożytują tylko.

Menele zarechotali okropnie. Ewelinę przeraził jednak ten trzeci. Dużo młodszy, chudy jak szczapa, w okularach i dziurawym swetrze. Jego drapieżne, szcurze rysy wywoływały odruch wymiotny. Szkarłatne oczy wierciły spojrzaniem dziurę w ciele urzędniczki, aż ciarki ją przeszły.

– Won! Robotę sobie znajdźcie! Do diabła! A kysz!
– wrzasnęła Maria.

Trójka zniknęła w kłębie siwego dymu. Zostały tylko poprzewracane butelki. Trzy nietoperze odleciały pośpiesznie gdzieś w stronę Pragi.

– Nawet tu się zlatują, cholery jedne – podsumowała zajęście Anka.

– A ten... inny? – spytała Ewelina, jeszcze zszokowana.

– Nowe tałatajstwo. Prekariat. Poszedł taki na studia, zamiast fachu się nauczyć, pięć lat zaliczał panienki w akademiku, pił i ćpał, to teraz pokutuje jako bezrobotny upiór. Jeszcze pewnie humanista, jego mać.

Wspomnienie przesywających oczu potwora towarzyszyło Ewelinie jeszcze długo. Nie odeszło nawet, gdy po stromych schodach wspinała się do swojego mieszkania.

Ewelina leżała na kanapie. Wpatrywała się w świecący zimnym, niebieskim światłem słupek na ścianie. Wskaźnik nie chciał opaść, nie ważne jak bardzo zdołowana się czuła lub starała się czuć. Przez jedno małe coś.

Spojrzała na drzwi łazienki, na których środku przylepiła kawałek kartonu. Ładnymi, symetrycznymi literami napisała na nim własnoręcznie „Toaleta Nieczynna”. Właśnie w tym momencie usłyszała stukanie. Od wewnątrz.

Niebieski słupek podniósł się o centymetr albo dwa.

– Kurwa – wymamrotała Ewelina.

Pukanie powtórzyło się parokrotnie. Zignorowała je. Wreszcie włączyła telewizor, by zagłuszyć uporczywy stukot.

– Przypominamy o kolejnej rundzie „Rządowej Ruletki” – trąkotał spiker. Przez czarną szminkę na ustach i bladą cerę wyglądał jak mim w stanie depresji. – Dziś cztery opcje i jak zwykle jedno pytanie: co spieprzą jutro? Możecie państwo głosować SMS-em na jedną z czterech opcji: cięcia w edukacji, nieudana reforma zdrowia, podwyżka akcyzy, wypowiedzenie wojny Białorusi...

Przełączyła na inny kanał. Chwilę leciało pasmo informacyjne, a dokładniej przegląd efektownych katastrof drogowych, lotniczych i kolejowych z ostatniego miesiąca. Takie tam „the best of”. Nagle przerwano program. Pojawiła się nadęta twarz prezydenta. Ewelina parsknęła. Nadeszła pora na kolejne orędzie.

– Drodzy obywatele! Nadzieja... ostatnio dochodzą mnie słuchy, że coraz więcej ludzi ją ma. Co mnie martwi. Bo nadzieja... nadzieja jest szkodliwa. Znamy historię, znamy świat, a mimo to wciąż znajdziemy żyjących w kłamstwie, którzy potrafią z optymizmem patrzeć w przyszłość. Czy może być coś bardziej niebezpiecznego?

Znów usłyszała pukanie. Próbowwała skupić się na tym, co mówiła głowa państwa.

– Kiedy ma się nadzieję, łatwo się w niej zatracić. Wierząc w lepsze jutro, w poprawę, niszczymy naszą produktywność, chłoniemy złudzenia zamiast spojrzeć prawdzie w oczy. A może krócej... tracimy kontakt z rzeczywistością. W dodatku, gdy nadzieja okazuje się płonna, a tak jest zawsze, następuje szok tak niszczycielski, że może złamać człowieka.

Stukot nie ustawał. Ewelina miała ochotę uciec z mieszkania. Niebieska kreska migotała złowieszczo na granicy pola widzenia.

– Nadzieja jest szkodliwa dla jednostki, ale i dla Narodu. Jak wiele razy w historii nią żyliśmy i przez to kompletnie nie spodziewaliśmy się upadku na dno. Ile razy?

Do uderzeń w drzwi doszedł głos. Stłumiony, ale nie dało się udać, że go się nie słyszy. Przynajmniej Ewelina nie potrafiła.

– Dlatego nie można poddawać się tym złowieszczym uczuciom. Nie można wyczekiwać szczęścia i happy endów, lepszej przyszłości i nadejścia dobrej passy. To się nie zdarza! – Prezydent krzyczał jak nawiedzony. – Świat chyli się ku upadkowi, a zewsząd otaczają nas wrogie siły. Jeden krok i Polska znów zostanie zniszczona. Ludzie są z natury źli. Życie każdego z nas nie ma sensu, wszyscy zemrzemy na raka i skończymy w piekle. Zawsze będzie gorzej. Jeśli ktoś nie rozumie tej prawdy, szkodzi sobie i innym!

Niespodziewanie natrętne dźwięki zniknęły. Ewelina nie wiedziała jak zareagować.

– A jeśli macie pokusę, by zatruwać się marzeniami, myślcie o małych rzeczach. Polska reprezentacja nigdy nie zwycięża. Pop w wykonaniu polskich wokalistek nigdy nie będzie nadawał się do słuchania. Kryzys ekonomiczny nigdy nie przeminie. Ciężka praca nigdy się nie skończy. Lato jest zawsze za gorące, a zima zbyt mroźna.

Wstała. Walczyła ze sobą. Czowała, że powinna to zostawić, ale niepokój rodził się gdzieś w głębi duszy.

– Żeby przypomnieć wam o obywatelskim obowiązku kultywowania beznadziei, ogłaszam żałobę narodową. Do odwołania. Pytacie kogo oplakujemy? Znajdźcie sobie powód, wokół jest ich nadto. A jeśli nie potraficie, płaczcie nad własnym losem. Drodzy rodacy, szczęście trwa zawsze chwilę, potem zostają konsekwencje i trauma. Trwajmy w żalu...

Ewelina wyłączyła telewizor. Cisza wydawała się niepożądana. Uporczywa.

Podeszła do szafki. Wyjęła ukryty pod stertą koronkowej bielizny kluczyk. Odetchnęła. Spojrzała jeszcze raz na licznik PB. Strach sprowadził go trochę w dół, ale wiedziała, że nie na stałe. Kiedy otworzy...

Zbliżyła się do drzwi. Przekręciła kluczyk. Pociągnęła klamkę, zarejestrowała nieprzyjemne skrzypnięcie.

Na desce klozetowej, na tle zagrzybionej i pokrytej naciekami ściany, siedział on. Musiało być mu duszno, paradował w samych bokserkach. Wokół niego wały się sterety książek i podniszczonych czasopism, wannę zapełniały brudne naczynia. W łazience, głupio przyznać, trochę już śmierdziało.

Uśmiechnął się.

Zamknęła za sobą drzwi, przerażona wybuchającą radością.

Andrzej ciągle się uśmiechał. To było tak nieprzyzwoite, że aż paraliżowało Ewelinę. I nęciło, jak każdy zakazany owoc.

– Czego chciałeś? – zapytała, pozorując chłód emocjonalny. – Brakuje ci jedzenia? Potrzebujesz czegoś?

Dotknął dłonią jej policzka.

– Chciałem cię zobaczyć, tyle. Od wczoraj nie zaglądałaś – powiedział namiętym głosem.

– Zostaw – odepchnęła go lekko.

– Nie. Nawet nie wiesz jak bardzo czekam na tą chwilę, kiedy zjawisz się i uczynisz dzień lepszym, mój promyczku. – Gadał jak kiepski poeta.

– Nie mów tak do mnie – poprosiła zrezygnowana. – W ogóle tak nie mów. Wszystko psujesz.

– Słucham? – Nie dowierzał.

– Jeśli będziesz... no, wiesz, taki... to ktoś w końcu to wykryje.

Odgarnął długie włosy, odsłaniając okrągłą bliznę na szyi. Wyglądała, jakby ktoś wypalił mu kwasem pomarszczone kółko.

– Nikt nic nie wykryje. Tyle razy mówiłem. Ja nie mam czujnika. Usunęli mi, gdy byłem w podziemiu. Nikt mi nie mierzy PB, kochana, ja nie istnieję – wyjaśniał, jak wiele razy przedtem.

Ewelina miała łzy w oczach.

– Nie chodzi o ciebie, do diabła! – Nie powstrzymała się, krzyknęła. – O mnie. Ja tak nie potrafię. Tak się powstrzymać. Jak ty tu siedzisz to ja... ja... głupieję.

Znów się uśmiechnął.

– To znaczy, że z nami dobrze.

Nie potrafiła się na nim wyładować, więcej, nawet dłużej się gniewać. On się taki urodził. Naturalny optymista. Nie umiał się nie cieszyć, nie umiał jej nie rozczulać. Tym ją uwiódł. Tym dziwnym, ciągłym zadowoleniem.

– Zostań jeszcze chwilę – poprosił.

– Dosyć – oznajmiła chłodno. – I nie hałasuj, proszę. Idę spać.

Następny dzień mijał idealnie i Ewelina oczami wyobraźni widziała jak miernik PB opada z dużą szybkością ku pożądanemu dołowi skali. Specjalnie wyszła na fajka w najmniej odpowiednim momencie. Szef wziął ją na dywanik i zachował się jak trzeba. Potem zarobiła drugi porządkowy ochrzan. Zrobiła kawę z cukrem, którego boss nie używał. Dodać do tego paru naprawdę okropnych petentów, którzy mieli wizje wywalczenia męczeństwa tak głupimi sposobami jak strzelanie do pracowników fabryki pudeł

kartonowych z okrzykiem „Za Hankę, skurwysyny!” czy danie się złapać w sieci obcych kutrów w proteście przeciwko limitom połowów. Czowała, że odzyska równowagę. Ukrywała Andrzeja już drugi tydzień i nie była w tym za dobra. Ale co zrobić? Łazienkę uznała za jedyną kryjówkę, do jakiej miała dostęp. Ufała pokojom bez okien – ich brak gwarantował bezpieczeństwo.

– Wyglądasz dziś wyjątkowo ponuro – zauważyła Maria.

– Dziękuję. – Ewelina kochała takie komplementy.

Wróciła do domu bardzo późno, bo musiała skoczyć do banku. Spędziła w nim parę godzin, w korporacjach finansowych celebrowali akurat Narodowy Tydzień Strajku Włoskiego. Po wejściu do mieszkania zmyła ciemny makijaż nad zlewozmywakiem. Spłynął po twarzy czarnymi strugami. Spojrzała w lusterko, oceniając stan swojej błości. Potem miała zamiar położyć się przed telewizorem. Wchodząc do pokoju namyślała się czy obejrzeć po raz ósmy „Piłsudzki II: Debolszewikator” czy może maraton babskiego serialu „Klub Podciętych Żył”. Jednak przed drzwiami do łazienki zobaczyła coś, co zniweczyło jej plany.

Róża. Nie obowiązkowy goździk, czerwony lub biały. Róża niezbyt politycznie poprawnej, jasnożółtej barwy.

Szukając klucza, w gniewie rozrzuciła po pokoju staniczki i majteczki. Otworzyła drzwi na całą szerokość, kompletnie zapominając o zachowaniu ostrożności. On oczywiście szczyrzył zęby. Miał rozbawione oczy.

– Wychodziłeś! – wrzasnęła Ewelina, nie myśląc o podsłuchujących sąsiadach.

Uśmiech Andrzeja zrobił się szelmowski.

– Musiałem, przepraszam – oznajmił. – Nie mogłem się powstrzymać. Włączyłem komórkę. I okazało się, że kumpel z ruchu oporu potrzebuje pomocy.

– Ty skończony idioto!

– Cii, pobudzisz wszystkie staruchy wokół... – Próbował przemówić jej do rozsądku. – Uważałem. A poza tym wkupiłem się w łaski damy kwiatem, prawda? I dam ci jeszcze więcej.

– Nie sądzę – powiedziała i odsunęła się.

Nie zniechęciła Andrzeja. Zaatakował zmienacka. Wypchnął ją z łazienki i sam wyszedł do pokoju, trzaskając za sobą drzwiami. Zanim się na nią rzucił, zdążyła tylko zasunąć żaluzje w oknach. Znaleźli się na kanapie. Gdy przylgnął do niej, poddała się. Już bez oporu dawała się całować, dotykać, stymulować.

Nie mogli tego widzieć, zajęci sobą, ale elektroniczny słupek na ścianie zmieniał kolor. Robił się pomarańczowy i podskakiwał coraz wyżej, w rytm ich pośpiesznych ruchów. Kiedy Ewelina odpłynęła, może drugi raz w swoim życiu, z falą przyjemności, wskaźnik stał się czerwony, równie rozgrzany co ona.

Rano obudziła się szczęśliwa. Wypoczęta. Pełna energii. Wszystko nie tak. Nawet nie spojrzała na miernik PB. Bała się. Przynajmniej Andrzej wrócił na miejsce. Zamknęła łazienkę na klucz, mając nadzieję, że chociaż poczucie winy i strach trochę ją zrehabilitują.

Wybrała z kolekcji najczarniejszą szminkę, taką spódnice i żakiet. Makijaż wyszedł iście gotycki. Szybko przygotowała jakieś śniadanie, pełne niepotrzebnych kalorii, i już jej nie było. Unikała spojrzeń sąsiadów, smętnie snujących się po klatce schodowej.

W pracy nie było pracy. Informatycy uznali, że to świetny dzień na comiesięczną awarię systemu. Oczywiście musiały tam siedzieć, wpatrując się w sufit. Szef stwier-

dził, że to świetna premia. Można było do woli kontem-
płować żalność swojego losu.

Koło pierwszej do biura Eweliny wparowała Kaśka. Ze
złośliwym uśmiechem na ustach wyglądała jak polujący
rekin.

– Ewelina, są do ciebie jacyś panowie. W palarni czeka-
ją. Bardzo pilne.

Zanim zdziwiona dziewczyna zdążyła zareagować, Kaś-
ka palcem wskazującym lewej dłoni wykonała jeszcze
gest „podcięcia gardła”.

Nie bez powodu.

W klaustrofobicznie ciasnym pokoiku, w oparach siwe-
go dymu, czekało na Ewelinę czterech wężaczy. Trzech
w granatowych kontuszach, czwarty w pełnym stroju
rasowego sarmaty, cały w szkarłacie, z narzuconą delią
i charakterystyczną czapką. Tylko obcokrajowiec pomy-
liłby ich z grupą rekonstrukcji historycznych. Gliniarze
nie bez powodu nosili takie mundury. Jedyne Chwalebna
Przeszłość potrafiła jeszcze wzbudzić respekt.

– Witam panią, proszę spocząć – oznajmił ten bogato
ubrany. – Jestem komisarz Jagiełło z Głównej Komendy
Policji Obyczajowej.

– Dzień dobry – wydukała Ewelina, czując, że uginają
się pod nią nogi.

– Wody? – zapytał jeden z granatowych przydupasów.

Jagiełło ostentacyjnie położył szablę na stoliku, prze-
suwając popielniczkę. Herb komendy błyszczał na ostrzu
broni, tuż przy rękojeści.

– Przejdę od razu do rzeczy – oznajmił. – Czy wie pani,
że monitoringowcy mają panią na oku?

– A czemu? – Udawała idiotkę.

– Pani PB straszliwie się waha. Taka wańka-wstańka,

powiedziałbym, raz wyżej, raz niżej. To oczywiście powinno monit niepokoić.

– Cóż. Gorsze dni. Znaczą lepsze. Czyli gorsze. – Zaczynała się gubić.

– A wczoraj?

Musieli widzieć jak Ewelina przełyka ślinę.

– To znaczą? – odparła, za wszelką cenę próbując przybrać pokerowy wyraz twarzy.

– Cóż, wygląda na to, pani wybaczy, że ktoś doprowadził panią do orgazmu. Kilkukrotnie. Z kim się pani zadaje? Bo porządny obywatel, przez wzgląd na pomiary, nigdy nie pozwoliłby dojść partnerce.

– Przypadek?

– Trzykrotnie? – Jagiełło odpowiedział pytaniem.

Zamilkła. Domyślała się, że tak już się nie wybroni.

– Przez grzeczność nie będę już analizował pani życia intymnego. Ale sama pani rozumie, że jak otrzymałem dane z monitoringu, musiałem wszcząć dochodzenie. I wyszły inne ciekawostki.

– Na przykład jakie? – spytała. Musiała spróbować przynajmniej ustalić co wiedzą.

– Podobne wahania pani stanu zdarzały się już wcześniej. Trzy miesiące temu, na szkoleniu w Gdańsku. I jakieś dwa tygodnie temu. Wyjątkowo podejrzane skoki.

– Miałam iść z tym do terapeuty, ale praca...

– Tak. Oczywiście – powiedział Jagiełło i uśmiechnął się chytrze. To nie zwiastowało nic dobrego. – A proszę mi powiedzieć... co się właściwie dzieje z łazienką w pani mieszkaniu?

– Szperaliście mi po domu! – Ewelina nie opanowała się w porę. Wybuchła.

– Skądże. Do tego trzeba nakazu, a żeby dostać nakaz,

potrzeba poszlak. Nie jesteśmy barbarzyńcami. Polska to państwo prawa.

– To... skąd?

– Popytaliśmy sąsiadów. Panią Dworniakową, która zeznała, że pani u niej bierze prysznice, bo ma pani coś z instalacją. No, mniej więcej tak to brzmiało.

Ewelina uspokoiła się. Była jeszcze w grze.

– Wzywałam hydraulika. Na pewno mają w systemie zgłoszenie awarii. Innych też, chyba sześciu. Wyszło, że naprawione będzie nie wcześniej niż w grudniu. Wiadomo, jest jak jest.

– Doprawdy?

– Mogę dać namiary.

Jagiełło wyjął paczkę Mocnych. Zapalił. Dym śmierdział jak mało co.

– Dziękuję. Sami sobie poradzimy. Cóż, to chyba tyle. Na dziś. Proszę pod żadnym pozorem nie opuszczać Warszawy. Będziemy dzwonić.

Ewelina wstała i już złapała za klamkę, gdy komisarz odezwał się raz jeszcze.

– I proszę pamiętać. Nigdy nie będzie lepiej – rzucił frazesem.

– To akurat wiem – odpowiedziała i wyszła.

Gdyby ktoś powiedział Ewelinie, że sama założy dwa metalowe rygle z kłódkami, wysmiałaby tą osobę. Czego jednak nie robi człowiek ogłupiony miłością? Zadanie było o tyle trudne, że Andrzej ciągle walił w drzwi, próbując dowiedzieć się o co chodzi. Potem zaczął pytać, starał się ją powstrzymać, ale znalazła w sobie siłę. Dopiero kiedy padła na podłogę, zmęczona jak nigdy, uświadomiła sobie, że to było bez sensu. Jeśli będą chcieli wejść, to wejdą. Dotarło to do niej z opóźnieniem.

– Nie potrafię już tak – szeptała do dziurki od klucza.
– Myślałam, że umiem. Ale to zbyt wiele.

Andrzej upiornie długo nie odpowiadał. W końcu jednak odezwał się cicho.

– Wszystko będzie dobrze.

– Nie, tak nie może być – przekonywała go, choć nie wiedziała po co. – Ty jesteś... inny. Nie widzisz prawdziwego świata, nie potrafisz tak żyć. A ja nie potrafię inaczej.

– Gówno prawda. – Andrzej brzmiał zaskakująco poważnie. – Nie różnimy się. Ciebie tylko nauczylu posłuchu.

– Przestań – odparła, wstając. Zaczęła odchodzić od drzwi. Powoli. Nie mówił więcej. Widać miał w sobie jakąś przyzwoitość.

W ciemnym pokoju stała się tylko sylwetką oświetloną bardziej niebieską niż zwykle poświata. Chciała już tylko spać, ale nie pozwoliła jej na to smętna melodyjka. Dzwonek komórki.

– Halo? – wymruczała niskim głosem.

– Hej. To ja. Maria. Wiesz co, rzucił mnie kochanek. To znaczy ja go puściłam kantem. Napijemy się?

– Czy to najgorszy dzień na obniżanie sobie PB? – Ewelina wiedziała, że alkoholowe doły to jeden z ulubionych sposobów przyjaciółki na utrzymanie pożądanego poziomu.

– Skarbenku, piątek dziś. Zawiesiłaś się?

Ewelina namyślała się kilka minut. Powinna trwać na posterunku, ale przecież od dawna tylko to robiła.

Przez jedną straszną chwilę wydawało jej się nawet, że może lepiej jak go złapią, skończą tę męczarnię skaczących i opadających wbrew naturze nastrojów.

A poza tym, jeśli rzeczywiście mogli ją śledzić, to chyba lepiej było odciągnąć ich od mieszkania.

– Gdzie mam czekać? – Podjęła decyzję.

– Podjadę pod twój dom. Ubierz się grobowo. Pójdziemy do modnego klubu, mała.

Musiała to zrobić. Byleby znaleźć się z dla od jego próśb, jego uśmiechu i chęci wkroczenia do łazienki i wtulenia się w niego.

Na parkiecie kiwał się tłum w kolorach depresji. Spod monottonnych bębnow i elektronicznych zgrzytów z trudem wyłaniały się osamotnione, upite melancholią nuty grających gdzieś w tle smyczków. Przy barze siedzieli ci, co przybyli w jednym, określonym celu, a mianowicie, by przy pomocy dołującą drogiej wódki wlać sobie do głów jak najsmutniejsze myśli.

Maria, ubrana w lateks koloru nocnego nieba i sztuczne futro, popijała z wysokiej szklanki drinka zwanego Białą Damą. Ewelina wiedziała tylko, że było w nim mleko. Sama postawiła na klasyczne Wściekłe Psy.

– I wtedy, wyobraź sobie, powiedział coś takiego: „twój tryb życia nie jest dla mnie. Mojej depresji potrzebna jest samotność, a nie ganień po mieście i podniecanie się kolejnym pochówkiem”. – Usta Marii się nie zamykały. – To pieprznięłam go z liścia w mordę i wyszłam. Co jak co, ale tak się do mnie nie mówi.

Ewelina patrzyła na blat, szukając we wzorze szachownicy jakiegoś pomysłu na uratowanie sytuacji. Wychyliła płyn z następnego kielonka. Barman, wysoki i szczupły typ z taką ilością kolczyków na twarzy, że prawie nie było widać skóry, polał jej parę kolejek bez pytania.

Maria wciąż gadała i gadała, ale słowa nie padały na podatny grunt. Ewelina odwróciła się, by zobaczyć typka w zielonej skórze przemykającego między tańczącą w transie młodzieżą gotycką. Odciągnął jedną dziewczynę na bok.

Wcisnął jej coś w rękę, chyba torebeczkę, za co ona pocałowała go namiętnie w usta.

Dealer. Popyt na nielegalne substancje nie malał. Ciekawe co sprzedawał, Prozac czy Citaxin?

– Słuchaj, masz może wolny grobowiec? Na jakimś przytulnym cmentarzu? – spytała później Ewelina, mocno już pijana.

Maria zrobiła zniesmaczoną minę.

– Wiem, że umieranie młodo jest w dobrym guście, ale może lepiej nie? – powiedziała.

– Przepraszam – wybelkotała w odpowiedzi urzędniczka. – Muszę do toalety.

Damski kibel był brudny, a światła mrugały co parę sekund. Ewelina spojrzała w lustro. Trupi makijaż sprawił, że przypominała szkielet.

– Co ja sobie myślałam? – spytała kobietę ze szklanej tafli.

Wypytywać przyjaciółkę o kryjówkę dla kochanka-poszukiwanego dysydenta... To nie był najlepszy ruch. Zamiast coś poradzić, stawała się jeszcze bardziej nieporadna.

Z kabiny nagle wyłoniła się dziewczyna. Ubrana na biało. Z sukni, bardzo staroświeckiej, wydarto u dołu sporo materiału – wyglądała jak postrzępione mini. Twarz miała siną, a niebieskie oczy znikwały w czarnych dziurach będących dla nich obramowaniem. Niezły makijaż, a może mała naprawdę była duchem.

– Ej, sztywna, masz może kopsnąć fajka? – zapytała Ewelinę, psując wrażenie nierealności. Urzędniczka wyjęła papierosy i poczęstowała ją jednym. Dziewczyna kiwnęła głową w podziękowaniu i rozplynęła się w powietrzu.

Jagiello nie cierpiał przesłuchiwania fachurów. Jak brnięcie w głębokim błocie, niby robiło dobrze na PB, ale strasznie się po drodze grzęzło.

– Owszem, dostałem zlecenie, panie władza, ale odłożyłem wykonanie na później, bo byłem aktualnie w tamtym czasie bardzo zajęty przedłużoną konsumpcją płynów alkoholowych – oznajmił pierwszy hydraulik z listy.

– Panie, coś tam może przez komputer zgłoszono, ale widzi pan, ja się na komputerach nie wyznaję. – Drugi nie był bardziej pomocny.

– A co mamy dzisiaj? Sobotę? – pytał trzeci, kompletnie oderwany od rzeczywistości. – Ja w czwartek będę. Wszystko naprawię, przysięgam na własnego szwagra. Ja dobra firma jestem.

Sytuacja powtarzała się w kolejnych melinach, które paskudni kiblogrzebacze nazywali biurami. Jagiełło, zanim odznaczył prawie wszystkie nazwiska z listy, nawdychał się oparów spirytusu i zapachu kwaszonych ogórków. Nie mówiąc o smrodzie samych hydraulików.

Został ostatni fachowiec.

Jagiełło nie miał już siły na przeczucia, że tym razem na coś trafi.

Hydraulik był wysuszonym staruszkim. Roboczy kombinizon wisiał na nim jakby dziadek nie wypełniał go ciałem nawet w jednym procencie.

– Tak, byłem u tej panienki, w mieszkaniu też – mówił staruszek.

– Naprawdę? – Jagiełło zaczął słuchać uważniej.

– Nie chciała mnie wpuścić. Dziwne. Mówiła, że spiesz się na spotkanie i teraz nie ma jak mnie pilnować. Nalegałem. Nie godzi się, żeby młoda kobieta tak długo nie miała bieżącej wody, prawda?

Komisarz stwierdził w duchu, że z taką uprzejmością dziadek jest kompletnie nieprzystosowany do realiów współczesności.

– Rozmawialiśmy, ona wzięła numer telefonu bezpośrednio do mnie, powiedziała, że zgłosi się w dogodniejszym terminie. I nigdy nie zadzwoniła.

– Zauważył pan coś szczególnego?

Stary chwilę się namyślał.

– Tak. Kwiaty. Leżały przed drzwiami do łazienki. Nawet nie bukiet, kilka kwiatków związanych wstążką. Takich dziwnych... – Szukał nazwy w pamięci. – Róże. Żółte.

– Ciekawe. – Jagiełło już wiedział, że złapał trop. – Coś oprócz tego?

– Gwizdanie.

– Słucham?

– Mógłbym przysiąc, że jak wchodziłem do mieszkania, to było słycać gwizdanie. – Dziadek zaczął mówić szeptem, konspiracyjnie. – Wie pan komisarz, takie wesołe. Tak, jak się przy robocie gwizdało, zanim nie uznano tego za niedopuszczalne wobec szlachetnej powagi trudu i znoju pracy fizycznej.

Jagiełło uśmiechnął się. Triumfalnie wyciągnął papierosa z paczki.

Całą sobotę Ewelina przesiedziała w domu, skacowana i zaniepokojona. Do Andrzeja weszła tylko raz. Wyjaśniła mu sytuację, ale on się nie przejął.

– Nie przyjdą po mnie. Oczywiście, szukaj nowej kryjówki, ale nie męcz się tym za bardzo, kochanie – powiedział.

Nakarmiła go, porozmawiała jeszcze chwilę, a potem uciekła, zamykając łazienkę na wszystkie spusty. Starczyło, że przytulił ją i pogłaskał po włosach, a miernik PB znów zaczął niebezpiecznie piąć się ku gorze.

W niedzielę z żalem zesła z posterunku. Chodziła na mszę jak każda porządna dziewczyna. Na tych, którzy nie

chodzili, wszyscy patrzyli podejrzliwie. Nie mogła ryzykować. Zwłaszcza teraz.

Wszelkie rytuały przetrwała niemal w półśnie, zmrożona panującym w kościele chłodem. Ocknęła się dopiero pod koniec Seansu Narzekania Zdrowotnościowego, który w ramach propagowania właściwych postaw społecznych zwykle zastępował kazanie.

– ...jak można tak wtrącać się w wewnętrzne sprawy gospodarze? Żydowskie dłonie Europy zaciskają się na gardłach naszych hodowców. Czy widzieliście, ile teraz kosztują karczochy?! – krzyczała natchniona Natalia Dębska.

Tłum wiernych wstał z ław i zaczął bić brawo. Dębska była parafialną gwiazdą. Kiedyś pisała do Superaka, co czyniło ją autorytetem. Jej najpopularniejszy artykuł, prawdziwy hit sezonu ogórkowego, udowodniał, że Tomasz Lis jest w istocie lisołakiem, który nocami, pod postacią rudego drapieży, wykrada kury z podwarszawskich gospodarstw. „Czy zarazi was wścieklizną?” – pytała dramatycznie w nagłówku.

Powrócił ksiądz. Unosił się nad posadzką, czarne szaty spływały na skrzące się złotem nakrycie ołtarza. Wreszcie kapłan wylądował. Na twarzy miał maskę z materiału przypominającego granit, przedstawiającą wykrzywione bólem oblicze świętego męczennika.

– Dziękujemy za udział w dyskusji na temat „Unijne przepisy o kształcie i kolorze karczochy” – przemówił metalicznym głosem robota. – A teraz ukorzcie się i przystąpcie do sakramentu spowiedzi. Otwórzcie przede mną swoje brudne umysły, ażeby przeze mnie przekazać swoją skruczę Panu i błagać o przebaczenie.

Spod czarnego stroju zaczęły się wyłaniać niezliczone mechaniczne macki. Przyssawki na ich końcach przycze-

piały się do skroni wiernych. Starsze panie cicho jęczały w trwożliwej ekstazie, gdy rozpoczynał się proces pokuty. Ewelina wymknęła się ostrożnie, mijając pustą nawę boczną. Z wiadomych względów nie mogła sobie pozwolić na drenaż myśli.

Zwykle udawało się jej uniknąć spowiedzi. Ludzi zbyt zajmowało pokorne pranie brudów, by zauważyli jej nieobecność.

Tym razem było inaczej.

Na schodach prowadzących do kościoła czekał na nią drugi ksiądz. Jego maska krzyczała bezgłośnie. Zbliżył się.

– Myślę, że powinnaś jednak przystąpić do spowiedzi, dziecino – stwierdził. – Wyglądasz na taką, co ma sporo na sumieniu.

Macka wystrzeliła do przodu błyskawicznie, nie dało się uchylić. Ewelina poczuła, jak mokre wypustki przyklejają się do jej czoła. Potem prawie zemdląła, gdy ksiądz wysłał dane o jej największych grzechach. Z uszu pociekła jej krew. Wreszcie puścił. Upadła.

Kiedy wstała, zobaczyła, że do księdza dołączył komisarz Jagiełło.

– Miał pan rację – wysyczał kapłan. – Przetrzymuje kogoś u siebie. Andrzej... Beksa, tak, Andrzej Beksa. Znajdzie go pan w toalecie.

– No i proszę. Szybko, łatwo i przyjemnie. – Jagiełło pochwalił kunszt księdza. Potem zbliżył się do Eweliny. – I po co było to przedłużać, dziewucho? Myślałaś, że wieki będziesz go ukrywać w zwykłym sraczu?

– A co, kurwa, z tajemnicą spowiedzi?! – wrzasnęła zrozpaczona dziewczyna w desperackim porywie wściekłości.

– Oj, nie bądźmy tacy rygorystyczni – odparł komisarz. – Poza tym ksiądz Jarek za komuny był agentem, więc problemów nie robi.

Nie wpuścili jej na górę, chociaż krzyczała, kopała i lamentowała. Wreszcie usiadła na krawężniku, zrezygnowana, pochlipując cicho. Andrzeja wyprowadzili po kwadransie. Musiał stawiać opór, bo brzuch miał przecięty szablą, cały zakrwawiony. Ale gdy przechodził, spojrzął na Ewelinę zupełnie przytomnie i bez oznak cierpienia na twarzy. Wyciągnął ku niej rękę, zacisnął pięść i wystawił kciuk do góry.

Dwóch gliniarzy szarpnęło go i wpakowało siłą na tył furgonetki, która odjechała przy akompaniamencie wyjących syren.

– Propagowanie optymistycznych postaw, działania anarchistyczne, sztydzenie z rządu, działalność w nielegalnej organizacji – wyliczył Jagiełło. – Długo to nie potrwa, moja droga.

Ewelina nie odpowiedziała.

– Jesteś młodą, zagubioną osobą. A to cię odpowiednio przytłoczy. Ugadałem się z prokuratorem. Nie postawią ci zarzutów, najwyżej dowalą jakieś prace społeczne – dodał.

Nadal milczała.

– Chcesz papierosa? – Komisarz podetknął jej pod nos paczkę Mocnych.

– Tak – szepnęła i wzięła jednego.

W ogóle nie poczuła ohydny smaku dymu.

Nie poszła na egzekucję. Nie było to konieczne, już znajdowała się na dnie. Leżała w bezruchu na kanapie, przyglądając się obdrapanemu sufitowi. Raz tylko zerknęła na arktyczny błękit miernika PB. Słupek opadł do granicy, którą nie bez powodu nazywano potocznie Poziomem Samobójczym.

Jakiś tydzień później zdołała się odnaleźć w politycznie poprawnej rutynie. Cierpiąc katusze w pracy nie miała możliwości rozmyślać. Opanowało ją dziwne odrętwienie. Wszystkie czynności wykonywała mechanicznie, nawet nie symulowała, by dobrze wypaść w oczach szefa.

Do domu wracała sama. Maria słyszała o wszystkim. Woląła nie narażać reputacji.

Tego czwartkowego popołudnia padało. Deszcz wydawał się czarny jak wszystko wokół. Ubrania ludzi, budynki, przemalowany niedawno Pałac Kultury i Nauki. Ewelina nie miała ze sobą parasolki. Mogła moknąć. Nie robiło to na niej większego wrażenia.

Przed kamienicą siedział wampiryczny eks-student. Już nie wydawał się taki straszny. Raczej zmarnowany, z zamokłym papierosem w ustach i wilgotnymi pasmami włosów opadającymi na oczy.

– Dasz parę złotych? – Spytał, gdy Ewelina przechodziła obok. – Na butelkę RH+?

Wyjęła portfel i położyła mu dyszkę na pazurzastej dłoni. Taki odruch serca. Dopiero teraz zrozumiała popularne hasło „Braterstwo w Beznadziei”.

Jakże się zdziwiła, gdy weszła do mieszkania i nagle, w progu łazienki, błysnęły męskie kształty. Postać Andrzeja pojawiła się tylko na moment. Potem zniknęła, jak to widma mają w zwyczaju.

Ewelina całe popołudnie klęczała nabożnie przed miernikiem PB. Pierwszy raz w życiu czekała w skupieniu aż słupek podskoczy, choćby nieznacznie, o milimetr.

Chciała wiedzieć czy ma jeszcze nadzieję.

Przybył, gdy za oknem zrobiło się już ciemno. Stał przy kanapie, na której zwinęła się w pozycję embrional-

ną. Uniosła głowę. Rozpoznała go. Andrzej, bez wątplenia. Trochę bardziej przeźroczysty, nieco wyblakły, ale we własnej osobie.

Otworzyła usta. Na próżno. Nie była w stanie nic z siebie wykrztusić.

Uśmiechnął się czule.

– Przepraszam, że tak późno, ale musiałem coś załatwić. Mam nadzieję, że nie przestraszyłaś się wcześniej mojej manifestacji? – powiedział.

Pokręciła przecząco głową.

– Znalazłem sposób. Będziemy mogli być razem, bez przeszkód, bez prześladowań. Czy to nie cudowne?

– Jak? – zapytała, wciąż nie dowierzając.

– Kiedy wróciłem tutaj, od razu przenieśliem się do adwokata. Taki starszy prawnik, kiedyś pomagał mojemu ojcu, gdy ten procesował się trzydzieści lat z sąsiadem... Przepraszam, słowotok. Najważniejsze, że adwokat potwierdził. Nic nam już nie grozi.

Wstała. Próbowała go dotknąć, sięgnęła ku klatce piersiowej Andrzeja jak niewierny Tomasz, ale dłoń przeniknęła tylko przez widmowe ciało.

– Romantyzm jest nieodłączną częścią polskiego charakteru narodowego – zacytował prawnika mężczyzna. – A tragiczna, niespełniona miłość, z bonusowym elementem pozagrobowym, jest całkowicie zgodna z obowiązującą doktryną. Wręcz pożądaną, bo emocje z niej wynikające są czystą formą beznadziei. Rozumiesz, Ewelinko? Rozumiesz?

– Nie do końca – przyznała.

– Jestem duchem – wyjaśnił. – Spójrz, nawet nie mogę cię dotknąć. Taka miłość nigdy nie będzie spełniona! Razem, a jednak osobno. Zawsze będziemy obok siebie, choć

oddzieleni ostateczną barierą. Aż do twojego końca. Wtedy i tak już nic nie będzie się liczyć... Ważne, że będziemy razem. Tyle nam wystarczy. Tak żyliśmy, odkąd mnie tu przyprowadziłaś.

– I to jest legalne?

– Dla ciebie będzie to słodkie nawiedzenie. Lecz nie ma żadnego haczyka. Cała policja świata nie znajdzie w tym śladu prawdziwego szczęścia – powiedział. – Przygarniesz mnie znowu?

Nic nie mówiła. Zbliżyła się, wyciągnęła ku niemu ręce i objęła nienamagalne ciało, jak obłąkany mim. Otworzył ramiona i przygarnął ją ku sobie. Poczowała tylko chłodny powiew, żadnego ciepła skóry, dotyku, niczego.

Zamknęła oczy.

Odrobina szczęścia. Takiego smutnego, aż łzy pociekły jej po policzkach. Mimo to szczęścia.

Słupek na ścianie nie drgnął. Ani w górę, ani w dół.

EDWARD LEE
PRZEJAZDZKA

Jej wątroba. Jej nerki. Jej mózg. Wszystko zezarłem, stary – wszamałem bez popity. A potem wyssałem gówno z jelit...

Pyszne, świeżutkie gówienko.
Też ci radzę spróbować.

* * *

Poluję podczas przejazdów. Łatwizna, mówię ci. Został jeszcze miesiąc czy dwa, zanim zacznę gnić, więc możesz mieć pewność, że będę pruć po bandzie do samego końca. Zaszaleję, póki jeszcze mogę. A później... któż to wie? Pewnie zejdem pod ziemię, jak pozostali.

Na tym świecie nie jest łatwo.

Nikt nie ma pojęcia, ilu nas jest. CDC twierdzi, że kilkaset tysięcy, inni podejrzewają, że ponad milion. Chryste, przecież goście od spisu ludności nie zapukają ci do drzwi, żeby o to wypytywać. Szanowny pan wybaczy, ale czy jest pan żarłokiem, czy normalsem? Jest pan jeszcze żywy, czy już, kurwa, sztywny?

Zresztą i tak nikt nie ma bladego pojęcia, jak do tego doszło. Niektórzy twierdzą, że to przez tę kometę, co minęła nas kilka lat temu, inni mówią, że coś się pojebało

w czasie wojskowego eksperymentu w Edgewood Arsenal. No i oczywiście...

Są też tacy, co gadają, że to sprawka Boga.

Taa, Staruszek tam w górze obudził się pewnego dnia i jak zobaczył, co Jego dzieciaczki tutaj wyprawiają, dosłownie się posrał. Rozpierzdoliliśmy mu Raj, więc postanowił spuścić nam na głowy swoje gigantyczne gówno.

Nie powiem, żebym Go winił.

* * *

Świetnie pamiętam moje pierwsze szamanko. To jak pierwsze rżnięcie – takich rzeczy się nie zapomina. Jednej babie zjechał się samochód na Route 154, a na dodatek okrutnie wtedy piździło. Zatrzymałem się i zaproponowałem, że podrzucę ją na stację benzynową. Straszna z niej była snobka. Sztynna jakby kij łyknęła. Skórzana teczka, laptop, płaszcz Burberry na sukience Givenchy – prawdziwa bizneswoman, może nawet jebana prawniczka. Najpierw mówi mi: „Wielkie dzięki! Nawet nie wiesz, jak się bałam. Tyle wszędzie tych żarłoków.”

Żarłoki. Tak na nas mówią, swoją drogą. Jakby czarnego wyzywać od asfaltów. Ja cież jebię. Mają nawet specjalne oddziały egzekucyjne, posyłające do piachu tych, co już się przemienili. Mniejsza. To biznes-kurwiszcze ciągle do mnie nawija, a ja nagle robię się głodny.

– Jesteś moim wybawieniem – mówi.

Pewnie, kobieto, myślę sobie, jestem dla ciebie prawdziwym wybawieniem. Kiedy zatrzymałem wóz i zacząłem zrywać z niej tę kiecę, rozdarła jąpę jak zarzynana świnią. Bycie żarłokiem daje ci dodatkowego kopa, więc rozszarpałem jej brzuch dosłownie gołymi rękami. Jak żarłem wątro-

bę, serce wciąż babce waliło – nie ściemniam – a potem na zagrychę wszamałem jej cyce. Wgryzłem się w jej buźkę niczym dzieciak zjadający lukier z ciasteczka. Po posiłku jeszcze porządnie ją wyruchałem i wyrzuciłem z samochodu.

Na samym końcu starłem tą drogą kiecą krew i gówno z mojej tapicerki.

* * *

Tak jak mówię, musi minąć trochę czasu, zanim żarłok przejdzie metamorfozę – coś ze trzy, cztery miesiące. Pewnie jeszcze trochę wody upłynie, nim będzie to po mnie widać. Ale, Chryste, trzeba widzieć tych biednych skurwieli, co żyją w kanałach. Nazywamy ich Weteranami. Mielone steki na dwóch nogach, a śmierdzą tak, że można ich wyczuć z odległości mili. Żyjąca zgnilizna. Raz widziałem laskę, która wciąż szła przed siebie, mimo że nie miała nawet twarzy, tylko czaszkę ukrytą za długimi brudnymi włosami. Innym razem natknąłem się na jednego z tych beznogich, których widuje się niekiedy w miastach, jak pomykają na takich deskach z kołami. Ten nie mógł zdobyć żarcia, więc zjadał samego siebie. Szamał mięcho z własnego przedramienia, jakby to był chrupiący kurczak z KFC. Takie rzeczy dają do myślenia, tyle powiem. Kiedy wiesz, że zostało ci ledwie parę miesięcy, jest zupełnie jak w tej starej reklamie piwa.

Starasz się wycisnąć z życia tyle, ile zdołasz.

* * *

Teraz zaserwuję ci kilka smacznych historyjek, co, szefie? Wiele moich posiłków to kierowcy, którym zepsuły

się wozy – łatwa szamka. W zeszłym miesiącu napatoczyła się ta ruda, której dymiło z chłodnicy. Więc jako uczynny dżentelmen zaproponowałem, że podrzucę ją do warsztatu, podobnie jak tamtą kurewkę w sukience Givenchy. Ale ta laska była jeszcze gorsza, wygadana i na dodatek z charakterkiem. Jedziemy sobie, no nie, zapalam po ludzku fajka, a ta szmata mówi mi, żebym zgasił. Bo to jej przeszkadza. I jest niezdrowe.

– Według statystyk bierne palenie jest dziewięć razy bardziej rakotwórcze – tłumaczy mi. Noż kurwa mać, przecież nie będzie musiała przejmować się, że umrze na raka, tego jednego może być pewna. Puszczaj mi taką nawijkę i to w moim wozie! Wyświadczam kurwie przysługę i ją podwożę, a ona jest na tyle bezczelna, by kazać mi zgasić szluga. Zresztą to bez różnicy, bo i tak ją zajebię, ale nie o to tutaj się rozchodzi, co nie? Zajeżdżam do doków i wgryzam się w nią. Drze ją jak powalona, chyba zbudziłaby umarłego – gra słów zamierzona. A ja żuję dziko jej flaki, jak pieprzony bernardyn, co dorwał się do michy Chappi.

Ale jeszcze czegoś na temat tego rudzielca ci nie powiedziałem.

Jest gdzieś tak w ósmym miesiącu ciąży

Kurwa, ta laska była naprawdę ogromna – lada moment mogły jej odejść wody.

Sęk w tym, że jest ciężarna. Kawał buły w piekarniku. A ja jestem mięsożernym zombie, więc...

Tamtej nocy zaliczyłem aż dwa posiłki, stary. Dostałem dokładkę jak się patrzy.

* * *

Ja cież pieprzę, odstawiałem takie numery, że Charles Manson wygląda przy mnie jak Dick Van Dyke. Na widok moich szaleństw sam Jeff Dahmer puściłby pawia.

Powiem ci jeszcze o jednej rzeczy, tak dla zgrywy. Przejeżdżam sobie pewnej nocy za starą fabryką Nevatek, szukając żarcia, i zauważam wielgachnego hummera, należącego do armii. Wozi się nim jeden z tych koleśi, co posyłają żarłoków do piachu – mówią na nich TES, Tactical Extermination Squad. I ty wiesz, co ten skurwiel odważa? Rżnie na parkingu tę małą sztywniaczkę, że aż jej larwy z cipy lecą. Wcześniej posłał w nią całą serię z karabinu, więc biedaczka nie jest nawet w stanie podjąć walki, a teraz kolo posuwa ją w dupsko aż się dymi.

Zatrzymuję wóz, a ten koleś ogląda się na mnie i szczerzy michę. Myśli, że wszystko gra, no wiesz, i nawet się mnie pyta, czy też chciałbym sobie poruchać!

– Pewnie – odpowiadam, a gdy jestem wystarczająco blisko, jednym szybkim ruchem przypierdalam cwaniakowi w krtań. Wkurwiło mnie to, nie powiem. Nie cierpię, jak te chuje krzywdzą moich ludzi. Więc co potem robię?

Powiedzmy, że byłem już nażarty – po trzech posiłkach, precyzyjnie rzecz ujmując; same mózgi i flaki. Więc ściągamy spodnie i stawiam kloca tak masywnego, że zatopiłby lotniskowiec. Myślisz, że twoja kaka strasznie jebie? Stary, widać nigdy nie wahałeś sraki zombie. Wtedy łapię tego kutasa i każe mu wszamać moje gówno, całą, kurwa, parującą stertę mojego gówna. A później rżnę go w dupę mocniej niż robił to jego tatuś. Chciałem, żeby się dowiedział, jak to jest być takiej sytuacji, a jeśli o mnie chodzi to, kurwa, przecież wszystkie dziury są różowe w środku, nie?

Na koniec wysysam mu wątrobę.

* * *

No i tyle ode mnie. Odkąd jestem zombie, zrobiłem wiele ciekawych rzeczy, tak jak ci mówiłem, a minie jeszcze z miesiąc czy dwa, zanim zacznę gnić. Więc mogę jeszcze trochę pobalować, co nie?

Jebać ich. Jebać wszystkich. Czemu miałbym przejmować się ludźmi, którzy mają mnie gdzieś? Może mi wyjaśnisz?

A teraz udzielę ci jeszcze paru informacji, których pewnie nie znasz. Mózgi? Smakują jak przesolona jajecznica. Jądra też są słone i chrupiące, trochę jak owoce hurmy. Trzustki są słodkie i pozostawiają w ustach przyjemny posmak. Serca lepiej nie żreć, smakuje jak jebana podszwa, stary, tak samo z reguły pomijam pęcherzyki żółciowe. Zbyt kleiste. Język to fajna przekąska, a macicą można się konkret napchać. Płyn rdzeniowy? Trochę jak rosół. Jest jeszcze mięcho z mięśni. Smakuje ci bekon? Lubisz befsztyki czy żeberka? Tak to się właśnie je, szefie.

Gdy zwykły koleś widzi przechodnia na ulicy, nie uważa nic szczególnego. A wiesz co ja widzę? Jebany szwedzki stół, kolego, prawdziwą ucztę na dwóch nogach. Pewnie, jestem smakoszem i będę żarł jak dziki dopóki, kurwa, nie zgniję i nie będę musiał zejść pod ziemię. Jak w tamtej starej reklamie piwa.

Bo czemu miałbym sobie żałować?

Jebać ich. Wszystkich można zeżreć.

* * *

Aha, jeszcze nie opisałem ci mojej techniki. Jak udaje mi się tyłu dorwać w czasie zwykłej przejażdżki? Taa,

o tym zapomniałem. Słuchaj, ja od razu budzę ich zaufanie. Wystarczy, że mnie zobaczą, a już czują ulgę...

Bo tak jak ci tłumaczyłem, przemiana rozkłada się w czasie. Więc jeszcze nie wypadłem z mojej dotychczasowej roboty.

Wciąż mam swój stary mundur.

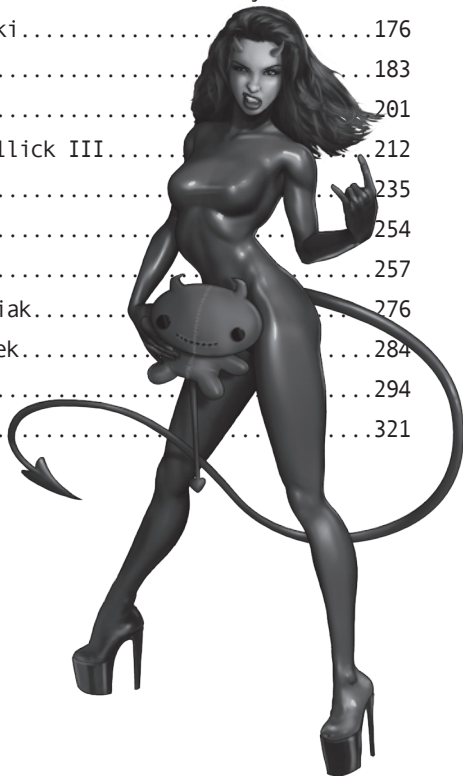
I swój stary wóz. To wielki Ford Crown Victoria, całkiem niezła bryka. Ale najlepszy jest ten napis na drzwiach:

POLICJA STANOWA.

Przekład Marcin Kiszela

BIZARRO BAZAR

1. DOM (Z) KOTÓW - Jeff Burk.....	5
2. SKÓRA - Michał Stonawski.....	23
3. 144000 - Marcin Rojek.....	29
4. CZARNE GALERY - Krzysztof Maciejewski.....	43
5. WIRUJĄCA, SZARA MGŁA - Jeremy C. Shipp.....	56
6. OPCJA - Dawid Kain.....	72
7. OJCIEC ROKU - Kazimierz Kyrzcz Jr.....	86
8. LAMPIONY Z LUDZKICH GŁÓW - Paweł Waśkiewicz.....	103
9. HOMO PREGNANTUS - Jan Maszczyszyn.....	124
10. PIĘĆ PARSZYWYCH ŻYWOTÓW - Zeter Zelke.....	153
11. FUTBOLOWE MAMY I PRO-WRESTLINGOWI OJCOWIE - Bradley Sands...170	
12. POGADKA Z... - Dariusz Barczewski.....	176
13. CIPAKABRA - Karol Mitka.....	183
14. GD-0 - Krzysztof T. Dąbrowski.....	201
15. PORNO W SIERPNIU - Carlton Mellick III.....	212
16. DUCKFUCKER - Robert Cichowlas.....	235
17. PONURE BOBRY - Cameron Pierce.....	254
18. CALEB - Bartosz Orlewski.....	257
19. RAJSKA KRAINA - Dariusz Kuchniak.....	276
20. MOJA NA ZAWSZE - Grzegorz Gajek.....	284
21. POLSKI GOTYK - Marek Grzywacz.....	294
22. PRZEJAŹDŹKA - Edward Lee.....	321





WWW.NIEDOBRELITERKI.WORDPRESS.COM